

Z R O C Z N I K Z A B Ł U D O W S K I

2008

TOM 2



Z R O C Z N I K Z A B Ł U D O W S K I

2008

TOM 2

Spis treści:

Od redakcji 3

ZABŁUDOWSKIE KORZENIE:

Agnieszka Romanowska.
Zabłudowskie Dobra Chodkiewiczów w XVI wieku 5

BIOGRAFIE:

Przemysław Andrzej Murawski.
Ksiądz Józef Horodeński życie i działalność (1910-2002) 34

WSPOMNIENIA:

Anna Znamierowska.
Kiedy żyjemy – mamy imię... cz. II 64

Mieczysław Szykiewicz.
Mój kochany Zabłudów 103

VARIA:

Wiersze zabłudowskie
Irena Sidz-Cebula 143

Noty o autorach 148



94 (438) (05) Zabłudów

Rocznik Zabłudowski 2008

Redaktor
Jan Leończuk

ISBN 978-83-60368-04-6
978-83-60368-71-8

Zrealizowano ze środków
Miejskiej Biblioteki Publicznej
w Zabłudowie

Białystok 2008

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego
ul. Kilińskiego 16, 15-950 Białystok
tel. (085) 741 67 23

WYDAWNICTWO
PRYMAT

Mariusz Śliwowski
Białystok, ul. Zwycięstwa 26C lok. 7
tel. 869 14 87, 0602 766 304
www.prymat.stnet.pl,
e-mail: prymat@stnet.pl

KP Białystok-EO-2008, 4.188

Od redakcji

Oddajemy do rąk Czytelników kolejny tom „Rocznika Zabłudowskiego”. Pomieszczamy w nim fragmenty z przebogatej historii tej ziemi. Od historii o założycielu miasta rodu Chodkiewiczów do współczesnej, zbolełej historii wydobytej z wojennej i powojennej rzeczywistości. Dołączyliśmy dział „Varia”, w którym pomieszczać będziemy ważne informacje dotyczące historii Zabłudowskiej Ziemi, dokumenty, bibliografię i inne dokumentarne zapiski.

W tym numerze prezentujemy wiersze o tematyce zabłudowskiej, żywiąc nadzieję, że po latach uda się zebrać autorów zafascynowanych tą Ziemią we wspólnej antologii.

Jan Leończuk



Grzegorz Chodkiewicz

Zabłudowskie korzenie

AGNIESZKA ROMANOWSKA

Zabłudowskie Dobra Chodkiewiczów w XVI wieku

Gałąż zabłudowska Chodkiewiczów

(...)

Genealogia Chodkiewiczów stanowiła i stanowi przedmiot licznych dyskusji wśród historyków. Do dziś wiadomości na temat początku rodu są niepełne i niezbyt klarowne, a te powstałe w latach trzydziestych ubiegłego wieku wymagają dopracowania, powodem tego stanu jest brak na Litwie wczesnych źródeł, bądź źródła zawierające nieznaczne przekazy. Przyjmuje się, że genealogiczne hipotezy o pochodzeniu Chodkiewiczów dzielą się na legendarne i naukowe.

Prekursorem wywodów legendarnych był wileński wójt Augustyn Rotundus, w swym dziele: „Rozmowy Polaka z Litwinem” pisał, że Chodkiewicze są starym zasłużonym rodem litewskim, którego protoplastą był „Chocka”¹. Maciej Strykowski w swoim utworze: „O początkach, wywodach, dzielnościach...” przedstawił jeszcze dobitniej tezę o litewskim pochodzeniu rodu, wywodził on bowiem Chodkiewiczów od „żmudzkiego bojar borecki”². Legendarne wersje pochodzenia rodu Chodkiewiczów powtarzali również i późniejsi autorzy genealogii. Bartosz Paprocki w swoim herbarzu, tak jak Strykowski wywiódł protoplastów rodu Chodkiewiczów od Borejki, z tą różnicą, że współcześni żmudzinowi nazywali go „Chodźka”³. Również Kacper Niesiecki w herbarzu stwierdził, że Chodkiewicze są potomkami Borejków „Chodkiem zawołany, a potomstwo jego Chodkiewiczami”⁴.

Kształtująca się w XIX wieku historiografia naukowa odrzuciła legendarne wersje pochodzenia Chodkiewiczów, a o ich rodowodzie zaczęto wnioskować z krytycznie ocenianych źródeł. Adam Boniecki, w swoich dziełach wysunął koncepcję pochodzenia nazwiska Chodkiewicz od imienia Chodor, będącego „zepsutą formą” imienia „Fedor”, zdrobniale Chodkiem zwanego⁵. Historyk ten powołując się na „Pomnik suprańskiego monasteru” stwierdził, że Chodko Juriewicz był przodkiem rodu⁶. Powyższe tezy w historiografii przyjmowane były za prawdziwe po koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku.

Najnowsze badania genealogiczne rodu Chodkiewiczów wykonała litewska badaczka Genute Kirkiene⁷. Stefan Dmitruk określił tezy wysuwane przez Litwinę, „iż należy je uznać za pewnik”⁸. Wspomniana badaczka udowodniła tezę o historyczności Chodki Juriewicza oraz o powiązaniach Chodkiewiczów z Borejkami. Autorka w swoich badaniach nad pochodzeniem rodu potwierdza poglądy Strykowski, Niesieckiego i Paprockiego, a swoje ustalenia poparła dowodami źródłowymi. Kirkiene postawiła również hipotezę wielce prawdopodobną, że Wasyl Borejko-wicz po unii w Horodle w 1413 r., adoptował do swego herbu Chodkę Juriewicza.

Według Kirkiene – Chodko Juriewicz, urodził się w końcu XIV w., a zmarł po 1447 roku. Udowodniła ona fakt, iż znajdował się on w pierwszej dziesiątce sygnatariuszy różnych dokumentów wystawionych za rządów Witolda i Kazimierza Jagiellończyka, a zatem należał do XV wiecznych elit Wielkoksiążęcych⁹. Choć współczesna historiografia ustaliła wiele faktów związanych z Chodką Juriewiczem, to niestety w dalszym ciągu nie wiemy, kto był jego ojcem oraz kim była jego żona. Natomiast niewątpliwie jest on protoplastą rodu Chodkiewiczów, a jego wpływy na dworze książęcym, miejsce wśród dygnitarzy Rady Najwyższej WKL oraz zapoczątkowana fortuna rodowa, z całą pewnością umożliwiły karierę jego sukcesorowi synowi Iwanowi.

Iwan Chodkiewicz, zapisał się w historii jako wybitny dowódca oddziału litewskiego po stronie Korony w działaniach wojennych przeciwko Zakonowi Krzyżackiemu w roku 1466, oraz przeciwko królowi węgierskiemu w roku 1474¹⁰. Za swoje wyróżniające się zdolności wojskowe został nagrodzony urzędami w 1470 roku marszałka hospodarskiego, w 1477 – namiestnika witebskiego, w 1478 – starosty łuckiego¹¹. Wciągnięty w niuanse polityki wewnętrznej WKL, w 1470 roku Iwan stanął na czele poselstwa litewskiego do Korony¹². W 1481 roku, przyczynił się do zdemaskowania spisku książąt litewskich przeciwko królowi Kazimierzowi Jagiellończykowi, za co w nagrodę za oddana służbę został mianowany

w 1481 roku pierwszym wojewodą kijowskim¹³. Oprócz wysokich godności, nagrodą królewską były również nadania ziemskie, najprawdopodobniej przed 1483 rokiem król Kazimierz Jagiellończyk nadał zasłużonemu magnatowi tereny Puszczy Błudowskiej, powiększyły one dobra rodowe Chodkiewiczów. W niedługim czasie doszło do pogorszenia stosunków polsko-tatarskich, 1 października 1482 roku, Kijów został zdobyty przez Tatarów¹⁴. W związku z tym napadem, wojewoda kijowski z rodziną trafił do niewoli, w której w 1483 lub 1484 roku zmarł¹⁵.

Żoną Iwana była Agnieszka Bielska, córka ks. Iwana Włodzimierowicza Bielskiego, z którą ożenił się on ok. 1470 roku¹⁶. Została ona wraz z dziećmi Aleksandrem i Agrafeną, (jedna z córek nie doczekała wykupu i tak jak ojciec zmarła w niewoli tatarskiej), w 1484 roku wykupiona z niewoli tatarskiej przez króla Kazimierza Jagiellończyka¹⁷.

Według Jasnowskiego, Iwan Chodkiewicz, w 1476 roku podpisał list Mizaela do Sykstusa IV, w epistole tym miało paść stwierdzenie wzywające do jedności metropolii kijowskiej z Kościołem rzymskokatolickim. Badania historyczne udowodniły, iż, list ten jest falsyfikatem, który sporządził w 1605 roku metropolita Hipacy Pocięj¹⁸.

Iwan tak jak jego ojciec doszedł do zaszczytnych godności na dworze księżęcym, miał wpływ na politykę WKŁ, a poprzez swoje działania ułatwił karierę synowi Aleksandrowi.

Aleksander Chodkiewicz urodził się ok. 1457 roku, swoją karierę polityczną rozpoczął od służby na dworze królewskim w 1495 roku, w latach 1501-1507, pełnił funkcje starosty puńskiego, w 1502 roku został koniuszym nadwornym, a w 1506 został mianowany marszałkiem hospodarskim¹⁹. Lata 1509-1511, w wyniku niesłusznego posądzenia o udział w spisku kniazia Michała Glińskiego – spędził w więzieniu²⁰. Po oczyszczeniu z zarzutów – wrócił do czynnej polityki w 1513 a w 1514 posłował do sejmu Korony, celem uzyskania realnej pomocy zbrojnej dla WKŁ. W 1535 roku sprawował nadzór nad ściąganiem podatków. Z ramienia Wielkiego Księcia brał udział w pracach nad poprawą granic między Koroną i Litwą 1516, 1532, 1537 roku, z Prusami Książęcymi i Litwą w 1545 roku²¹. Za wierną służbę monarcha nagrodził Aleksandra licznymi awansami i przywilejami królewskimi. Najważniejszą nominacją i jednocześnie zwieńczeniem kariery Aleksandra był prestiżowy urząd wojewody nowogródzkiego, który otrzymał w 1544 roku²².

Aleksander, tak jak i cały ród Chodkiewiczów, został wychowany w wyznaniu prawosławnym, „według greckiej wiary, Jedno iż jest w tych stronach grecki zakon stary²³. Ogromne przywiązanie do religii wyraził, stając się fundatorem i kitorem monasteru w dobrach rodowych w Supra-

ślu. Zapewne fundacja ta przyczyniła się, iż w 1530 roku został mianowany opiekunem metropolii kijowskiej²⁴.

Żoną wojewody nowogrodzkiego, była kniaziówna Wasylisa Jarosławiczówna Hołowczyńska, która również czynnie wspierała rodzową fundację – monaster supraski. Owocem tego małżeństwa były dzieci: Iwan – zmarł najprawdopodobniej w wieku dziecięcym, Hieronim, Grzegorz, Jerzy, Zofia i Aleksandra²⁵.

Aleksander Chodkiewicz zmarł 28 maja 1549 roku, zgodnie z jego wolą synowie pochowali ojca w monasterze supraskim²⁶. Wpływowa pozycja Aleksandra, wojewody nowogrodzkiego, umożliwiła każdemu z jego synów dojście do równie zaszczytnych tytułów. W wyniku podziału rodzinnego majątku w 1549 roku, kontynuatorem dzieła Aleksandra został syn Grzegorz.

Grzegorz Chodkiewicz, urodził się ok. 1529 roku²⁷. Jak wielu synów magnackich uzyskał gruntowne wykształcenie, które utarowało drogę do szybkiego awansu polityczno-społecznego. Karierę polityczną Grzegorz rozpoczął w 1544 roku od podkomorstwa litewskiego. W 1554r. otrzymał urząd wojewody witebskiego, zaś rok później wojewody kijowskiego²⁸.

Razem z braćmi Hieronimem i Jerzym, należał do antyradziwiłłowskiej opozycji i między innymi dlatego był odsunięty od współdziałania w życiu politycznym, dopiero po 1550 roku nastąpiło zbliżenie do króla, a zarazem do czynnej polityki²⁹. W 1559 roku król odwołał Grzegorza z funkcji wojewody i podkomorzego, by w tym samym roku mianować go kasztelanem trockim. Monarcha zaznaczył jednocześnie, iż czyni to umyślnie by mieć go bliżej siebie³⁰. Grzegorz brał również czynny udział w skutecznej obronie granic WKL przed zakusami moskiewskim. Na tym stanowisku wykazał się wybitnymi zdolnościami, które docenił król Zygmunt August nominując go w 1561 roku hetmanem dwornym. Również ważnym efektem działalności wojskowej Chodkiewicza są napisane przez niego pierwsze litewskie artykuły hetmańskie³¹. Po zwycięstwie ulskim w 1566 roku, które w dużej mierze było zasługą Grzegorza, monarcha mianował oddanego sługę jednym z najwyższych stanowisk państwowych w WKL – hetmanem wielkim litewskim³².

Na działalność polityczną hetmana przypada okres obrad nad unią realną Korony i Litwy, w tym czasie Grzegorz zmienił linię polityki na rzecz obrony państwowości litewskiej. Był on przeciwnikiem unii politycznej, ale rozumiejąc doskonale groźbę niebezpieczeństwa moskiewskiego, nie był jej zagorzałym opozycjonistą. Wspólnie z bratem i bratanikiem wysunął tzw. litewski projekt unii. Niestety, nieudało mu się zebrać

dostatecznego poparcia i akt zawarcia unii na sejmie lubelskim 1 lipca 1569 roku, był ostatnim wystąpieniem publicznym hetmana litewskiego³³.

Przez całe życie magnata zauważamy wzmoczony rozwój życia kulturalno-religijnego w odziedziczonych dobrach rodowych. W rodzinnej rezydencji przebywali wybitni humaniści. W wyniku zabiegów u króla – w 1553 roku uzyskał przywilej na założenie w Puszczy Błudowskiej miasta – Zabłudów, w którym w 1563 roku ufundował i uposażył cerkiew, tym samym aktem powołał szkoły i szpital, a w ostatnich latach życia założył drukarnię prawosławną³⁴. Powyższe wiadomości wskazują również jak wielką rolę w życiu Grzegorza odgrywała religia, w której został wychowany przez swoich rodziców, założycieli rodowej fundacji – monasteru supraskiego, który również wydatnie wspierał a jako kitor przyczynił się do skompletowania bogatej ówczesnie biblioteki klasztornej, liczącej w 1557 roku ponad 200 ksiąg, oraz pokrył koszty wystroju cerkwi Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny, gdzie umieszczony został portret jego ojca Aleksandra³⁵.

Przed 1553 rokiem ożenił się z kniaziówną Katarzyną Wiśniowiecką³⁶, urodziła ona mu pięcioro dzieci: Andrzeja, Aleksandra, Aleksandrę, Annę i Zofię³⁷.

Grzegorz Chodkiewicz kasztelan wileński, hetman najwyższy litewski, zmarł 12 listopada 1572 roku³⁸ i został pochowany w rodowej fundacji w klasztorze supraskim. Zapisał się na trwałe w historii jako jeden z najwybitniejszych polityków XVI-wiecznego Wielkiego Księstwa Litewskiego oraz zagorzały obrońca prawosławia na tych ziemiach. Sukcesorami po nim zostali synowie, pierwszy Andrzej został podstolim litewskim (zmarł bezpotomnie w 1575 roku), drugi z synów – Aleksander od 1576 roku starosta grodzieński i mohylewski, od 1577 roku dzierżawca aiński. Ożenił się z Aleksandrą córką Wasyla Tyszkiewicza (wojewody podlaskiego w latach 1568-1569), zmarł bezpotomnie w 1578 roku³⁹ i tym samym na nim wygasła zabłudowska gałąź Chodkiewiczów.

Dobra zabłudowskie Aleksandra Chodkiewicza

Aleksander Chodkiewicz dobra zabłudowskie odziedziczył po swoim ojcu Iwanie, który otrzymał je od króla Kazimierza Jagiellończyka przed 1483 rokiem. Dobra te ciągnęły się od rzek Czarnej i Małynki, czyli od wsi należących do włości bielskiej i suraskiej po rzekę Płuskę⁴⁰.

Gdy w 1509 roku Aleksander został osadzony w więzieniu (był jednym z podejrzanych o udział w spisku kniazia Glińskiego), tereny Puszczy

Błudowskiej zostały mu odebrane i przyłączono je do apanaży królowej Heleny, wdowy po Aleksandrze Jagiellończyku, w ramach tzw. włości bielskich⁴¹. Posądzenie to okazało się niesłuszne, ponieważ po dwóch latach w 1511 roku, magnat odzyskał wolność, a wraz z nią i łaskę króla⁴², której wyrazem było również, rok później, zwrócenie dóbr rodowych znajdujących się w latach 1509-1511 we władaniu gospodarskim. Dokumentem spisany na prośbę Aleksandra w Krakowie 16 marca 1512 roku – król Zygmunt Stary przekazał mu osady chłopów gospodarskich zamieszkujących Puszcze Błudowską⁴³. Rok później dokładnie 11 listopada 1513 roku Aleksander dokonał zapisu małżeńskiego na swoich dobrach ojcowskich, również Puszczy Błudowskiej stało się to możliwe właśnie po 1512 roku, w którym to odzyskał on powyższe dobra.

W wyniku dalszych zabiegów magnata o zwrot dóbr w dokumencie spisany w Krakowie w dniu 3 kwietnia 1525 roku⁴⁴ król Zygmunt Stary „za zasługi wyświadczone przezeń Ojczyźnie i królowi⁴⁵”, zatwierdził akt nadania Puszczy Błudowskiej przez Kazimierz Jagiellończyka Iwanowi Chodkiewiczowi, oraz potwierdził akt nadania z 1512 roku wymienionych terenów synowi wojewody kijowskiego Aleksandrowi Chodkiewiczowi. Jednocześnie zobowiązał król, Olbrachta Gasztołda – namiestnika bielskiego w latach 1514-1537, do wytyczenia granic dóbr chodkiewiczowskich i wiązania w ich posesję Aleksandra Chodkiewicza.

Z bliższej analizy inwentarza „Archiwum Chodkiewiczowskiego”, spisane w 1588 roku przez Annę Chodkiewiczównę, możemy odczytać informację dotyczącą powyższego wytyczania granic dóbr błudowskich. Gasztołd przeprowadził tą akcję w 1524 roku w związku z aktem królewskim dla Aleksandra z 1512 roku.

Dokumenty z 1512 i 1525 wymieniają nazwy zapewne tylko części istniejących lub dopiero formujących się osad: Borowicze, Janowicze, Małynka, Hoźna, Koźliki, Żuki, Protasy, Rzepniki, Kudrycze, Soce, Pasyński, Krynickie, Hermanówka, Halickie. Dodatkowo w dokumencie z 1525 roku są opisane granice dóbr puszczańskich przyznanych Aleksandrowi, „hrani położywszy i obechawszy pan woewoda wileński pana Aleksandra (Chodkiewicza – przyp. J. M.) w to wwiązał i list swój wwiązczy na to emu dał⁴⁶”.

20 lipca 1528 roku Aleksander Chodkiewicz, od Macieja i Mikołaja Jundziłów nabył już wcześniej mu zastawione dobra Dojlidy, będące częścią dóbr białostockich nadanych w latach 1437-1450 Raczce Tabutowiczowi⁴⁷. Potwierdzenie powyższych informacji znajdujemy w dokumencie wystawionym 20 lutego 1536 roku w Wilnie, dokument ten opisuje wytyczenie granic pomiędzy dobrami chodkiewiczowskimi, a włością dojlidz-

ką i ludźmi, gospodarskimi i prawdopodobnie sankcjonuje zatwierdzenie Zygmunta I kupna Dojlid przez Aleksandra. Również w 1528 roku, dokładniej 26 grudnia w Wilnie, Aleksander odkupił od bojar smoleńskiego Grzegorza Zofonowicza Denisowicza – zwanego Żabą, 4 włóki vel żrzeby⁴⁸: Klewinowszczyznę, Mielkowszczyznę, Korejowszczyznę i Bielewszczyznę położone w ziemi bielskiej, w powiecie suraskim. Wymienione ziemie nadał bojarowi przywilejem królewskim 28 października Zygmunt Stary⁴⁹.

Zatem w świetle powyższych informacji od 1528 roku Dojlidy i ziemie odkupione od Zofonowicza zostały przyłączone do majątności chodkiewiczowskich, tzn. dóbr zabłudowskich.

Dzieje osadnictwa w Puszczy Błudowskiej są ściśle związane z dziejami zasiedlenia ziem pogranicznych, na których to stykały się przez stulecia wpływy narodów słowiańskich: polskiego, ruskiego i litewskiego. W XV w. większość ziem nad Narwią i jej dopływami znalazła się w rękach możnych panów litewsko-ruskich, którzy z eksploatacji bogactw puszczańskich mieli wielkie źródło dochodów, a po zasiedleniu ziem, nowe rozległe dobra⁵⁰.

Puszcza Błudowska została nadana przed 1483 rokiem Iwanowi Chodkiewiczowi – w tym okresie przeważało samowolne osadnictwo chłopskie. Ze względu na położenie ziem puszczy pomiędzy włościami bielskimi i supraskimi – byli to przeważnie poddani wymienionych terenów. To samowolne osadnictwo w tym okresie dało początek wsiom położonym na południe i zachód od dzisiejszego Zabłudowa, możemy wymienić m.in.: Iwanki, Kudrycze, Rzepniki, Saki, Solniki, Żuki⁵¹.

W latach 1509-1511, gdy obszar Puszczy Błudowskiej należał do apanaży królowej Heleny, namiestnicy zarządzający zamkami w Bielsku i Suraziu, zezwolili osadnikom na trzebież ziem chodkiewiczowskich i zakładanie na tych terenach osad. Powstały wówczas wzdłuż rubieży zachodnich puszczy osady chłopskie m.in.: Stanisławowo, Protasy, Hożna, Małynka, Miniewiczze, Koźliki⁵².

Gdy w 1512 roku, Puszcza Błudowska została zwrócona Aleksandrowi Chodkiewiczowi. Rozpoczął on jej właściwą kolonizację. Sprowadził i osadził w okolicznych wsiach wokół Zabłudowa, bojarów ruskiego i mazowieckiego pochodzenia, ludność służebną, która aspirowała do stanu szlacheckiego⁵³.

W 1520 roku, przeprowadzono reformę administracyjną tzn. podział ziem między województwami podlaskim i trockim, do którego weszły dobra zabłudowskie⁵⁴.



Drukarnia. Grawiura J. Ammana. 1568 r.

Od 1524 roku, w którym to przejęła duże obszary ziemskie w WKL, królowa Bona; nastąpiły na tych terenach nowe istotne zmiany w strukturze osadnictwa. Objęły one również ziemie Puszczy Błudowskiej. Na polecenie Bony, królewscy urzędnicy przystąpili do wprowadzania reformy włócznej, która polegała na skomasowaniu rozproszonego leśnego osadnictwa w duże wsie o ściśle określonych granicach, a w konsekwencji kolonizację dalszych ziem objętych reformą⁵⁵.

Przy rozważaniu tematu powstania pierwszego kościoła rzymskokatolickiego na ziemiach dóbr zabłudowskich, musimy wziąć pod uwagę początki osadnictwa w Puszczy Błudowskiej.

Bowiem z pierwszej połowy XVI w., z Podlasia znane są nadania na rzecz drobnej szlachty mazowieckiej, ludności w przeważającej mierze wyznania rzymskokatolickiego, dla której być może powstał pierwszy kościół⁵⁶.

Zazwyczaj w XV i XVI w. fundatorem świątyni był król lub właściciel dóbr, który własnym kosztem budował kościół i uposażał parafię. W uposażenie parafii wchodziły nadania ziemskie stanowiące jej beneficjum, fundacje mszalne, dziesięciny, plebania i budynki gospodarcze.

Z powodu braku materiału źródłowego nie jest możliwe ustalenie dokładnej daty powstania: pierwszej parafii i pierwszego kościoła katolickiego na ziemiach dóbr zabłudowskich.

Pierwszym źródłem na podstawie, którego analizy możemy postawić tezę o istnieniu na omawianych terenach świątyni rzymskokatolickiej jest akt nadania praw miejskich w 1553 roku miastu Zabłudów⁵⁷. W dokumencie tym jest mowa o przywileju odbywania jarmarku w dniu Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny⁵⁸ „odin na dien Wniebowziatia Panni Marii”⁵⁹. Z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy przypuszczać, iż data ta nie jest przypadkowa, albowiem fundator miasta – Grzegorz Chodkiewicz, łączył jarmark z uroczystością odpustową w dniu patrona świątyni. Potwierdzenie powyższych wywodów daje późniejsze źródło, a mianowicie księga wizytacji wileńskiej z 1633 roku, która wymienia jako tytuł kościoła: Święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny⁶⁰. Z analizy i konfrontacji wiadomości zawartych w powyższych dokumentach możemy przyjąć tezę, iż kościół wyznania rzymskokatolickiego pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w dobrach zabłudowskich istniał przed rokiem 1553.

Przyjmując tezę o powstaniu świątyni przed 1553 rokiem wydaje się najbardziej prawdopodobna teza o fundacji kościoła przez pierwszych właścicieli dóbr zabłudowskich – Aleksandra Chodkiewicza, między 1525 rokiem, kiedy to odzyskał on na trwałe swoją ojcowiznę, a 1553 rokiem,

kiedy to w akcie nadania praw miejskich możemy odnaleźć informację o istniejącej już świątyni⁶¹.

Z tych samych powodów, co ustalenie daty powstania kościoła, niemożliwe jest ustalenie jego pierwszego uposażenia, nie zachowały się bowiem żadne dokumenty, na podstawie których można by było stwierdzić: czy kościół posiadał ziemie przed 1563 rokiem?

Pierwszym zachowanym do naszych czasów i znanym dokumentem, który wymienia uposażenie kościoła rzymskokatolickiego jest akt „fundacji nowej cerkwi w 1563 roku przez Grzegorza Chodkiewicza w mieście Zabłudowie”⁶². Nadając uposażenie cerkwi prawosławnej, fundator uposażył również kościół katolicki. Proboszcz zabłudowski otrzymał dwie włóki ziemi i pięć wolnych placów w mieście przy kościele. Dokument ten również bardzo szczegółowo wymienia uposażenie w postaci dziesięciny z dworu należnej duchowieństwu, która wynosiła 30 kop żyta, 10 kop pszenicy, 10 kop jęczmienia, 5 kop grochu i 20 kop gryki. Dodatkowo mieszczanie zabłudowscy zostali zobowiązani do płacenia dziesięciny z każdej włóki pełnej pół kopy żyta i pół kopy jęczmienia. Miała ona być rozdzielona na równe części między popa, diakona i księdza katolickiego. Mieszczanie zostali również zobowiązani do płacenia 4 groszy kołedy z domu, która miała w ten sam sposób, jak dziesięcina, być rozdzielona między duchownych obu wyznań. Wymienieni duchowni w zamian za oddaną służbę oraz przestrzeganie wysokości opłat za obrzędy religijne ustanowionych przez Grzegorza Chodkiewicza zostali zwolnieni z wszelkich powinności na rzecz dworu.

Nadanie ziemskie z 1563 roku było jedynym znanym i stałym uposażeniem w ziemię kościoła katolickiego w Zabłudowie. Bowiem tylko te nadania wymieniają wszystkie późniejsze źródła, nie wyklucza to jednak tezy, iż przed wymienionym rokiem, świątynia katolicka posiadała nieznaną nam uposażenie ziemskie⁶³.

Z powodu braku wystarczających źródeł, nie jest możliwy do ustalenia obszar parafii w chwili jej powstania. Możemy przypuszczać, iż początkowo zawierała się w granicach ziem nadanych Chodkiewiczom. A zatem ze względu na swoje położenie geograficzne, od chwili swego powstania, należała do diecezji wileńskiej⁶⁴.

Nie mamy niestety żadnych bliższych informacji dotyczących opisu kościoła ani budynków plebanijnych z XVI wieku. Pierwszym dokumentem zawierającym jedynie wzmiankę o istnieniu niezbędnej dla prawidłowego funkcjonowania świątyni, plebanii przy kościele zabłudowskim, jest akt z 1592 roku, w którym to księżna Teodora Sanguszkówna Radzymiń-

ska, data księdzu Maciejowi Wareckiemu plebanię do kościoła zabłudowskiego należąca⁶⁵.

Podział dóbr rodowych po śmierci Aleksandra Chodkiewicza

We wcześniejszych opisach dotyczących podziału dóbr rodowych po śmierci w 1549 roku ich właściciela Aleksandra Chodkiewicza, istnieje błędna wersja podziału wymienionych ziem, według której dobra zabłudowskie po ojcu odziedziczył jego najmłodszy syn Jerzy⁶⁶.

W niniejszym rozdziale wykorzystano nieznaną wypis wileński dokumentu sankcjonującego podział dóbr rodowych Chodkiewiczów, opracowany przez prof. dr hab. Antoniego Mironowicza. Najważniejszą zaletą tego wypisu jest jego najbliższa oryginałowi treść i forma przekazu, które mają zasadniczy wpływ na zrozumienie treści w nim zawartych. Dokument ten został spisany 6 grudnia 1549 roku, i potwierdzony przez króla Zygmunta Augusta.

Po śmierci Aleksandra Chodkiewicza, dziedziczący po nim jego trzej synowie: Hieronim, Grzegorz, Jerzy, 6 grudnia 1549 roku, podzielili ojcowiznę na trzy równe części biorąc pod uwagę już wcześniejsze podziały ziem ojcowskich.

Z przeprowadzonej analizy dokumentu podział wymienionych dóbr możemy nakreślić granice poszczególnych trzech części przypadłych każdemu z braci.

Pierwszą część „Bychów, Mysz, Lebede”⁶⁷, według podziału otrzymał najstarszy z braci Hieronim – kasztelan trocki⁶⁸. Bychów leżał w województwie mścisławskim, Mysz w województwie nowogrodzkim, Lebeda w województwie wileńskim.

Drugą część: „Berestowice, Roś, Trestenice, Wolmaje, Kut w Puszczy Supraskoy; tomu Kutu od Puszczy hranica poczynaje...”⁶⁹, otrzymał najmłodszy z braci Jerzy – wojewoda nowogrodzki po śmierci ojca, który za życia piastował wymienione stanowisko⁷⁰. Berestowica znajdowała się w województwie trockim, Roś i Wolna w województwie nowogrodzkim, Trestenica w województwie brzeskoliteńskim. Wyodrębniony Kut w puszczy supraskiej są to przyszłe dobra Michałowo.

Trzecia część: „Zamek Supraslskki ze wsieju Puszczoju (...), „krom toho Kuta, kotory ku czasty berestewickoy pryłuczon” (...) i Dwór Zabłudowie, imienie Choroszczu i Dojlidy i Karakuli (...). I na Wołyniu Berest”, przypadła dla Grzegorza – podkomorzego królewskiego⁷¹. Zamek supraski to późniejszy Gródek, dwór w Zabłudowie stał się później głów-

ną rezydencją Grzegorza wraz z dobrami Choroszcz oraz włością dojlidzką i dworem w Karakulach.

W dokumencie powyższym zawarto również klauzulę nienaruszalności granic ziem nadanych przez Aleksandra Chodkiewicza monastrowi supraskiemu. Dokument ten również zabezpiecza oprawę majątkową żony Aleksandra – Wassilissy.

Dodatkowymi informacjami zawartymi, a niemniej ważnymi dla tematu niniejszej pracy są informacje o istnieniu w 1549 roku dworu w Zabłudowie oraz bardzo wyraźną informację o wejściu Dojlid w posiadanie Aleksandra Chodkiewicza.

Na podstawie przedstawionego podziału majątku właścicielem omawianych w niniejszej pracy dóbr zabłudowskich został od 1549 roku syn Aleksandra Chodkiewicza – Grzegorz.

Dobra zabłudowskie Grzegorza Chodkiewicza

Od XVI w. rozpoczął się okres nasilonego ruchu lokacyjnego w majątkach prywatnych. Miasta prywatne mogły powstawać na ziemiach WKL tylko na mocy każdorazowego zezwolenia królewskiego. Nasilenie tego ruchu wiązało się z dążeniem feudałów do zwiększania dochodów z dóbr, bowiem liczne funkcjonujące w miasteczkach skupiska karczm i targi dostarczały ich właścicielom dużych sum pieniędzy. Niezależnie od nich mieszczenie byli zobowiązani do różnego rodzaju świadczeń na rzecz właściciela⁷².

Od momentu wejścia dóbr zabłudowskich w posiadanie Grzegorza Chodkiewicza, w związku z jego dążeniami zmierzającymi do podniesienia prestiżu rodowej rezydencji, zaznaczył się na tych ziemiach wzmocniony rozwój życia kulturalno-religijnego, rozpoczynający się lokacją miasta, dalej fundacją nowej świątyni prawosławnej, założeniem szpitala, szkół i w końcu zwieńczeniem, którego było powołanie w końcówce lat życia hetmana litewskiego drukarni prawosławnej.

Realizując swoje dążenia Grzegorz Chodkiewicz w 1553 roku⁷³ uzyskał przywilej monarszy zezwalający na założenie w swoich dobrach zabłudowskich miasta. Zabłudów należy do rzadkiej kategorii miast, zostało bowiem założone na tzw. „surowym korzeniu”⁷⁴.

Na powstanie nowego ośrodka miejskiego, który miał być miastem prestiżowym, (...) ogromny wpływ wywarło bliskie usytuowanie domeny monarszej. Właśnie rezydencja króla Zygmunta Augusta w Knyszynie

była wzorem kształtowania przestrzeni miejskiej w nowo lokowanym miasteczku Chodkewicza.

Przygotowaniem do powstania miasta było przeprowadzenie pomiaru włozonej. Przy pracach geodezyjno-planistycznych Grzegorz skorzystał z pomocy budowniczych królewskich pracujących przy wznoszeniu rezydencji w Knyszynie. Nadali oni miastu regularny, starannie rozmierzony układ przestrzenny, według wzorów renesansowych dla tego typu obiektów.

Miasto usytuowano po przeciwległej niż dwór, który wcześniej istniał stronie rzeki Rudni, dawniej zwaną Meletyną, Milatyną lub Meleciną. Rozplanowano dużych rozmiarów, zbliżony do kwadratu rynek w którym we wschodnich narożach usytuowano kościół i cerkiew. Z każdego naroża rynku poprowadzono parę zbiegających się pod kątem prostym ulic, z których większość była wyprowadzeniem gościńców: suraskiego, bielskiego, knyszyńskiego, gródeckiego i krynickiego, pozostałe ciągi komunikacyjne łączyły przestrzeń kościelną, cerkiewną, osadę młyńską i dwór. Właściwe miasto składało się z czterech ulic ciągnących się z zachodu na wschód i czterech krzyżujących się z nimi innych ulic⁷⁵. Najdawniejszy sporządzony dla tych terenów, inwentarz dworu i miasta Zabłudowa oraz sumariusz majątności zabłudowskiej w 1622 roku, wymienia następujące ulice: Bielska, Mostowa, Choroska, Dworska, pod Kostorogiem, za Kostorogiem, za Kościołem, Lewaszkowa, Suraska, Szewcowska, Zatylnia, Zduńska, oraz bez nazwy. Dodatkową informacją znajdującą się w powyższym inwentarzu, dotyczącą budowy miasta jest informacja o jego bogatym wyposażeniu w ziemię wzorem tzw. wsi osoczniczej na przedpolach puszczy powstał, bowiem zaliczany do gruntów miejskich ciąg osadniczy zwany w XVI w. Folwarkami Miejskimi⁷⁶. Z informacji zawartych w tym źródle możemy również określić granice XVI wiecznego Zabłudowa. Granica północna, wschodnia i południowa są oczywiste, bowiem z tych stron miasto ograniczała rzeka Rudnia i struga Muchawiec. Od zachodu Zabłudów nie miał naturalnej granicy, obszar zabudowy kończył się najprawdopodobniej na ulicy Zduńskiej, dalej znajdował się już obszar nie przewidziany w pierwotnych planach pod zabudowę miejską, świadczyć o tym może założony w późniejszym czasie na tym terenie cmentarz pomorowy, oraz kaplica pod wezwaniem św. Rocha⁷⁷.

Bardzo ważne informacje dotyczące funkcjonowania miasta odnajdujemy w przywileju królewskim, zezwalającym Grzegorzowi Chodkewiczowi na założenie w 1553 roku miasta w swoich dobrach. Dokument powyższy zezwala na funkcjonowanie w miasteczku karczm „karczmy wolnyj i mieszczanow i korczmitow z szynki miedowmi, piwnymi i horeł-



czanymi sadit⁷⁸, cotygodniowego targu „torh w tom mieście na każdy tyjdien w dien poniedziałkowy”⁷⁹. W roku dwóch jarmarków związanych ze świętami religijnymi „odin na dien Wniebowzięcia Pannl Marii, a druhij na sw[ia]toho Juria wieszniecho”⁸⁰, czyli 15 sierpnia i 23 kwietnia.

Niestety z powodu niezachowania się do dnia dzisiejszego materiału źródłowego, nie jest znana ordynacja nadana przez Grzegorza Chodkiewicza mieszczanom zabłudowskim.

W XVI wieku rozpoczął się na ziemiach WKL, wzmocniony rozwój reformacji. W czasie, gdy większość magnatów litewskich przeszła na wyznanie katolickie bądź protestanckie (na Litwie przeważał kalwinizm), Grzegorz Chodkiewicz wychowany w wyznaniu prawosławnym pozostawał w swojej religii, a w swoich działaniach zmierzał do jej umocnienia w WKL.

Wyrazem tych działań była fundacja w swoich dobrach zabłudowskich nowej cerkwi; pierwsza informacja o istnieniu na omawianych ziemiach świątyni prawosławnej pojawiła się w 1507 roku⁸¹, oraz założenie prawosławnej oficyny wydawniczej,

W 1563 roku⁸², hetman wielki WKL, ufundował w swoich dobrach cerkiew pod wezwaniem Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny i Św. Mikołaja⁸³.

W dokumencie fundacyjnym cerkiew w Zabłudowie, Grzegorz Chodkiewicz przyznał uposażenie duchowieństwu obu wyznań: rzymskiemu i greckiemu; ponieważ uposażenie Kościoła w niniejszej pracy zostało już omówione w tym rozdziale teraz przedstawiemy uposażenie Cerkwi.

Ustanowiony przez fundatora pop, któremu na imię było Ostapia Hryhorewicz, otrzymał z dworu na uposażenie dwie włóki ziemi a diakon jedną włókę, ponadto w uposażeniu duchowni dostali plac miejski w pobliżu cerkwi na pobudowanie plebanii⁸⁴. Hetman, dodatkowo na uposażenie cerkwi przyznał dziesięcinę z dworu, która wynosiła: „dziesięciny dawać na tą cerkiew: żyta kop 30, pszenicy kop 10, jęczmienia kop 10, grochu kop 5, a gryki kop 20”⁸⁵. Również poddani zabłudowscy posiadający ziemię miejską zobowiązani zostali do oddawania dziesięciny na cerkiew; dziesięcinę tą mieli rozdzielać po równo między duchownych urzędnicy dworscy, „ta dziesięcina ma być rozdzielona tym obyczajem: popu ruskiemu żyta kop 50, diakonu żyta kop 50... i jęczmienia kop 50”⁸⁶ mieszczanie również płacili z każdego placu miejskiego po 4 grosze kolędy, która również była rozdzielana każdemu z duchownych, na równe części „3 części: jedna popu ruskiemu, druga diakonu, a trzecia plebanu”⁸⁷.

Duchowieństwo prawosławne również zostało zwolnione z powinności wynikających z posiadania ziemi na rzecz dworu, w zamian za prze-

strzeżenie opłat za obrzędy religijne ustanowionych przez kitora, który zastrzegł, że biedni, którzy nie mieliby, czym zapłacić powinni otrzymywać obrzędy za darmo, „bez zapłaty czynić”⁸⁸.

Aktem fundującym cerkiew Grzegorz ustanowił również w dobrach zabłudowskich przy cerkwi szpital zaznaczając w dokumencie, że mają być przyjmowani do niego bez rozróżniania według wiary: „ludzi ubogich, tak zakonu ruskiego, jako i rzymskiego”⁸⁹, nad działaniem szpitala zostali ustanowieni zarządcy „dwu radzkich miasta”⁹⁰, i przyznana oddzielna dziesięcina z dworu „na rok żyta beczek 60 i pszenice beczek 10 i jęczmienia beczek 15, grochu beczek 6 i gryki beczek 20”⁹¹. Ówczesne szpitale były przytułkami dla ludzi ubogich a nie miejscem gdzie leczono chorych.

Również w dokumencie erygującym cerkiew, zawarta jest informacja o powołaniu szkół przy obu świątyniach. Fundator przyznał oddzielną dziesięcinę dla nauczycieli tych szkół „żyta kop 25, a pszenice także kop 25”⁹², w tym funduszowym zapisie Grzegorz zaznaczył, iż nauczycielem w tych szkołach powinien być „człowiek biegły w piśmie i oddany cerkwi” oraz takim też powinien być „mistrz przy kościele rzymskim”⁹³. Niestety poza tym zapisem ustanawiającym szkoły nie mamy więcej informacji o funkcjonowaniu tych szkół.

W końcu XV wieku ukazały się pierwsze książki drukowane cyrylicą, wydał je krakowski mistrz Sz wajpolt Fiol⁹⁴, w 1517 roku podjął to drukarstwo Franciszek, Skoryna, który wydał we własnym przekładzie Biblię przeznaczoną dla ludności białoruskiej, były to prekursorskie publikacje, które niestety nie znalazły akceptacji w środowisku prawosławnych duchownych, w związku z czym nastąpił regres drukarstwa cyrylickiego.

Zastój ten został przerwany dopiero w początkach drugiej połowy XVI wieku, wtedy to na ziemiach litewsko-ruskich nastąpił znaczny rozwój typograficzny, niewątpliwie związany z ideą reformacyjną, upowszechniania drukarstwa ksiąg liturgicznych w językach narodowych. Powstałe w tym czasie drukarnie w Brześciu, Nieświeżu i Ciapinie, były w rękach magnatów ruskich, którzy przeszli na kalwinizm, a ich łatwo dostępne i zrozumiałe szerszemu kręgu odbiorców wydawnictwa powodowały, iż ten odłam protestancki znajdował coraz więcej nowych wyznawców na ziemiach WKL, a zatem wśród przeważającej liczebnie ludności prawosławnej⁹⁵.

Był to również czas, gdy powstała idea odtworzenia drukarstwa cyrylicznego, podjął się tego zadania Grzegorz Chodkiewicz, dążąc do utworzenia prawosławnej oficyny wydawniczej w swoich dobrach zabłudowskich. Hetman najwyższy WKL, był postrzegany w kręgach magnackich i wśród duchownych prawosławnych za jednego z głównych mecenatów „Cerkwi greckiej”. Ten, zagorzały obrońca prawosławia widząc zagrożenie dla wyznawanej przez siebie religii ze strony reformacji, zmierzał do wydania w swojej drukarni ksiąg, które miały się stać narzędziem walki z rozszerzającym wpływ na Litwie wyznaniem kalwińskim.

Naturalnie na tę fundację wpłynął również dewocyjny charakter magnata, uwarunkowany jego podeszłym już wiekiem oraz względy ambicjonalne. Powstanie w Zabłudowie typografii podnosiło znacznie prestiż rezydencji rodowej Chodkiewiczów, czyniąc z niej jedyną placówkę pracującą na rzecz całego prawosławia na ziemiach WKL. Nie bez znaczenia była również w omawianym okresie rywalizacja Chodkiewiczów z Radziwiłłami, – którzy byli patronami drukarni kalwińskiej w Brześciu o prym w życiu publicznym oraz w działalności kulturalnej⁹⁶.

Pierwszymi krokami realizacji celu powstania oficyny wydawniczej była wyprawa hierodiakona Izajasza Kamieńskiego do Moskwy, po księgi liturgiczne w języku cerkiewno-słowiańskim w początkach lat sześćdziesiątych XVI wieku⁹⁷. Nie była to podróż przypadkowa, bowiem Moskwa w XVI w., była ogólnie znaną światową skarbnicą starożytnego słowiańskiego rękopiśmienictwa, cały czas rozwijając i pomnażając swój dorobek poprzez podejmowanie szeroko zakrojonych prac nad stworzeniem nowych dzieł. Ta starannie przygotowana wyprawa, za którą stał niewątpliwie sam Grzegorz Chodkiewicz nie przyniosła oczekiwanego rezultatu w postaci ksiąg, natomiast podczas pobytu w stolicy państwa moskiewskiego, Izajasz Kamieński zapoznał typografów Iwana Fedorowa i Piotra Timofiejewa Mściśławca z pracami nad projektem drukarskim w swoich dobrach Chodkiewicza.

Obaj drukarze moskiewscy po wydaniu Apostoła w 1564 roku i „Czasosłowu” w 1565 roku, ksiąg liturgicznych dla metropolii moskiewskiej, doznali prześladowań na skutek których udali się na emigrację, w 1566 roku przybyli na Litwę, by ostatecznie trafić do rodowej rezydencji Grzegorz Chodkiewicza w Zabłudowie⁹⁸.

Na szybkie uruchomienie i sprawne funkcjonowanie zabłudowskiego wydawnictwa duży wpływ wywarli moskiewscy drukarze, którzy znali cyrylicę i język cerkiewno-słowiański, ponadto przybysze przywieźli ze sobą niezbędne narzędzia drukarskie. Równie znaczący był fakt bliskiego położenia monasteru supraskiego ze swoimi bogatymi zbiorami biblio-

tecznymi oraz licznymi kontaktami z czołowymi ośrodkami prawosławnymi tak w kraju jak i poza jego granicami.

8 lipca 1568 r., rozpoczęto druk pierwszej księgi, który ukończono 17 marca 1569 roku⁹⁹. Wybór pierwszego druku nie był przypadkowy. „Ewangelie Uczitielnoje” – stanowiły zbiór religijnych nauk pomocniczych do poznania tekstów biblijnych, było to bowiem dzieło homiletyczne zaczerpnięte z greckiego pierwowzoru antologii wyjątków kazań Jana Złotoustego, Klemensa Aleksandryjskiego i innych Ojców Kościoła, dotyczących Ewangelii Niedzielných. Podstawą wydania tej księgi był zbiór przetłumaczony na język słowiański przez Konstantego Bułgarskiego, ucznia Cyryla i Metodego w 894 roku¹⁰⁰.

Przygotowania tekstów do druku były poprzedzone wielką pracą redakcyjną, w której oprócz drukarzy czynny udział brali supрасy mnisi, zabłudowski dziekan i sam fundator – Grzegorz Chodkiewicz, który był najprawdopodobniej autorem przedmów do każdego ze swoich wydawnictw.

Z przedmowy do Ewangelii, wynika, iż w pierwszych zamierzeniach mecenasa zabłudowskiej typografii, było wydanie ksiąg przetłumaczonych na łatwo zrozumiały wszystkim język żywy. Duże obawy przed popełnieniem błędów, które mogłyby powstać podczas przekładu tekstów liturgicznych, zmieniły pierwotny zamiar Grzegorza i zbiór ten został wydany w niezmienionej formie i wersji cerkiewnosłowiańskiej. Na tą decyzję, znaczny wpływ wywarł konflikt w monasterze supрасkim, dotyczący tłumaczenia na język ruski ksiąg liturgicznych przez archimandrytę Sergiusza Kimbara, sprawa ta zyskała szeroki rozgłos, bowiem trafiła na forum synodu biskupów w Wilnie w 1558 roku, gdzie spotkała się z dezaprobatą wyższego duchowieństwa¹⁰¹.

Ówczesna cerkiew wschodnia z powodu braku wykształcenia kleru nie mogła aktywnie uczestniczyć w polemice z innymi religiami, było to jedną z głównych przyczyn odrzucenia używania języka narodowego, którym posługiwali się innowiercy i zajęcia pozycji obronnej w niezmienionej postaci z cerkiewno-słowiańskim językiem liturgicznym¹⁰².

28 września 1569 roku rozpoczęły się prace nad kolejnym wydawnictwem oficyny, „Psałtyr s Czasosłowom”, którą adresowano do o wiele szerszego kręgu odbiorców. Ta prawosławna księga liturgiczna zawierała, bowiem modlitwy poranne i wieczorne, teksty nabożeństw cerkiewnych cyklu dobowego, hymnografię liturgiczną oraz Psałterz króla Dawida. Druk księgi zakończono 23 marca 1570 roku¹⁰³.

Prace nad drukiem, wymienionej wyżej księgi prowadził tylko Fedorow, bowiem z nieznanych dzisiaj przyczyn Mścistawiec wyjechał z Za-

błudowa najpierw do Wilna, gdzie współpracował nad wydawnictwami drukarni Mamoniczów, następnie do drukarni księcia Ostrońskiego¹⁰⁴.

To wydawnictwo, również zostało poddane gruntownemu opracowaniu redakcyjnemu, i zawiera przedmowę Grzegorza Chodkiewicza, w której najważniejszą wydaje się obietnica fundatora o dalszej działalności typografii zabłudowskiej. Niestety tak się nie stało, „Psałtyr s Czasosłowom”, został ostatnim wydawnictwem powyższej typografii¹⁰⁵.

Motywów zamknięcia zabłudowskiej drukarni należy upatrywać w wieku i chorobie hetmana, zaprzestaniu działania na ziemiach WKL konkurencyjnych wydawnictw protestanckich oraz panującej w dobrach zabłudowskich epidemii „morowego powietrza”, która spustoszyła duchowieństwo monasterskie¹⁰⁶.

Zabłudowska oficyna wydawnicza pracująca na potrzeby Kościoła prawosławnego wywarła ogromny wpływ na całą praktykę wydawniczą na ziemiach litewsko-ruskich, nie mówiąc o tym jak bardzo przyczyniła się do podniesienia rangi społeczności prawosławnej. Zapoczątkowane przez Hrynia Iwanowicza w tej drukarni cyryliczne zdobnictwo graficznego i ornamentacyjne zostało przeniesione do innych drukarni. Niezwykły los spotkał księgi drukowane w zabłudowskiej drukarni, których druk niejednokrotnie wznawiano, korzystano w pracy nad innymi wydawnictwami, kopiowano ręcznie, tłumaczono na inne języki w wielu krajach¹⁰⁷.

Z uwagi na wielki wpływ, jaki wywarli obaj drukarze na powstanie i wydawnictwa zabłudowskiej typografii prawosławnej zasługują oni na bliższe przedstawienie, a zarazem mające wpływ na lepsze zrozumienie niniejszej pracy.

Obaj typografowie zawiązali swą spółkę na terenie Moskwy. Fedorow, diakon górujący nad Mścisławcem ogłada intelektualną, chętnie przystał na współpracę z drukarzem posiadającym doświadczenie wydawnicze. Po przybyciu na ziemie litewskie nastąpiła zamiana zależności między nimi, a w konsekwencji doszło do zerwania współpracy. Wykonywane rzemiosło traktowali jako misję dla społeczności prawosławnej, bowiem odrzucili oni propozycję współpracy z drukarzem protestanckim Szymonem Budnym. Fedorow, szczególnie mocno traktował drukarstwo jako rodzaj posłannictwa, być może zaważył na tym fakt, iż posiadał on niższe święcenia kapłańskie. Świadomość tego powołania najlepiej obrazuje fakt odrzucenie propozycji swego mecenasa, dzierżawy ziemi w dobrach zabłudowskich. Drukarz jeszcze przed śmiercią Grzegorza Chodkiewicza opuścił miasto i udał się do Lwowa – gdzie dalej kontynuował swoją misję drukarską. Współpracował również z drukarnią księcia Konstante-

go Ostrońskiego, który w drugiej połowie XVI wieku, stał się głównym mecenasem i obrońcą cerkwi prawosławnej w Rzeczypospolitej¹⁰⁸.

Wzrastająca pozycja Grzegorza Chodkiewicza w Kościele prawosławnym spowodowała, że władze cerkiewne wyraziły zgodę na utworzenie w jego rezydencji protopopii, co było również podkreśleniem jej rangi. Źródła po raz pierwszy wspominają o protopopie zabłudowskim w 1578 roku, chociaż tytuł ten otrzymał duchowny Nestor Kuźmicz jeszcze za życia hetmana litewskiego tj. przed 1572 rokiem, w którym to Grzegorz Chodkiewicz zmarł. W praktyce po utworzeniu protopopii w Zabłudowie, namiestnik Nestor nadzorował życie religijne w parafiach położonych w podlaskiej części diecezji metropolitarnej¹⁰⁹.

Podział i sprzedaż dóbr zabłudowskich po śmierci Grzegorza Chodkiewicza

Po śmierci Grzegorza Chodkiewicza wielkiego hetmana litewskiego 12 listopada 1572 roku, spadkobiercami pozostawionego przez niego majątku zostali synowie: Andrzej – podstoli litewski, który zmarł w 1575 roku, i Aleksander – starosta grodzieński i mohylewski, zmarł w 1578 roku¹¹⁰.

Ich rychła i bezpotomna śmierć stała się przyczyną podziału rodzinnego dóbr chodkiewiczowskich między córki hetmana litewskiego: Aleksandrę i Annę¹¹¹.

Aleksandra była żoną kniazia Romana Fedorowicza Sanguszki – hetmana dwornego, Anna była żoną Pawła Sapiehy – kasztelana kijowskiego, po jego śmierci wyszła drugi raz za mąż za Pawła Paca – wojewodę mściławskiego¹¹².

Po dziedzicach Grzegorza dziedziczyły jego wnuki: Jan Piotr Sapieha – syn Anny, Teodor Roman Sanguszko i Teodora Sanguszkówna – syn i córka Aleksandry¹¹³.

Zarząd dobrami chodkiewiczowskimi rodów Sanguszków, Sapiechów i Paców, trwał krótko, bowiem 2 czerwca 1599 roku książę Krzysztof Radziwiłł herbu Trąby¹¹⁴ nabył od Anny Chodkiewiczówny Pacowej i jej syna z pierwszego małżeństwa Jana Sapiehy majątność zabłudowską wraz z 10 folwarkami za sumę 30 tys. kop groszy litewskich¹¹⁵.

Wkrótce też nabył on pozostałą część dóbr od Andrzeja Leszczyńskiego, trzeciego męża Teodory Sanguszkówny, wnuczki Grzegorza¹¹⁶.

Przejęte dobra zabłudowskie Chodkiewiczów w końcu XVI wieku przez Radziwiłłów, zostały wcielone do dóbr składających się na księstwo

birzańskie i pozostały w ich rękach do początku XIX wieku. Centrum tych dóbr, miasto Zabłudów, za ich rządów przekształciło się w jeden z głównych ośrodków kalwinizmu w WKL, przeżyło kolejne okresy rozwoju, oraz upadku.

**Dobra zabłudowskie
w świetle Inwentarza dworu i miasta Zabłudowa
oraz Summariusza majątności zabłudowskiej w 1622 roku**

Z powodu braku materiału źródłowego w postaci inwentarza dla dóbr zabłudowskich z okresu, gdy ich właścicielami byli Chodkiewicze, musimy przyjąć dla dopełnienia tematu niniejszej pracy najdawniejszy inwentarz tych dóbr, sporządzony w 1622 roku, gdy właścicielami ich byli Radziwiłłowie.

Inwentarz ten został sporządzony przed 1635 rokiem, w którym to ordynacja nadana miastu przez Janusza Radziwiłła zmieniła jego pierwotny obszar, którego twórcą był w 1553 roku Grzegorz Chodkiewicz. Ten czas powstania źródła sprawia, iż możemy dość dokładnie przedstawić organizację miejską stworzoną na początku drugiej połowy XVI wieku.

Z daleko mniejszym prawdopodobieństwem musimy przedstawić obszar pozamiejski dóbr zabłudowskich. Powodem tego jest jak już wspomnieliśmy dostępność materiału źródłowego, bowiem inwentarz z 1622 roku, został niestety opublikowany w części, obejmuje on miasto, dwór Zabłudów wraz ze 100 włókami miejskimi, czyli tzw. Folwarkami Miejskimi i bardzo lakonicznie przedstawia pozostałą część dóbr zabłudowskich. Pomimo wymienionych przeszkód postaramy się dla kompleksowego ukazania dóbr zabłudowskich nadać najbardziej rzetelną formę.

Inwentarz sporządzony w 1622 roku, obejmuje dobra zabłudowskie, na które składały się: miasto – Zabłudów, 2 folwarki – małyński i żukowski¹¹⁷, 24 wsie wymienione w summariuszu: Rafałowa Wola, Dobrzyńniowka, Stara Hwozna, Kołpaki, Małyńka, Olszanka, Ihnaciuki, Olexicze, Ostrówki, Miniewiczze, Lacedwicz, Łaszki, Sanniki, Kowalowce, Żuki, Pasyński, Zahruszany, Kucharzowce, Borowiki, Kamionka, Zwierki oraz 4 wsie bojarskie: Protasy, Halickie, Krynickie, Sieśki¹¹⁸ i tylko do tych wymienionych dóbr będą się odnosiły nasze rozważania w niniejszym rozdziale.

W skład dóbr zabłudowskich wchodziły grunty miejskie rozmiarzone w morgi, włóki miejskie, włóki wiejskie oraz ziemie folwarczne.

Grunty miejskie dzieliły się na: place miejskie, czyli sadzibne, ogrody miejskie, służyły one do uprawy jarzyn na potrzeby gospodarstwa domowego, morgi miejskie, czyli ogrody polne oraz włóki miejskie, czyli ziemia orna.

Place miejskie, których w sumie było 445 $\frac{1}{2}$, „dzieliły się na zabudowane – 296 $\frac{1}{2}$, niezabudowane – 149, z tych 3 puste niezabudowane; wolne od czynszu w tym zabudowanych 161 $\frac{1}{2}$, wolne niezabudowane 4 $\frac{1}{2}$ oraz na takie, z których trzeba było płacić czynsz – prowentowe, było ich 280 zabudowanych i 14 $\frac{1}{2}$ niezabudowanych¹¹⁹.

Ogrody miejskie, których w sumie było 324 $\frac{1}{2}$, dzieliły się na wolne od czynszu, których było 24 $\frac{1}{2}$ oraz płatne, których było 300 $\frac{1}{4}$ ¹²⁰.

Morgi miejskie, których w sumie było 809 $\frac{1}{2}$, dzieliły się na płatne, było ich 741 $\frac{1}{2}$, nowoprzyjęte 19 $\frac{1}{2}$, nowowymierzone jeszcze nieprzyjęte 10, wolne – 29 $\frac{1}{2}$, w puście 1 morga, nie rozebrane w szańcu nowo rozdanych 8 morgów¹²¹.

Włóki miejskie, których w sumie było 100, a dzieliły się na wolne – 2 włóki i płatne 98 włók¹²².

Zestawienie ziem miejskich według „Inwentarza dworu i miasta Zabłudowa” oraz „Summariusza majątności zabłudowskiej w 1622 roku”¹²³.

GRUNTY MIEJSKIE

PLACE MIEJSKIE	OGRODY MIEJSKIE	MORGI MIEJSKIE	WŁÓKI MIEJSKIE
Płatne 421 $\frac{1}{2}$ Wolne 21 Puste 3	Płatne 300 $\frac{1}{2}$ Wolne 24 $\frac{1}{2}$ Puste 0	Płatne 741 $\frac{1}{2}$ Wolne 29 $\frac{1}{2}$ Puste 38 $\frac{1}{2}$	Płatne 98 Wolne 2 Puste 0
Suma 445 $\frac{1}{2}$	Suma 324 $\frac{1}{2}$	Suma 809 $\frac{1}{2}$	Suma 100

Mieszczanie zabłudowscy płacili czynsz, który wynosił: z placów, ok. 5 gr lit., z ogrodów miejskich od 8-4 gr lit., z morgów od 12-5 gr lit., z włók miejskich po lit. kop 4/48 po 1 beczce wierzchowatej zabłudowskiej miary wgajnego i dziakielnego, z każdego dymu po gr 2/4 potycznego, komornicy po 4/8 potycznego.

Z każdego procentowego placu mieszczanie byli również zobowiązani dodatkowo za użytkowanie puszczy do płacenia 8 gr lit. na rok tzw. wgajnego. Mieszczanie i folwarczanie, którzy posiadali włóki i 500 morgów, płacili z każdego morga po 12 gr lit. mieszczanie, którzy posiadali place i włóki mieszkając w mieście musieli wykonywać roboty w polu na paszni zabłudowskiej i małyńskiej¹²⁴.

Niestety, dla wsi wymienianych w inwentarzu mamy jak już wcześniej wspomnieliśmy jedynie informacje w postaci sumariusza włók i procentów zabłudowskiej majątności 1622 roku, według którego użytkowane przez chłopów włóki wiejskie dzieliły się na ciągle, osadne, wolne i puste.

Zestawienie ziem wiejskich na podstawie „Summariusza włók i procentów Zabłudowskiej Majętności w 1622 roku”¹²⁵:

Nazwa wsi	Liczba włók	W tym włóki			
		ciągle	osadne	wolne	puste
Rafałowa Wola	60	$43 \frac{7}{12}$	$14 \frac{1}{24}$	$\frac{1}{4}$	$\frac{1}{8}$
Dobrzyńówka	42	$29 \frac{3}{4}$	$12 \frac{1}{8}$	$\frac{1}{2}$	-
Stara Hwoźna	8	-	8	-	-
Kołpaki	4	$3 \frac{1}{2}$	$\frac{1}{2}$	-	-
Małynka	18	$13 \frac{1}{3}$	$2 \frac{3}{4}$	-	$1 \frac{11}{12}$
Olszynka	12	$9 \frac{5}{12}$	$1 \frac{7}{12}$	1	-
Ihnaciuki	$14 \frac{11}{12}$	$13 \frac{1}{2}$	1	-	-
Olexicze	$1 \frac{1}{2}$	-	$1 \frac{1}{2}$	-	-
Ostrówki	36	$9 \frac{5}{8}$	21	1	$4 \frac{3}{8}$

Miniewiczze	1	-	1	-	-
Lacewiczze	2	-	2	-	-
Laszki	4	$3 \frac{1}{8}$	$\frac{1}{2}$	-	$\frac{3}{8}$
Sanniki	42	$14 \frac{11}{12}$	$10 \frac{1}{3}$	$1 \frac{1}{2}$	$15 \frac{1}{4}$
Kowalowce	8	$5 \frac{5}{8}$	$2 \frac{3}{8}$	-	-
Żuki	14	$12 \frac{1}{2}$	-	$1 \frac{1}{2}$	-
Pasynki	21	$17 \frac{1}{12}$	$3 \frac{1}{6}$	-	$\frac{3}{4}$
Zahruszany	9	$4 \frac{1}{6}$	1	$3 \frac{5}{6}$	-
Kucharzowce	10	$5 \frac{3}{4}$	$2 \frac{7}{8}$	$\frac{1}{2}$	$\frac{7}{8}$
Borowiki	10	$9 \frac{3}{4}$	$\frac{1}{4}$	-	-
Kamionka	6	$3 \frac{3}{4}$	$2 \frac{1}{4}$	-	-
Zwierki	11	$8 \frac{1}{2}$	$2 \frac{1}{2}$	-	-
Ziemianie	67	-	-	-	-
Suma	402	195	$103 \frac{1}{4}$	$10 \frac{7}{12}$	$25 \frac{1}{6}$

Niestety, z dostępnego materiału źródłowego nie możliwe jest dokładne określenie powinności feudalnych ludności wiejskiej w dobrach zabłudowskich. Możemy przyjąć na podstawie literatury, iż na pewno z każdej osiadłej włóki zobowiązana ona była do płacenia czynszu, z każdego dymu – potychnego, dodatkowo chłopcy byli zobowiązani do odrabiania pańszczyzny i danin w naturze.



**Herb Chodkiewicza w Jewanheliju
uczytelnomu**

п р и т ч а . о м ѡ т а р ѡ ф а р с ѣ н .



п р и т ч а . о м ѡ т а р ѡ ф а р с ѣ н .

н ѡ м н о г ѡ б ѡ ж ѣ т в е н ѣ п и с а н ѡ н . г л а с м а ж ѡ а р х ѡ
 ѡ р ѣ д ѡ н ѣ с т ѡ ѡ с т ѡ в ѡ в ѡ с л ѡ в ѡ н ѡ н , н а п о ѡ ѡ ч е н ѡ
 х р ѡ т ѡ и м е н ѡ т ѡ м ѡ з ѡ н ѡ д ѡ м ѡ , н ѡ н п р и ч ѡ н т а с м а .
 т а к ѡ ж е н ѡ н а г ѡ ѡ с ѡ а п р а з ѡ н ѡ к ѡ . о м ѡ т а р ѡ
 н ѡ ф а р с ѣ н . ѡ ѡ л ѡ е , ѡ л ѡ к ѡ . с л ѡ б ѡ . а .



ж ѡ о м ѡ т а р ѡ н ѡ ф а р с ѣ н п р и т ч а н ѡ н ѡ ,
 ѡ к ѡ п о ѡ ѡ ч е н ѡ н ѡ б ѡ с ѡ e н ѡ п ѡ д в и ж е н ѡ e ѡ ѡ
 м ѡ ш л е н ѡ б ѡ s т ѡ e т ѡ м ѡ ѡ ц ѡ , н ѡ ѡ н
 н ѡ н ѡ п ѡ e т ѡ s ѡ n ѡ п р и ч ѡ n t ѡ s ѡ b s ѡ n ѡ e д ѡ
 л ѡ , ѡ к ѡ д а n a п р a b л ѡ e m e s ѡ n ѡ г ѡ t ѡ b ѡ s ѡ n a
 д ѡ х ѡ b ѡ n ѡ m ѡ p ѡ d ѡ b ѡ n ѡ n p o c t ѡ . e e g ѡ r a d ѡ n ѡ n p р ѡ b ѡ

Stronica Jewanhelija uczytelnoho

Pod określeniem: ziemianie, w tabeli zawiera się ludność bojaraska, która stanowiła inną od powyższej kategorię ludności wiejskiej. Zobowiązani oni byli do płacenia czynszu oraz „wykonywania posług listowych”. Były to o wiele lżejsze powinności feudalne, bowiem przede wszystkim nie musieli bojarowie odrabiać pańszczyzny oraz byli zwolnieni z danin w naturze.

(...)

Przypisy:

- [1] A. Rotundus, *Rozmowy Polaka z Litwinem*, Kraków 1890, s. 47.
- [2] M. Strykowski, *O początkach, wywodach, dzielnościach...*, Warszawa 1978, s. 239-243.
- [3] B. Paprocki, *Herby rycerstwa Polskiego*, Kraków 1858, s. 845.
- [4] K. Niesiecki, *Herbarz Polski*, t. III, Lipsk 1839, s. 48.
- [5] A. Boniecki, *Poczet rodów Wielkiego Księstwa Litewskiego w XV i XVI*, Warszawa 1887, s. 20.
- [6] A. Boniecki, *Herbarz polski*, t. III, Warszawa 1900, s. 22.
- [7] G. Kirkiene, *Korzenie rodu Chodkiewiczów*, „Białoruskie Zeszyty Historyczne”, nr 17, Białystok 2002, s. 34-55.
- [8] S. Dmitruk, *Geneza rodu Chodkiewiczów*, „Białoruskie Zeszyty Historyczne”, nr 21, Białystok 2004, s. 32.
- [9] Szerzej, Chodko Jurewicz w otoczeniu wielkich książąt; G. Kirkiene, op. cit., s. 37-45.
- [10] J. Jasnowski, *Chodkiewicz Iwan*, *Polski Słownik Biograficzny*, t. III, Kraków 1937, s. 361.
- [11] Ibidem, op. cit., s. 361.
- [12] Ibidem, op. cit., s. 361.
- [13] S. Dmitruk, *Geneza rodu Chodkiewiczów*, „Białoruskie Zeszyty Historyczne”, nr 21, Białystok 2004r., s. 41.
- [14] J. Janowski, op. cit., s. 361.
- [15] S. Dmitruk, op. cit., s. 42.
- [16] Ibidem, op. cit., s. 39.
- [17] Ibidem, op. cit., s. 42.
- [18] Ibidem, op. cit., s. 40.
- [19] J. Janowski, *Aleksander Chodkiewicz*, s. 354.
- [20] S. Dmitruk, *Geneza rodu Chodkiewiczów*, s. 43.
- [21] J. Jasnowski, op. cit., s. 354.
- [22] Ibidem, op. cit., s. 354.
- [23] M Strykowski, *O początkach, wywodach, dzielnościach, sprawach rycerskich...*, s. 243.
- [24] J. Jasnowski, op. cit., s. 354.
- [25] Ibidem, op. cit., s. 354.
- [26] Ibidem, op. cit., s. 354.
- [27] S. Dmitruk, *Grzegorz Chodkiewicz (ok. 1520-1572) kasztelan wileński i hetman najwyższy Wielkiego Księstwa Litewskiego*, „Białoruskie Zeszyty Historyczne”, nr 23 Białystok 2005, s. 8.
- [28] J. Jasnowski, *Chodkiewicz Grzegorz*, s. 358.

- [29] Ibidem, op. cit., s. 358.
- [30] Dmitruk, op. cit., s. 8.
- [31] J. Jasnowski, op. cit., s. 358.
- [32] Ibidem, op. cit., s. 359.
- [33] S. Dmitruk, op. cit., s. 13.
- [34] A. Mironowicz, *Powstanie zabłudowskiej oficyny wydawniczej...*, s. 250.
- [35] Ibidem, op. cit., s. 250.
- [36] S. Dmitruk, op. cit., s. 7-8.
- [37] A. Boniecki, *Herbarz Polski*, cz. 1, t. III, Warszawa 1900, s. 26.
- [38] J. Jasnowski, *Grzegorz Chodkiewicz*, s. 359.
- [39] Ibidem, op. cit., s. 359.
- [40] A. Szot, *Dzieje rzymskokatolickiej parafii...*, s. 13.
- [41] Ibidem, op. cit., s. 14.
- [42] J. Jasnowski, *Aleksander Chodkiewicz*, s. 354.
- [43] AGAD, *Metryka Litewska* 195, nr 26, s. 796-797; *Prawa i przywileje...*, s. 45-47.
- [44] AGAD, *Metryka Litewska* 197, s. 395-399; *Prawa i przywileje...*, s. 50-58.
- [45] AGAD, *Metryka Litewska* 197, s. 395-399; *Prawa i przywileje...*, s. 50-58.
- [46] Ibidem, op. cit., s. 54.
- [47] J. Wiśniewski, *Początki Białegostoku i okolicznego osadnictwa*, „Studia i materiały do dziejów miasta Białegostoku”, t. IV, Białystok 1964, s. 7-27.
- [48] Żreb – w Polsce i na Rusi grunty wchodzące w skład gospodarstwa rolnego; nie posiadał ustalonej wielkości. Szerzej: *Encyklopedia historii gospodarczej Polski do 1945 roku*, t. II, Warszawa 1981, s. 565.
- [49] Muzeum Narodowe Kraków, Biblioteka Czartoryskich, dokument pergaminowy 541/-12, *Prawa i przywileje...*, s. 47-50.
- [50] A. Szot, *Dzieje rzymskokatolickiej parafii...*, s. 13.
- [51] J. Tyszkiewicz, *Zarys dziejów okolic Białegostoku*, „Studia i materiały do dziejów miasta Białegostoku”, t. I, Białystok 1968, s. 73.
- [52] J. Maroszek, *Prawa i przywileje...*, s. 7.
- [53] J. Maroszek, *Bojarzy pod Zabłudowem*, „Z Zabłudowskiej Ziemi”, nr 2, Zabłudów 1993, s. 3-4.
- [54] J. Wiśniewski, *Rozwój osadnictwa na pograniczu polsko-rusko-litewskim od końca XIV do połowy XVI w.*, „Acta Baltico - Slavica”, t. I, Białystok 1964, s. 127.
- [55] J. Tyszkiewicz, *Zarys dziejów okolic Białegostoku...*, s. 75.
- [56] Ibidem, op. cit., s. 71.
- [57] Pergaminowy dokument, stanowi własność Bogdana Mikuly zamieszkałego w Warszawie, *Prawa i przywileje...* s. 66-68.
- [58] 15 sierpnia.
- [59] *Prawa i przywileje...*, s. 66-68.
- [60] A. Szot, *Dzieje rzymskokatolickiej parafii...*, s. 20.
- [61] Ibidem, op. cit., s. 20.
- [62] AWAK, t. XV, s. 36-38, *Prawa i przywileje...*, s. 68-72.
- [63] A. Szot, op. cit., s. 71-72
- [64] Ibidem, op. cit., s. 41.
- [65] Muzeum Narodowe Kraków Bibl. Czart. 1777, s. 567-568; *Prawa i przywileje...*, s. 81-82.
- [66] Szerzej, błędny opis podziału dóbr, według którego Jerzy został dziedzicem dóbr zabłudowskich; B. Charko, Zabłudów i dobra zabłudowskie do końca XVII wieku, s. 7-8 (w maszynopisie).
- [67] Ibidem, op. cit., s. 206.

- [68] J. Jasnowski, Chodkiewicz Hieronim, s. 359-360.
- [69] A. Mironowicz, op. cit., s. 206.
- [70] J. Jasnowski, Chodkiewicz Jerzy, s. 369.
- [71] J. Jasnowski, Grzegorz Chodkiewicz, s. 358-359.
- [72] S. Alexandrowicz, Geneza i rozwój sieci miasteczek Białorusi i Litwy do połowy XVIIw., „Acta Baltico Slavica”. LVII, Białystok 1970.
- [73] Wcześniejsza historiografia podaje rok 1533 jako datę nadania praw miejskich dla Zabłudowa – jest to data błędna, wynika ona ze złego odczytania kopii przywileju.
- [74] S. Alexandrowicz, op. cit., s. 53.
- [75] J. Maroszek, *Prawa i przywileje...*, s. 10-14.
- [76] CGIA Białorusi w Mińsku, F.694, op. 2. nr 264 1, k. 1-98; *Prawa i przywileje...*, s. 101-175.
- [77] M. Karczewski, *Archeologia odkrywa nieznanne fragmenty dziejów Zabłudowa*, „Z Zabłudowskiej Ziemi”, nr 56. Zabłudów 2005, s. 12-13.
- [78] *Prawa i przywileje...*, s. 67.
- [79] Ibidem, op. cit., s. 67.
- [80] Ibidem, op. cit., s. 67.
- [81] G. Sosna, *Pravosławne dzieje miasteczka*, s. 148.
- [82] W historiografii, dotyczącej erygowania przez Grzegorza Chodkiewicza w Zabłudowie cerkwi prawosławnej występują dwie daty 7 czerwca 1563 roku, która jest właściwa, i 6 czerwca 1567 roku – będąca wynikiem złego odczytania materiału źródłowego; szerzej, B. Charko, *Zabłudów i dobra zabłudowskie...*, s. 33-34 (w maszynopisie).
- [83] A. Mironowicz, *Powstanie zabłudowskiej oficyny wydawniczej na tle sytuacji...*, s. 250.
- [84] Ibidem, *Podlaskie ośrodki i organizacji prawosławne...*, s. 95.
- [85] AWAK, t. XI, s. 36-38, *Prawa i przywileje...*, s. 70.
- [86] Ibidem, op. cit., s. 70.
- [87] Ibidem, op. cit., s.72.
- [88] Ibidem, op. cit., s.72.
- [89] Ibidem, op. cit., s.69.
- [90] Ibidem, op. cit., s.69.
- [91] Ibidem, op. cit., s.69.
- [92] Ibidem, op. cit., s.70.
- [93] Ibidem, op. cit., s.70.
- [94] J. Łabynczew, L. Szczawińska, *W mieście zwanym Zabłudowem...*, s. 28.
- [95] A. Mironowicz, *Powstanie zabłudowskiej oficyny wydawniczej...*, s. 246-247.
- [96] Ibidem, op. cit., s. 260.
- [97] Ibidem, op. cit., s. 252.
- [98] Ibidem, op. cit., s. 253.
- [99] J. Łabynczew, L. Szczawińska, *W mieście zwanym Zabłudowem...*, s. 30-31.
- [100] A. Mironowicz, op. cit., s. 260.
- [101] Ibidem, op. cit., s. 257.
- [102] Ibidem, op. cit., s. 258.
- [103] J. Łabynczew, L. Szczawińska, *W mieście zwanym Zabłudowem...*, s. 42.
- [104] A. Mironowicz, op. cit., s.263.
- [105] Ibidem, op. cit., s. 261-263.
- [106] Ibidem, op. cit., s. 261-262.
- [107] J. Łabynczew, L. Szczawińska, *W mieście zwanym Zabłudowem*, s. 42 - 43.
- [108] A. Mironowicz, op. cit., s.253 - 261.
- [109] Ibidem, op. cit., s. 97.

- [110] J. Jasnowski, *Grzegorz Chodkiewicz*, s. 369.
[111] A. Mironowicz, op. cit., s. 95.
[112] J. Maroszek, *Prawa i przywileje...*, s. 95.
[113] Ibidem, op. cit., s. 95.
[114] A. Kamieński, *Radziwiłł Krzysztof, Britannica*, t. XXXV, Poznań 2003, s. 325-326.
[115] A. Szot, *Dzieje rzymskokatolickiej parafii ...*, s. 16.
[116] J. Maroszek, *Prawa i przywileje...*, s. 174
[117] CGIA Białorusi w Mińsku, F. 694, op. 2, nr 2641, k. 1-98; *Prawa i przywileje...*, s. 101-171.
[118] CGIA Białorusi w Mińsku, F. 694, op. 2, nr 2635, k.1-37v; op. cit., s. 172.
[119] CGIA Białorusi w Mińsku, F. 694, op. 2, nr 2641, k. 1-98; op. cit., s. 120-135.
[120] Ibidem, op. cit., s. 136-142.
[121] Ibidem, op. cit., s. 142-170.
[122] Ibidem, op. cit., s. 170.
[123] Ibidem, op. cit., s. 120-171.
[124] Ibidem, op. cit., s. 120-171.
[125] CGIA Białorusi w Mińsku, F. 694, op. 2, nr 2635, k. 1-37v; op. cit.. s. 172.

Od redakcji: *Publikujemy fragment pracy magisterskiej napisanej i obronionej w 2007 roku pod kierunkiem prof. zw. dr hab. Antoniego Mironowicza w Instytucie Historii Wydziału Historyczno-Socjologicznego Uniwersytetu w Białymstoku.*

PRZEMYSŁAW ANDRZEJ MURAWSKI

Ksiądz Józef Horodeński życie i działalność (1910-2002)

Ksiądz Józef Horodeński od urodzenia aż do śmierci związany był z diecezją pińską, która w części należącej do Polski po wojnie, przekształcona została później w diecezję drohiczyńską.

Diecezja pińska powołana została do istnienia bullą papieża Piusa XI *Vixdum Poloniae Unitas* z 28 października 1925 roku. Utworzona została z części diecezji mińskiej pozostałej w granicach Polski oraz części diecezji wileńskiej i obejmowała ogromne terytorium 45 tys. km².

Natomiast rzymskokatolicka diecezja w Drohiczynie została powołana do istnienia 5 czerwca 1991 roku, na podstawie proklamacji Ojca Świętego Jana Pawła II podczas pontyfikalnej Mszy Świętej celebrowanej na błoniach białostockich, na lotnisku „Krywlany”. Wtedy to, z części diecezji pińskiej, pozostałej w powojennych granicach Polski, utworzona została diecezja drohiczyńska z siedzibą biskupa w Drohiczynie. W roku 1992 diecezja ta została powiększona o cztery dekanaty z diecezji siedleckiej¹.

Do wybrania takiego tematu skłoniła mnie sama postać księdza Józefa Horodeńskiego oraz fakt, iż mogłem spotykać go osobiście w kościele w Siemiatyczach, gdzie spędziłem dzieciństwo. Stąd wzięta się moja fascynacja jego osobą i jego życiem.

Już w pierwotnym zamyśle swoją uwagę chciałem skupić na postaci księdza Józefa Horodeńskiego, jego działalności na przestrzeni lat i postawie niezłomnego duszpasterza, jaką sobą reprezentował oraz jego wielkim patriotyzmie wynikającym z nieprzejednanego stosunku do komunistycz-

nej rzeczywistości. Głównym celem pracy jest zatem ukazanie postaci księdza Józefa Horodeńskiego.

W ten sposób powstała praca opisująca w sposób biograficzno-historyczny losy księdza Józefa Horodeńskiego oraz obraz ziem, na których żył oraz pełnił posługę duszpasterską. Praca nie odzwierciedla dokładnego życia i działalności księdza Józefa Horodeńskiego, jednak zawiera w sobie najważniejsze wydarzenia z jego życia i posługi.

Jest to jedna z niewielu analiz życia księdza Józefa Horodeńskiego. Przyczyną niewielkiej liczby publikacji na jego temat jest najprawdopodobniej niedocenianie jego zasług i wpływu na parafie, gdzie sprawował posługę. Brak materiałów lub też ich niedostępność nie sprawiły tu większych problemów, ponieważ ich zasób jest dość bogaty i łatwo dostępny.

Bazę źródłową stanowią przede wszystkim dokumenty znajdujące się w Państwowym Archiwum Białoruskim w Brześciu, materiały pochodzące z Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, Archiwum Państwowego w Białymstoku oraz z Archiwum Diecezji Drohiczyńskiej, w którym znajduje się szereg informacji o działalności księdza Horodeńskiego oraz o staraniach władz odnoszących się do zdławienia tejże działalności. Wykorzystano w pracy również szereg pozycji literackich, które dopełniają całość pracy.

Wyczerpująco została wykorzystanateczka personalna księdza Józefa Horodeńskiego (zespół źródłowy powstały w latach 1959-2002) przedstawiająca postać księdza, jego życie, działalność duszpasterską oraz trudności, z którymi się zmagał podczas tej posługi. Zbiór ten, zawierający liczne dokumenty źródłowe oraz wpisy archiwalne, znajduje się w Kurii Diecezjalnej w Drohiczyźnie.

Znaczącą pozycją dla pracy była również pozycja literacka ks. Adama Szota pod tytułem *Dzieje rzymskokatolickiej parafii P.W. Apostołów Piotra i Pawła w Zabłudowie*, w której opisana jest rodzima parafia księdza Józefa Horodeńskiego.

Wykorzystane w pracy źródła drukowane, to przede wszystkim różne relacje pamiętnikarskie znajomych i rodziny oraz samego księdza Horodeńskiego. Nie zabrakło również informacji pochodzących ze źródeł internetowych.

Zakres badań obejmuje okres od początku XIX do początku XXI wieku, ze szczególnym uwzględnieniem lat życia ks. Józefa Horodeńskiego: 1910-2002.

Józef Horodeński urodził się 25 grudnia 1910 roku w Protasach. W późniejszym okresie często wspominał, „jak mu mama przypominała, że był jej najlepszym prezentem jaki mogła dostać w Boże Narodzenie”².

Jego rodzicami byli Michał i Józefa z domu Dąbrowska, mieszkający we wsi Protasy, niedaleko Białegostoku; byli średnio zamożnymi rolnikami³. 26 grudnia 1910 roku został ochrzczony w kościele pod wezwaniem Świętych Piotra i Pawła w Zabłudowie, przez księdza proboszcza Marcina Puzyrewskiego⁴. Rodzina, dziadkowie z obu stron: Jan i Rozalia z Ostaszewskich Horodeńscy oraz Dominik i Magdalena z Ostaszewskich Dąbrowscy, otaczali Józefa serdeczną miłością i zapewne ukształtowali jego przyszłe powołanie. Nie tylko kształtowali w nim przyszłego kapłana, ale także uczyli patriotyzmu, miłości do ojczyzny⁵.

W 1918 roku w wieku ośmiu lat Józef Horodeński z wielką radością przeżywał odzyskanie niepodległości przez Polskę. W 1919 roku rozpoczął się okres nauki. Najpierw uczęszczał do czteroklasowej szkółki ludowej w Zwierkach – wsi, która znajdowała się w pobliżu Protas. Do piątej klasy uczęszczał w Zabłudowie a do szóstej w Białymstoku. Jednak taka podstawowa wiedza zdecydowanie mu nie wystarczała i bardzo chciał uczyć się dalej⁶.

W roku szkolnym 1925/1926 Józef Horodeński zdał egzamin na drugi kurs Preparandy przy Państwowym Seminarium Nauczycielskim w Białymstoku. Po roku, jak relacjonuje sam zainteresowany, po ukończeniu powyższej Preparandy, został przyjęty na pierwszy kurs Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Białymstoku, które ukończył maturą w 1931 roku, z prawem uczenia w publicznych szkołach powszechnych⁷. Znaczny wpływ na życie duchowe Józefa oprócz rodziny, wywarli dwaj kapłani, kolejni prefekci w Seminarium Nauczycielskim, ks. Józef Reszeć i Aleksander Syczewski. Ten ostatni wprowadził go do Sodalicji Mariańskiej. W tym okresie duże wrażenie wywarła na młodym Horodeńskim książka ks. J. Catherina „Filozofia Chrześcijańska”⁸.

Józef Horodeński, tuż po maturze miał już skierowanie do pracy w Szkole Powszechnej w pobliżu Grodna, jednak zdecydował się wstąpić do Seminarium Duchownego⁹. Chciał rozpocząć swoją drogę kapłańską w Wilnie, ale tam nie przyjmowano z maturą nauczycielską bez łaciny¹⁰. Wybrał więc Pińsk, gdzie urzędował okryty sławą pasterz diecezji biskup Zygmunt Łoziński. W podaniu, które napisał do Wyższego Seminarium Duchownego w Pińsku poprosił o przyjęcie do seminarium. Obiecał także, że jak najszybciej opanuje łacinę, nad którą już wtedy pracował¹¹. Prośba o przyjęcie dostarczona została do rektoratu 28 sierpnia 1931 roku. Na podaniu widnieją dwie adnotacje: pierwsza z 5 sierpnia 1931 roku: „Niech petent przyśle swe dokumenty. Zygmunt Łoziński”, druga: „Przyjęty 22 sierpnia 1931 roku. Ks. Kazimierz Kułak”¹².

Józef Horodeński początkowo miał trudności z językiem łacińskim a filozofia i Pismo Święte były wykładane w tym języku. Dzięki pomocy starszego kolegi Kazimierza Rybałtowskiego i łatwości do języków szybko opanował łacinę już w drugim półroczu, czym wzbudził zdziwienie całej klasy¹³. Mógł już wtedy odpowiadać z filozofii księdzu Giebartowskiemu po łacinie. Dalsze lata seminarium upływały alumnowi Józefowi Horodeńskiemu bez zakłóceń. Uważany był za zdolnego, wiernego regulaminowi, pilnie pracującego nad swoim charakterem i solidnością w pracy. Jednak niektórzy profesorowie źle oceniali jego nieśmiałość i uważali, że jest lękliwy. W arkuszu osobowym ks. rektor dr Aleksy Petrani scharakteryzował kłeryka Józefa Horodeńskiego jako: nadającego się do pracy w szkole, ponieważ skończył Seminarium Nauczycielskie i lubi młodzież; jest porządnym i zdolnym człowiekiem. Ksiądz rektor uważał też, że w życiu będzie kłerykowi brakowało odwagi, i że skłonny jest także do upatrywania trudności i przeszkód nawet tam, gdzie ich nie ma¹⁴. Późniejsze losy księdza Józefa zaprzeczyły słowom i opinii ks. rektora i niektórych profesorów na temat jego odwagi.

Józef Horodeński, kolejne już postęgi i święcenia otrzymał z rąk biskupa pińskiego Kazimierza Bukraby (który został następcą Sługi Bożego, biskupa Zygmunta Łozińskiego zmarłego w 1932 roku): tonsura – 17 września 1934 roku, ostarjat i lektorat – 23 grudnia 1934 roku, egzorcysta i akolita – 20 kwietnia 1935 roku, subdiakoniat – 11 kwietnia 1936 roku, diakonat – 27 września 1936 roku¹⁵. Na dyplomie miał z ośmiu przedmiotów oceny bardzo dobre a z czterech dobre¹⁶. Święcenia kapłańskie otrzymał w katedrze pińskiej 27 marca 1937 roku.

Ksiądz Józef Horodeński prymicyjną Mszę św. odprawił w Niedzielę Przewodnią 1937 roku w kościele pod wezwaniem Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Zabłudowie. Kazanie prymicyjne wygłosił ks. Antoni Chomicki, które jak się okazało później było prorocze. Mówił o noszonym krzyżu w kapłańskim życiu, mówił o tym, że ten kto chce być dobrym księdzem musi umieć cierpieć z innymi, dla innych i przez innych¹⁷.

Pierwszym miejscem pracy młodego duszpasterza był Drohiczyn, a dokładnie Gimnazjum Biskupie, gdzie zastąpił tamtejszego prefekta księdza Jana Jarockiego, tym samym zostając prefektem¹⁸. Na początku roku szkolnego 1937/1938 po powrocie ks. Jana Jarockiego, księdzu Józefowi wręczono nominację na prefekta szkół podstawowych w Brześciu nad Bugiem¹⁹. Prefektura mieściła się w Brześciu przy ulicy Wojewódzkiej. Po roku zostaje prefektem Państwowego Gimnazjum im. Romualda Traugutta w Brześciu.

Po wybuchu II wojny światowej księdza Józefa mianowano wikariuszem w parafii Podwyższenia Krzyża Świętego w Brześciu i tę funkcję pełnił do 16 listopada 1942 roku²⁰. Dnia 17 listopada ksiądz Józef Horodeński dostaje nominację na proboszcza i dziekana w Kobryniu. Zastąpił zamordowanych przez Niemców księży Jana Wolskiego i Władysława Grobelnego. Ksiądz Józef tak mówił o tym zdarzeniu: „Po tragicznej śmierci księży z Kobrynia, ks. kan. Jana Wolskiego, proboszcza i dziekana, oraz ks. Władysława Grobelnego – wikariusza, zostałem mianowany proboszczem w Kobryniu. W oparciu o relacje naocznych świadków, mogę podać nieco szczegółów dotyczących aresztowania i rozstrzelania obu tych kapłanów. Aresztowani zostali 9 października 1942 roku i osadzeni w więzieniu w Kobryniu. Głównym powodem ich uwięzienia było odkrycie przez Niemców tego, że księża ci udzielali pomocy Żydom, wydając im sfigowane metryki chrztu. Rzeczywiście, ks. Jan Wolski dzieciom żydowskim i dorosłym Żydom, gdy o to prosili, wydawał metryki po zmarłych katolickich dzieciach lub dorosłych. W oparciu o te metryki, jeśli Żydom udało się wyjechać do innego miasta lub do odległej wsi, mogli wyrobić sobie dowody osobiste i uchodzić w tamtym środowisku za Polaków czy Białorusinów wyznania katolickiego. W ten sposób ocalili szereg osób od niechybnej śmierci. Niestety w czasie jednej z kontroli, Niemcy z policyjnej formacji SD rozpoznali Żyda, który legitymował się kościelną metryką. Katowany zeznał, kto mu ją wydał. Księża zostali aresztowani i skazani po niespełna tygodniowych przesłuchaniach, połączonych z biciem i torturami, na karę śmierci przez rozstrzelanie razem z Żydami. Obaj księża z Kobrynia zostali wraz z Żydami rozstrzelani w pobliskim lesie „Borysowskim”; stało się to 15 października 1942 roku. Żeby zatrzeć ślady zbrodni, ciała zostały spalone, a pochowane tylko niedopalone szczątki. Testament szczęśliwie przechował jeden ze współwięźniów i potem dostarczył go ks. Horodeńskiemu”²¹.

Ksiądz Józef wiedział, że będzie pod ścisłym nadzorem okupanta, będzie szpiegowany i wystarczy tylko pretekst, aby został uwięziony a nawet zamordowany. Tym bardziej, że eksterminacja księży pińskich trwała nadal. Oprócz okupanta niemieckiego dawali im się we znaki białoruscy i ukraińscy kolaboranci, a także sowiecka partyzantka²².

Wojna skończyła się 9 maja 1945 roku²³. Brześć jak i Kobryń zostały miastami Białorusi w ramach ZSRR.

Ksiądz Horodeński inwigilowany przez niemieckiego okupanta, często wzywany był na przesłuchania. A zaraz potem, jako wróg socjalistycznej władzy stał się *persona non grata* nowego okupanta²⁴.

2 sierpnia 1948 roku o godzinie 15:00 ks. Horodeński został aresztowany w parku przykościelnym przez organa NKWD. 13 września 1948 roku, po miesiącu śledztwa, Sąd Narodowy w Brześciu skazał go na karę śmierci zamienioną na 25 lat pozbawienia wolności w łagrach, na pozbawienie praw obywatelskich na 5 lat oraz na konfiskatę całego mienia²⁵.

Po zapadnięciu wyroku został przewieziony do Workuty, gdzie nosił na ramieniu oraz nodze naszyty Nr 1B – 633. Tam też trafił do pracy w kopalni węgla kamiennego, gdzie pracował przez 7 lat w nieludzkich warunkach drążąc w niej chodniki²⁶.

Miasto Workuta było siedzibą Workułagu, jednego z największych oraz najcięższych obozów w całym systemie Gułagu. Więźniowie, wśród których było również tysiące Polaków, byli prawie jedyną siłą roboczą miejscowej gospodarki a zwłaszcza zagłębia węgla kamiennego. W 1938 roku w Workułagu pracowało 15 tysięcy więźniów, wydobyto wtedy 18-8 206 ton węgla²⁷.

Ks. Horodeński trafił do obozu o zaostrozonym rygorze, gdzie wszelka działalność religijna była zabroniona, jednak pomimo to ks. Józef nie zapomniał o swoim powołaniu i o tym, że jest księdzem katolickim. Pierwszą Mszę św. udało mu się odprawić w Boże Narodzenie 1948 roku. Po pewnym czasie zelżały nieco restrykcje w obozie odnoszące się do objawów religijności. Ksiądz Józef Horodeński dostał lżejszą pracę w oranżerii, gdzie hodowano ogórki i pomidory dla starszyny administrującej obozem. W oranżerii, podczas dyżurów nocnych, ksiądz Józef bez przeszkód mógł odprawić Mszę świętą²⁸.

Po śmierci Stalina w 1953 roku i rozstrzelaniu Berii warunki bytowe panujące w łagrach uległy częściowej poprawie. Tak oto ksiądz Horodeński wypowiadał się o zmianach, które miały miejsce w obozie: „...nasze warunki bytowe znacznie się poprawiły. Zaczęto nam nawet trochę płacić za pracę. Można już było coś w Łagiewskim kiosku kupić do jedzenia. Reżim znacznie zelżał”²⁹.

Niedożywiony i przepracowany ksiądz Horodeński zapadł na anemię, co spowodowało, iż znalazł się w szpitalnym baraku obozowym. Zwolnienie z dalszego odbywania kary – na podstawie dokumentów lekarskich – orzekła specjalna komisja lekarska, która przyjechała do obozu z Moskwy. Uznała ona, iż choroby ks. Horodeńskiego nie da się wyleczyć w łagrach, co skutkowało powrotem do Kobrynia 29 kwietnia 1955 roku, gdzie zaczął pełnić posługę na parafii i leczyć się³⁰. Jednak posługa ta długo nie trwała. Władzom sowieckim przeszkadzało dynamiczne odrodzenie się życia religijnego w Kobryniu. 17 marca 1958 roku ksiądz Horodeński został ponownie aresztowany i skazany na pięć lat, jako recydywista. Bez-

pośrednią przyczyną aresztowania był list wysłany pocztą do Polski, zawierający relację z przeżyć w Workucie.

Ksiądz Józef wywieziony został do łagru Poćma, Jawas nad Moskwą, do Republiki Mordowskiej. W Mordowskiej ASSR, w posiołku Jawas umieszczono go w łagrze politycznych inwalidów. W nowym obozie zatrudniony został jako sprzątac. Jak sam mówił: „pracowałem, jako dniowalny na wachcie zaliczając tzw. zaczety (dzień za dwa)”³¹. Tam brud, wszy, tragiczne warunki, choroby oraz brak pożywienia spowodowały, iż zdrowie księdza Józefa, które było nadszarpnięte wcześniejszym pobytem w łagrach, znów dało o sobie znać³². Jednak pomimo słabnącego zdrowia ksiądz Horodeński nie zaprzestał odprawiania Mszy świętych. W paczkach z Kobrynia otrzymywał rodzinny i opłatki lub mąkę pszenną, co umożliwiało mu sprawowanie Najświętszej Ofiary. Spowiadał także współwięźniów i udzielał komunii świętej.

W międzyczasie rodzina księdza Horodeńskiego dowiedziała się, gdzie odbywa on karę i słała apele do polskiej ambasady w Moskwie o uwolnienie syna, co najprawdopodobniej skutkowało 12 października 1959 roku wydaniem więźnia Polsce Ludowej, jako przestępcę do polskiego więzienia³³. Umieszczono go początkowo w więzieniu w Brześciu, natomiast później został przetransportowany karetką do więzienia w Łęczycy w Polsce. Zwolniony został 27 października 1959 roku³⁴.

Po wyjściu z więzienia ksiądz Józef zameldował się w Drohiczynie u księdza infułata Michała Krzywickiego. W serdecznej rozmowie uzgodniono, iż najpierw ksiądz Józef uda się do sanatorium w celu podreperowania nadszarpniętego zdrowia, następnie oddelegowany zostanie na stanowisko proboszcza w parafii Narew, dekretem z dnia 28 maja 1960 roku, L 640/60³⁵. Z wielkim zapałem podjął obowiązki proboszcza. Szczególną uwagę i nacisk kładł na katechizację dzieci i żywy kontakt z parafianami. W parafii Narew zaczęło aktywnie działać kółko różańcowe oraz rada parafialna.

W dniu 5.VIII.1960 r. ks. Józef wyjechał na rozprawę sądową do Hajnówki, która toczyła się przeciwko ks. B. Miłkowskiemu³⁶.

Wkrótce pojawiły się problemy, ponieważ komunistyczne władze poprzez Urząd do Spraw Wyznań dążyły do sowietyzacji prawa polskiego w kierunku uniemożliwienia legalnie katechezy dziatwy i młodzieży, oraz coraz wyższe podatki, uzależnione od wartości materialnej budynków kościelnych wraz z ich wyposażeniem. Zakup nowych rzeczy wymagał dokumentacji źródeł finansowania, co w przełożeniu na praktykę oznaczało, iż wszelkie remonty czy wzbogacanie asortymentu kościelnego było niemożliwe. Na wyraźny zakaz biskupów polskich rejestrowania

„punktów katechetycznych” i prowadzenia „państwowej Księgi Inwentarzowej”, władze komunistyczne odpowiedziały wysokimi karami pieniężnymi, podwyższeniem podatków oraz wzywaniem na przesłuchania czy niewyrażaniem zgody na objęcie stanowisk kościelnych przez „opornych” księży (do których zaliczano również księdza J. Horodeńskiego)³⁷. „Ks. Proboszcz Horodeński Józef z Narwi w złożonych sprawozdaniach z działalności 4 punktów podał dane ogólnikowe, jak na przykład w rubryce Nr 4 dotyczącej liczby dzieci, nie podaje dokładnych danych a pisze, że liczba jest zmienna”³⁸.

Ks. Horodeński zasypywany był grzywnami, których nie wpłacał. Odwoływał się do wyższych instancji, chociaż było wiadomo, iż to na ich rozkaz urzędnicy wykonywali dane im polecenia. I tak: Kierownik Urzędu Spraw Wewnętrznych przy Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Białymstoku A. Roszko, pismem z dnia 6 sierpnia 1963 roku Nr USW. I – 10/55/63 wydał następującą decyzję: „na podstawie art. 10 ustawy z dnia 29 marca 1962 roku Urząd Spraw Wewnętrznych Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Białymstoku, po rozpoznaniu odwołania ks. Józefa Horodeńskiego proboszcza parafii rzym. – kat. w Narwi od decyzji Wydziału Spraw Wewnętrznych Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Hajnówce SW – I – 2/44/63 w sprawie święcenia pól we wsi Rohozy – Iwanki, utrzymuje zaskarżoną decyzję w mocy”³⁹.

Opór księdza Józefa przeciwko tak zwanej „rejestracji punktów katechetycznych” był w rzeczywistości walką o prawo Kościoła do katechizacji. Droga Kościoła w Polsce była po 1961 roku trudna i nadal bolesna, zwłaszcza odkąd na czele Wydziału do Spraw Wyznań stanął Tadeusz Żabiński – człowiek bez poziomu intelektualnego i o prymitywnym zachowaniu. Przez cztery lata swojego panowania robił wszystko, by zdusić Kościół i jego życie. Od lipca 1961 roku władze zamykały małe seminaria, prywatne szkoły i przedszkola kościelne oraz instytucje charytatywne⁴⁰.

Pełniąc funkcję proboszcza w Narwi ks. Horodeński przepracował tam 9 lat, w trakcie których wyremontował plebanię oraz kościół. Został też mianowany Kanonikiem Honorowym Diecezji w Drohiczynie⁴¹.

W związku z dekretem o obsadzeniu stanowisk kościelnych, na mocy której rządcy diecezji mieli obowiązek uzyskania zgody Wojewódzkiej Rady Narodowej na obsadzenie wakującej parafii przez nowego proboszcza, administrator apostolski diecezji pińskiej Michał Krzywicki zgłosił zamiar mianowania ks. Horodeńskiego na probostwo w Ciechanowcu: „Drohiczyn 27 kwietnia 1963 roku. L.500/63 Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Białymstoku. Mam zamiar mianować na stanowisko

proboszcza parafii Ciechanowiec, pow. Siemiatycze, ks. Józefa Horodeńskiego, dotychczasowego proboszcza parafii Narew, pow. Bielsk Podlaski. Stosownie do art. 4 dekretu z dnia 31. XII. 1956r. niniejszym zapytuję uprzejmie, czy przeciwko tej kandydaturze nie zachodzą uzasadnione zastrzeżenia. Michał Krzywicki Ordynariusz Diecezji⁴². Jednak odpowiedź Kierownika Wydziału do Spraw Wyznań przy Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Białymstoku – Tadeusza Bujnowskiego – w piśmie z dnia 27 maja 1963 roku Nr Wzn 726/63 była negatywna: „na podstawie art. 5 ust. 1 dekretu z dnia 31 grudnia 1956 r. o organizowaniu i obsadzeniu stanowisk kościelnych/ Dz. U. Nr 1, poz. 6 z 1957 r./ Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Białymstoku – Wydział do Spraw Wyznań po rozpatrzeniu pisma Kurii Diecezjalnej w Drohiczynie z dnia 27.IV.1963r. L.500/63 – zgłasza zastrzeżenia przeciw mianowaniu ks. Józefa Horodeńskiego na stanowisko proboszcza parafii w Ciechanowcu pow. Siemiatycze⁴³. Sprzeciw ten został uzasadniony następująco: „ks. Józef Horodeński nie respektuje przepisów i zarządzeń władz państwowych, czego dowodem jest fakt, że za nieprzestrzeganie zarządzenia Ministra Oświaty z dnia 19.VIII.1961, oraz instrukcji Ministerstwa Oświaty z dnia 21.XI.1961 roku, w sprawie prowadzenia punktów katechetycznych – Wydział Oświaty i Kultury Prezydium PRN w Hajnówce, decyzją z dnia 21.III.1962, wymierzył duchownemu karę grzywny. Poza tym, ks. Horodeński naruszył przepisy rozporządzenia Ministra Finansów z dnia 20.II.1962/ Dz. U. Nr 18 poz. 77/ w sprawie prowadzenia ksiąg przez kościelne osoby prawne. Przytoczone wyżej fakty wskazują, iż ks. Horodeński nie jest odpowiednim kandydatem na proponowane stanowisko proboszcza parafii w Ciechanowcu⁴⁴.

Ze strony administracji komunistycznej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nasiliły się represje w postaci podwyższonych podatków i kolejnych grzywnien.

Odwołując się od tych decyzji, pisał ks. Horodeński do Kierownictwa Wydziału Finansowego Prezydium Rady Narodowej w Hajnówce: „Parafia rzymsko-katolicka w Narwi otrzymała z Wydziału Finansowego PWRK w Białymstoku /Nr Fn. K- 2/30/66/ odpowiedź odmowną odnośnie mego odwołania w sprawie wymiaru podatku dochodowego za rok 1964 w sumie 7125 złotych. Ta decyzja ma być ostateczna w administracyjnym toku instancji. Wobec ignorowania argumentów przytoczonych w odwołaniu z dnia 18.II.1966r. Parafia rzymsko-katolicka w Narwi na marginesie tej decyzji zmuszona jest oświadczyć, że jest w stanie niewypłacalności takiej sumy, a niżej podpisany rezygnuje z dalszego zbierania ofiar wśród parafian na pokrycie tego podatku i ustępuje to honorowe zajęcie P.T.

pracownikom Wydziału Finansów w Hajnówce. Podatek bowiem dochodowy parafii za rok 1962 i 1963, aczkolwiek niesprawiedliwy, był możliwy do zebrania, zaś podatek dochodowy za rok 1964, o charakterze jaszkrawo represyjnym jest i niesprawiedliwy i niemożliwy do uiszczenia. Niniejsze oświadczenie nie jest ostateczne we wszystkich tokach instancji. Za parafię rzymsko-katolicką w Narwi ks. J. Horodeński⁴⁵.

Na rok podatkowy 1965 podatek dochodowy był jeszcze większy i wynosił 9267 złotych, a odpowiedź księdza Józefa była podobna jak w roku 1964.

12.08.1967 roku decyzją Wydziału Finansowego ks. Horodeński został ukarany karą grzywny w wysokości 5000 zł z zamianą w razie nieściągalności na 50 dni aresztu za nieprowadzenie ksiąg inwentarzowych.

W sierpniu 1967 roku podczas kazania ks. Józef zaatakował władze za brak wolności sumienia oraz wyznania. Ponadto wydał zalecenia, aby nauką religii objąć nie tylko młodzież szkolną, ale i pozaszkolną. Zakazywał także nazywania miejsca nauczania religii punktem katechetycznym, gdyż pojęcie punktu katechetycznego według jego opinii było obrażające z uwagi na podobne nazewnictwo na przykład punktu inseminacji. Wydał kategoryczny zakaz rejestracji punktów katechetycznych oraz polecił, by księża zabraniali dokonywania wizytacji nauki religii przez osoby świeckie⁴⁶.

Działalność ks. Horodeńskiego była szczególnie akceptowana i popierana przez ks. A. Trochimiaka, proboszcza parafii Czeremcha oraz przez proboszcza parafii Kleszczele – P. Bujno. Jedną z takich popieranych inicjatyw była inicjatywa, polegająca na tym, iż ks. Józef w każdą niedzielę po Mszy św. wraz z wikariuszem ks. A. Mierzwińskim organizował konferencję dla młodzieży pozaszkolnej⁴⁷.

Po nieudanych próbach obsadzenia ks. Horodeńskiego w parafii w Ciechanowcu, Kuria Diecezjalna w Drohiczynie wystąpiła z kolejnym wnioskiem 31 maja 1968 r., proponując ks. Józefa na stanowisko proboszcza w Siemiatyczach, jednak wówczas również i ten wniosek został odrzucony, ponieważ postawą ks. J. Horodeński reprezentował wrogi stosunek do panującego ustroju⁴⁸.

W takiej sytuacji ks. biskup W. Jędruszek podjął odważną decyzję, mianując ks. Kanonika J. Horodeńskiego wikariuszem zarządcą w parafii Wniebowzięcia Matki Bożej w Siemiatyczach, ze wszystkimi uprawnieniami proboszcza. W dokumencie nominacyjnym o sygnaturze L. 1320/68 z 19 sierpnia 1962 roku, biskup Jędruszek napisał: „Parafia Siemiatycze koniecznie potrzebuje do normalnej obsługi duszpasterskiej jeszcze jednego kapłana, starszego i bardziej doświadczonego. Ponieważ ks. S. Pacz-

proboszcza parafii Ciechanowiec, pow. Siemiatycze, ks. Józefa Horodeńskiego, dotychczasowego proboszcza parafii Narew, pow. Bielsk Podlaski. Stosownie do art. 4 dekretu z dnia 31. XII. 1956r. niniejszym zapytuję uprzejmie, czy przeciwko tej kandydaturze nie zachodzą uzasadnione zastrzeżenia. Michał Krzywicki Ordynariusz Diecezji⁴². Jednak odpowiedź Kierownika Wydziału do Spraw Wyznań przy Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Białymstoku – Tadeusza Bujnowskiego – w piśmie z dnia 27 maja 1963 roku Nr Wzn 726/63 była negatywna: „na podstawie art. 5 ust. 1 dekretu z dnia 31 grudnia 1956 r. o organizowaniu i obsadzeniu stanowisk kościelnych/ Dz. U. Nr 1, poz. 6 z 1957 r./ Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Białymstoku – Wydział do Spraw Wyznań po rozpatrzeniu pisma Kurii Diecezjalnej w Drohiczyńce z dnia 27.IV.1963r. L.500/63 – zgłasza zastrzeżenia przeciw mianowaniu ks. Józefa Horodeńskiego na stanowisko proboszcza parafii w Ciechanowcu pow. Siemiatycze⁴³. Sprzeciw ten został uzasadniony następująco: „ks. Józef Horodeński nie respektuje przepisów i zarządzeń władz państwowych, czego dowodem jest fakt, że za nieprzestrzeganie zarządzenia Ministra Oświaty z dnia 19.VIII.1961, oraz instrukcji Ministerstwa Oświaty z dnia 21.XI.1961 roku, w sprawie prowadzenia punktów katechetycznych – Wydział Oświaty i Kultury Prezydium PRN w Hajnówce, decyzją z dnia 21.III.1962, wymierzył duchownemu karę grzywny. Poza tym, ks. Horodeński naruszył przepisy rozporządzenia Ministra Finansów z dnia 20.II.1962/ Dz. U. Nr 18 poz. 77/ w sprawie prowadzenia ksiąg przez kościelne osoby prawne. Przytoczone wyżej fakty wskazują, iż ks. Horodeński nie jest odpowiednim kandydatem na proponowane stanowisko proboszcza parafii w Ciechanowcu⁴⁴.

Ze strony administracji komunistycznej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nasiliły się represje w postaci podwyższonych podatków i kolejnych grzywien.

Odwołując się od tych decyzji, pisał ks. Horodeński do Kierownictwa Wydziału Finansowego Prezydium Rady Narodowej w Hajnówce: „Parafia rzymsko-katolicka w Narwi otrzymała z Wydziału Finansowego PWRK w Białymstoku /Nr Fn. K- 2/30/66/ odpowiedź odmowną odnośnie mego odwołania w sprawie wymiaru podatku dochodowego za rok 1964 w sumie 7125 złotych. Ta decyzja ma być ostateczna w administracyjnym toku instancji. Wobec ignorowania argumentów przytoczonych w odwołaniu z dnia 18.II.1966r. Parafia rzymsko-katolicka w Narwi na marginesie tej decyzji zmuszona jest oświadczyć, że jest w stanie niewypłacalności takiej sumy, a niżej podpisany rezygnuje z dalszego zbierania ofiar wśród parafian na pokrycie tego podatku i ustępuje to honorowe zajęcie P.T.

pracownikom Wydziału Finansów w Hajnówce. Podatek bowiem dochodowy parafii za rok 1962 i 1963, aczkolwiek niesprawiedliwy, był możliwy do zebrania, zaś podatek dochodowy za rok 1964, o charakterze jaskrawo represyjnym jest i niesprawiedliwy i niemożliwy do uiszczenia. Niniejsze oświadczenie nie jest ostateczne we wszystkich tokach instancji. Za parafię rzymsko-katolicką w Narwi ks. J. Horodeński⁴⁵.

Na rok podatkowy 1965 podatek dochodowy był jeszcze większy i wynosił 9267 złotych, a odpowiedź księdza Józefa była podobna jak w roku 1964.

12.08.1967 roku decyzją Wydziału Finansowego ks. Horodeński został ukarany karą grzywny w wysokości 5000 zł z zamianą w razie nieściągalności na 50 dni aresztu za nieprowadzenie ksiąg inwentarzowych.

W sierpniu 1967 roku podczas kazania ks. Józef zaatakował władze za brak wolności sumienia oraz wyznania. Ponadto wydał zalecenia, aby nauką religii objąć nie tylko młodzież szkolną, ale i pozaszkolną. Zakazywał także nazywania miejsca nauczania religii punktem katechetycznym, gdyż pojęcie punktu katechetycznego według jego opinii było obrażające z uwagi na podobne nazewnictwo na przykład punktu inseminacji. Wydał kategoryczny zakaz rejestracji punktów katechetycznych oraz polecił, by księża zabraniali dokonywania wizytacji nauki religii przez osoby świeckie⁴⁶.

Działalność ks. Horodeńskiego była szczególnie akceptowana i popierana przez ks. A. Trochimiaka, proboszcza parafii Czeremcha oraz przez proboszcza parafii Kleszczele – P. Bujno. Jedną z takich popieranych inicjatyw była inicjatywa, polegająca na tym, iż ks. Józef w każdą niedzielę po Mszy św. wraz z wikariuszem ks. A. Mierzwińskim organizował konferencję dla młodzieży pozaszkolnej⁴⁷.

Po nieudanych próbach obsadzenia ks. Horodeńskiego w parafii w Ciechanowcu, Kuria Diecezjalna w Drohiczynie wystąpiła z kolejnym wnioskiem 31 maja 1968 r., proponując ks. Józefa na stanowisko proboszcza w Siemiatyczach, jednak wówczas również i ten wniosek został odrzucony, ponieważ postawą ks. J. Horodeński reprezentował wrogi stosunek do panującego ustroju⁴⁸.

W takiej sytuacji ks. biskup W. Jędruszek podjął odważną decyzję, mianując ks. Kanonika J. Horodeńskiego wikariuszem zarządzającym w parafii Wniebowzięcia Matki Bożej w Siemiatyczach, ze wszystkimi uprawnieniami proboszcza. W dokumencie nominacyjnym o sygnaturze L. 1320/68 z 19 sierpnia 1962 roku, biskup Jędruszek napisał: „Parafia Siemiatycze koniecznie potrzebuje do normalnej obsługi duszpasterskiej jeszcze jednego kapłana, starszego i bardziej doświadczonego. Ponieważ ks. S. Pacz-

kowski z racji osobistych, a zwłaszcza ze względu na stan zdrowia, prosi o zwolnienie od prowadzenia spraw parafialnych i to możliwie jak najszybciej, wydawało się, że osoba Przewielebnego Księdza Kanonika spełnia warunki, wymagane do duszpasterzowania w Siemiatyczach. Jednak władze administracyjne wyraziły zastrzeżenia przeciw mianowaniu Go na to stanowisko, o czym też w odnośnych pismach poinformowały (...) Nie mogąc zgodzić się na takie decyzje władz administracyjnych skierowałem sprawę do rozpatrzenia Komisji Wspólnej przedstawicieli Rządu PRL i Episkopatu Polski.(...) Udzielam Mu wszelkich praw w zakresie wewnętrznym i zewnętrznym, potrzebnych do spełniania tego obowiązku i pełnej obsługi parafii. (...) Łączę z serca pasterskie błogosławieństwo. Biskup Władysław Jędruszek Administrator Apostolski”⁴⁹. Ponadto biskup mianował ks. Horodeńskiego dziekanem dekanatu drohiczyńskiego⁵⁰.

Pismo księdza biskupa Władysława Jędruszka nie odniosło efektu. Jeszcze raz podjął zatem starania o uzyskanie zgody Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej na nominacje proboszczowską ks. J. Horodeńskiego w 1971 roku, przy innym już kierowniku Wydziału do spraw Wyznań przy PWRN w Białymstoku, Henryku Zarzeckim, ale i ta próba nie przyniosła oczekiwanego rezultatu⁵¹.

Dopiero w decyzji z dnia 22 września 1971 roku wydano decyzję aprobującą zajęcie stanowiska proboszcza przez ks. J. Horodeńskiego: „na podstawie art. 5 ust. 1 dekretu z dnia 31 grudnia 1956r. o organizowaniu i obsadzaniu stanowisk kościelnych / Dz. U. Nr 1, poz. 6 z 1957 r./ i art. 120 § 1 pkt. 2 KPA – Urząd do Spraw Wyznań po rozpatrzeniu odwołania Kurii Diecezjalnej z dnia 27 sierpnia 1971 r.1. Dz. 1032/71 od decyzji Wydziału do Spraw Wyznań PWRN w Białymstoku z dnia 13 sierpnia 1971 r. Nr Wzn. 501/41/71 w sprawie zgłoszenia zastrzeżeń przeciw mianowaniu ks. Józefa Horodeńskiego na stanowisko proboszcza parafii w Siemiatyczach – uchyla zaskarżaną decyzję w całości i nie zgłasza zastrzeżeń przeciw mianowaniu ks. Józefa Horodeńskiego na stanowisko proboszcza parafii Siemiatycze”⁵².

Od roku 1972 ks. Józef rozpoczął w Siemiatyczach remonty i malowanie kościoła wewnątrz i na zewnątrz. Po wstawieniu nowych ławek w kościele zaczął malowanie i złocenie ołtarzy i prezbiterium kościoła oraz bocznych ołtarzy. Tak oto wspomina działalność ks. Horodeńskiego siostra Suma Edyta Celina ze zgromadzenia Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus: „Ksiądz Horodeński zastał kościół w Siemiatyczach w bardzo zaniedbanym stanie, żeby Kościół mógł być godnym mieszkania Pana Boga, nie widział innego wyjścia jak sprowadzić do Parafii karmelitanki, które

to pomogłyby w katechezie i pracy w kościele (...). Ksiądz zaczął remontować dom naprzeciw kościoła, kopać studnię, bo wody w tym domu nie było, by Siostry mogły jak najszybciej zamieszkać. Dużo prac wykonywał własnoręcznie (...). Bardzo cieszył się z posuwających się prac przy remoncie, malowaniu czy złoceniu ołtarzy". Funkcję proboszcza pełnił w Siemiatyczach przez 20 lat⁵³, aż do przejścia na emeryturę.

Po przejściu na emeryturę ks. J. Horodeński działał społecznie. W roku 1989 wędrował po Podolu i Ukrainie. W chwili organizowania Koła Sybiraków w Siemiatyczach, od 11 marca 1990 roku włączył się do pracy na rzecz pozyskania i odszukania wszystkich Sybiraków powiatu siemiatyckiego oraz został ich kapelanem. Uczestniczył we wszystkich pielgrzymkach, które były organizowane przez Koło Sybiraków do sanktuariów w Częstochowie i w Licheniu. Pierwszą pielgrzymkę Sybiraków na Jasną Górę do Częstochowy zorganizowano w dniach 12-13 maja 1990 r., gdzie po raz pierwszy spotkali się Sybiracy z całego świata⁵⁴.

Ksiądz Józef Horodeński wystąpił też z wnioskiem o zarządzenie odszkodowania w związku ze skazaniem go, a następnie odbywaniem kary w więzieniu i łagrach na terenie ZSSR. Sąd uznał, iż przepisy ustawy z 23 lutego 1991 roku o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego po nowelizacji tejże ustawy dokonanej 20 lutego 1993 roku nie mogą mieć zastosowania do wniosku wnioskodawcy. Ponieważ skazanie wnioskodawcy miało miejsce w 1948 roku za działalność prowadzoną na terenie Kobrynia, wówczas Białoruskiej Republiki Radzieckiej, żaden z warunków przewidzianych w porozumieniu z 26 lipca 1944 roku zawartego przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego i Rząd ZSSR o stosunkach między radzieckim wodzem naczelnym a polską administracją po wkroczeniu wojsk radzieckich na terytorium Polski nie został spełniony. Skazanie nastąpiło po zakończeniu działań wojсковych na terenie ZSSR⁵⁵.

22 września 1995 roku orzeczenie kolegium do spraw karnych Sądu Najwyższego Republiki Białorusi uchyliło wyrok z 21 września 1948 roku i sprawa została wstrzymana z powodu braku znamion przestępstwa, co oznaczało w praktyce, iż ks. Józef Horodeński został w pełni zrehabilitowany.

Do roku 2000 ks. Józef przebywał jako emeryt w Siemiatyczach. Będąc na emeryturze często odwiedzał parafię w Kobryniu, którą wspierał materialnie troszcząc się o remont tamtejszego kościoła⁵⁶.

Przez ostatnie dwa lata swojego życia przebywał u krewnych, u swej bratanka Jana Horodeńskiego w Protasach⁵⁷. 19 czerwca 2002 roku po

śniadaniu poprosił wszystkich z rodziny do swojego pokoju, ze wszystkimi pożegnał się i po południu zmarł⁵⁸. Posługę kapłańską pełnił przez 65 lat.

Ksiądz Józef Horodeński bardzo chciał, aby pochowano go przy kościele w Siemiatyczach, niestety los potoczył się inaczej i w rezultacie pochowano go przy rodzicach na cmentarzu w Zabłudowie.

Ksiądz Józef pozostawił po sobie, z rzeczy materialnych, dwa obrazy przez siebie namalowane, brewiarz, trochę książek, zdjęć, figurkę św. Józefa oraz wiele orderów i odznaczeń. Natomiast jego spuścizna duchowa, jest nie do przecenienia⁵⁹.

Przypisy:

- [1] Ks. E. Borowski, Ogólna informacja o zasobie rękopisów i druków Archiwum Diecezjalnego w Drohiczynie, Bibliotekarz Podlaski, Nr 4/2002, s. 130.
- [2] Pogrzeb księdza Józefa Horodeńskiego, Zabłudów 2002.
- [3] Życiorys napisany własnoręcznie przez Józefa Horodeńskiego 14 sierpnia 1931 r., Państwowe Archiwum Białoruskie w Brześciu, Fond 2346, Opis 1, Nr 64.
- [4] Metryka chrztu Józefa Horodeńskiego Nr 216/1910: „Dnia 26 grudnia 1910 roku, ks. Marcin Puzyrewski, proboszcz kościoła parafialnego w Zabłudowie ochrzcił niemowlę płci męskiej, Józefa syna Michała i Józefy z Dąbrowskich Horodeńskich, małżonków ślubnych, zamieszkałych we wsi Protasy. Dziecko urodziło się 25 grudnia 1910 roku. Rodzicami chrzestnymi byli: Józef Horodeński i Michalina Dąbrowska panna”, PABB, Fond 2346, Opis 1, Nr 51.
- [5] Świadcstwo ślubu małżeńskiego Nr 20/1899, Michała Horodeńskiego, syna Jana i Rozalii z Ostaszewskich, z Józefą Dąbrowską, córką Dominika i Magdaleny z domu Ostaszewskich, zawartego w kościele parafialnym w Zabłudowie 21 lutego 1899 roku.
- [6] Życiorys..., Państwowe Archiwum Białoruskie w Brześciu, Fond 2060, Opis 1, Nr 64.
- [7] Życiorys..., Państwowe Archiwum Białoruskie w Brześciu, Fond 2060, Opis 1, Nr 64.
- [8] Kwestionariusz ks. J. Horodeńskiego, s. 1: „Należałem do Sodalitacji Mariańskiej pod kierownictwem ks. prefekta Aleksandra Syczewskiego. Prefektami moimi w Seminarium Naucz. byli ks. Reszeć Józef i wspomniany ks. A. Syczewski. Interesowałem się wtedy literaturą religijną, a ogromny wpływ na moją duchowość i krystalizowanie powołania kapłańskiego, wywarło dzieło ks. J. Cathreina „Filozofia chrześcijańska”, ADD IV/Ps.
- [9] Kwestionariusz ks. J. Horodeńskiego, s. 1: „W roku 1931 zrezygnowałem z zawodu nauczycielskiego /choć miałem już przydział gdzieś koło Grodna/, wycofałem papiery z Kuratorium w Warszawie i złożyłem podanie do Seminarium w Pińsku...”.
- [10] Tamże, „Do Seminarium Wileńskiego nie składałem podania, ponieważ tam nie przyjmowano z maturą z Seminarium Nauczycielskiego”, Archiwum Diecezji Drohiczyńskiej IV/Ps.
- [11] Podanie o przyjęcie do Seminarium Duchownego w Pińsku napisane własnoręcznie przez Józefa Horodeńskiego, Państwowe Archiwum Białoruskie w Brześciu, Fond 2060, Opis 1, Nr 64.

- [12] Tamże, Podanie..., Państwowe Archiwum Białoruskie w Brześciu, Fond 2060, Opis 1, Nr 64.
- [13] Kwestionariusz ks. J. Horodeńskiego, s. 1.
- [14] Lista osobista alumna Horodeńskiego Józefa, Państwowe Archiwum Białoruskie w Brześciu, Fond 2060, Opis 1, Nr 64, s. 74.
- [15] Lista osobista alumna Horodeńskiego Józefa, Państwowe Archiwum Białoruskie w Brześciu, Fond 2060, Opis 1, Nr 64, s. 74.
- [16] Tamże, s. 74a: Wyniki studiów: z filozofii 5, z Pisma św. 5, z Teologii dogmatycznej 5, z Teologii moralnej 4, z prawa kościelnego 4, z historii Kościoła 4, z homiletyki 5, z katechetyki 4, z liturgiki 5, ze śpiewu kościelnego 5.
- [17] Kwestionariusz ks. J. Horodeńskiego, s. 1.
- [18] A. Garlicki, Historia Polska i Świat 1815-2004..., s. 345.
- [19] Pogrzeb księdza Józefa Horodeńskiego, Zabudów 2002.
- [20] Pogrzeb księdza Józefa Horodeńskiego, Zabudów 2002.
- [21] Relacja ks. prałata Józefa Horodeńskiego, rezydenta przy parafii Wniebowzięcia Matki Bożej w Siemiatyczach, dotycząca okoliczności śmierci ks. Jana Wolskiego i ks. Władysława Grobelnego w Kobryniu /maszynopis a ADD z własnoręcznym podpisem i pieczęcią Archiwum Diecezjalnego w Drohiczynie/.
- [22] Praca zbiorowa, Martyrologia Duchowieństwa Polskiego 1939-1956, Łódź 1992, s. 113-118.
- [23] Ks. W. Piątkowski, Kronika kościoła i parafii p.w. NMP Królowej Polski na Kijowskim przedmieściu w Brześciu, dz. cyt., s. 17-18.
- [24] Pogrzeb księdza Józefa Horodeńskiego, Zabudów 2002.
- [25] Archiwum Diecezji Drohiczyńskiej IV/Ps, Por ks. Józef Horodeński, *Krótką historią mojego pobytu w ZSRR*, s. 3.
- [26] E. Borowski, *Ksiądz prałat Józef Horodeński 1910-2002*, Drohiczyń 2007, s. 8.
- [27] A. Applebaum, *Gułag...*, s. 102.
- [28] Tamże, s. 8.
- [29] J. Horodeński, *Moje życie*, [w]: *Magazyn Polski*, s. 63.
- [30] <http://www.websybirak.webpark.pl/horodenski.htm>, z dn. 29.05.08.
- [31] J. Horodeński, *Moje życie*, [w]: *Magazyn Polski*, s. 63.
- [32] Pogrzeb księdza Józefa Horodeńskiego, Zabudów 2002.
- [33] Ks. Dr E. Borowski, *Ksiądz prałat ...*, s. 9.
- [34] Tamże., s. 10.
- [35] Teczka personalna ks. J. Horodeńskiego w Archiwum Państwowe w Białymstoku z lat 1959-2002, Sygn. IV/Ps/192/, Nominacja na wikariat w Narwi z 5 stycznia 1960 roku.
- [36] Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Białymstoku, sygn. 045/612, informacja o sytuacji i pracy operacyjnej w związku z mającą się odbyć rozprawą przeciwko ks. Bolesławowi Miłkowskiemu.
- [37] Ks. Dr E. Borowski, *Ksiądz prałat ...*, s. 10.
- [38] Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Białymstoku, sygn. 045/1665, informacja o realizacji zleceń wypływających z Instrukcji Ministerstwa Oświaty z dnia 21 XI 1961 r. przez księży katolickich zamieszkałych na terenie pow. Hajnowskiego, s. 1.
- [39] Ks. Dr E. Borowski, *Ksiądz prałat ...*, s. 11.
- [40] Ks. B. Kumor, *Historia Kościoła*, cz. 8, s. 521.
- [41] J. Horodeński, *Moje życie*, [w]: *Magazyn Polski*, s. 64.
- [42] Teczka personalna ks. J. Horodeńskiego w Archiwum Państwowe w Białymstoku, IV/Ps/190.
- [43] Tamże., Nr Wzn. 726/63.

- [44] Teczka personalna ks. J. Horodeńskiego w Archiwum Państwowym w Białymstoku, Nr. Wzn. 726/63, Pismo Kierownika Wydziału do spraw Wyznań przy Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Białymstoku, T. Bujnowskiego, z 27 maja 1963 r.
- [45] Ks. Dr E. Borowski, *Ksiądz prałat ...*, s. 12.
- [46] Tamże., sygn. 045/1663, s. 4-5.
- [47] Tamże., sygn. 045/1663 s. 5.
- [48] Teczka personalna ks. Józefa Horodeńskiego w Archiwum Państwowym w Białymstoku, L.dz. Wzn. 501/41/71.
- [49] Ks. Dr E. Borowski, *Ksiądz prałat ...*, s. 15-16.
- [50] Tamże., Dekret nominacyjny ks. J. Horodeńskiego na dziekana dekanatu drohiczyńskiego, L. 1321/68, z 29 sierpnia 1968 roku.
- [51] Teczka personalna ks. J. Horodeńskiego w Archiwum Państwowym w Białymstoku, Pismo Biskupa W. Jędruszka do Biura Skarg i Listów w Urzędzie Rady Ministrów w Warszawie L. 1749/68, z 30 listopada 1968 r.
- [52] Tamże., Nr PK – 5001/80/71.
- [53] Tamże., s. 64.
- [54] W. Przybylska, Koło Związku Sybiraków w Kołobrzegu, [w:] A. Wirski (red.), Sybiracy. Martyrologia Polaków na Wschodzie, Związek Sybiraków – Oddział w Koszalinie, Koszalin 2000, s. 238-240.
- [55] Teczka personalna ks. J. Horodeńskiego w Kurii Diecezjalnej w Drohiczyźnie z lat 1959-2002, sygn. Akt. Ko 104/95/0, Uzasadnienie wniosku o zasądzenie odszkodowania.
- [56] Tamże., z dnia 30.05.08.
- [57] Pogrzeb księdza Józefa Horodeńskiego, Zabłudów 2002.
- [58] Wywiad z Reginą Horodeńską, przeprowadzony 3 lutego 2007 roku w Protasach, s. 2.
- [59] Tamże., s. 2.

Od redakcji:

Pełny tekst zostanie zaprezentowany w serii Biografie, w uzupełnieniu książkowym.



Zdjęcie ks. Józefa Horodeńskiego



Odznaki sybirackie ks. Józefa Horodeńskiego



Jawas 25.09.1958 r.

Jawas 25. XI. 1958 r.



Rodzice ks. Józefa Horodeńskiego: Michał i Józefa z domu Dąbrowska, Protasy



Symboliczna płyta nagrobna ks. Józefa Horodeńskiego w Kobryniu



Płyta pamiątkowa Ks. Józefa Horodeńskiego znajdująca się w Kościele w Kobryniu



Kościół p.w. Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny w Kobryniu

AKT CHRZTU KS. J. HORODEŃSKIEGO



Nr aktu 216

Tok 1910

ŚWIADECTWO URODZENIA I CHRZTU ŚW.

WYDANE NA ZASZCZĘTNEJ Opłata Skarbowa

Zaświadcza się, że Józef Horodeński
urodził(a) się w Protasach dnia dwudziestego piątego grudnia
tysiąc dziewięćset dziesiątego roku (25. XII 1910 r.)
z ojca Michała Horodeńskiego
z matki Józefy z Dobrowskiej
Ochrzcony(a) dn. 26 grudnia 1910 roku, w kościele Zabłudowskim
w parafii Łuży

Zgodność pomiędzy tym aktem a oryginałem stwierdzam.
Zabłudów dnia 30 lipca 1955 r.

Przełożony

K. Jankowski

PODANIE I ŻYCIORYS ZŁOŻONY PRZEZ KS. HORODEŃSKIEGO
DO SEMINARIUM DUCHOWNEGO W PIŃSKU

Życiorys.

Ja, Józef Horodeński, syn matki i ojca słobrych
Michała i Józefy z Dąbrowskich, urodziłem się
dnia 25 grudnia 1910 roku w mi. Grotały,
gminy rabłudowskiej, powiatu białostockiego.

W roku 1919 wstąpiłem do państwowej
szkoły ludowej w Zwierekach, gdzie w 12. zycia
ukończyłem cztery oddziały. Z powodu braku
na miejscu szkoły wyżej zorganizowanej amu-
srony byłem ukończyć oddział piąty w Rablu-
dowie, a oddział szósty w Białymstoku.

W roku 1925/26 na podstawie ukończonych lekcji
czterech oddziałów skończyłem egzamin na dwa-
dziesty kurs Preparandy trój Semiotycznego Seminarjum
Nauczycielskiego w Białymstoku.

W roku 1926/27 na podstawie pomysłowej egzami-
nu i ukończenia dwudziestej Preparandy nastę-
pnie trzydziesty na pierwszy kurs Semiotycznego Se-
minarjum Nauczycielskiego w Białymstoku, któ-
re ukończyłem złożeniem matury w r. 1931 z pra-
wem nauczania w publicznych szkołach powszech-
nych.

Józef Horodeński

Białystok, dnia 14/VII-1931r.

DYPLOM UKOŃCZENIA SEMINARIUM W PIŃSKU

iv / 17 Alumn: Józef Harcelewski

24

- Lista asabistwa
- Podanie jurysdykcji 28.07.1934
- Zyciowca 14.08.1934

TOMASZA Z AKWINU

PABB FECC C. 1 D. 04, 14, 31-
82 ta



2. Urodzony dnia ... w ...
1. Najwyższe wykształcenie w ... *Wieliczka* ... *Kabłudów* ... *parafia katolicka*
4. Dochożony w kościele parafialnym w ... *Kabłudów*
Diecezja *wieliczka* ... dnia *20* go *grudnia* ... 19 *40* r.
5. Stwierczony dnia ... go ...
5. Rodzice
ojciec: *Michał* ... rzecznik *celnik*
matka: *Józefa* ... z domu *Dąbrowska*
miejscowość urodzenia: *Wieliczka*
parafia: *Kabłudów* ... parafia *Kabłudów*
7. Matka gimnazjum: ... imię *Ania* ... go ... 19 ... r.
8. Studia uniwersyteckie lub inne:
9. Lwoci spaw, alia:

II. Wyniki studiów.

Examina:

- | | | | |
|----------------------------|---|-------------------------------------|------|
| 1. z filozofii | 5 | 6. z prawa karnego | 4 |
| 2. z prawa św. | 5 | 7. z historii Kościoła i patrologii | 4, 2 |
| 3. z teologii dogmatycznej | 5 | 8. z Eklezjologii i katechetyki | 5, 2 |
| 4. z teologii moralnej | 5 | 9. z liturgii | 5 |
| 5. z teologii pastoralnej | 4 | 10. z apława liturgicznego | 5 |

11. Ogólne uwagi co do studiów:

III. Święcenia:

- | | | |
|---------------------------|----------------|---|
| 1. Tonsura | 16. IX. 1934 | } |
| 2. Świecenie ost(er)juzza | } 23. X. 1934 | |
| 3. " lektora | | |
| 4. " egzorcysty | } 20. IV. 1935 | |
| 5. " skollity | | |
| 6. Subdiakoniat | 11. IV. 1936 | |
| 7. Diakoniat | 29. IX. 1936 | |
| 8. Kapłaństwo | 29. III. 1937 | |

Rektor: Biskup
Kazimierz Koblerak
Biskup: Biskup

IV. Wyrobienie duchowe:

V. Zdrowie fizyczne:

VI. Zdolności:

VII. Inne uwagi: Zdolny i pracowity człowiek. Myśli i działania skierowane na dobro, jest wyjątkowo czysty i miły. Nie posiada żadnych wad. Jego wyobraźnia jest bardzo rozwinięta, a jego serce jest pełne miłości i poświęcenia. Jest to człowiek, który może być wielką pomocą dla innych.

Piątek, dnia

24 marca

1937 r.

Ks. Henryk Płatek
Rektor Seminarjum

DOKUMENTY ZAWIERAJĄCE WYROKI



mgr Nina Dawidziuk
TUMACZ PRZYSEKŁY JĘZYKA ROSYJSKIEGO
17-300 Siemiatycza, ul. Kościelna 4B/10
tel. 655-33-31

Tłumaczenie z języka rosyjskiego

----- W Y R O K -----

W IMIENIU BIAŁORUSKIEJ SOCJALISTYCZNEJ REPUBLIKI RADZIECKIEJ

W dniu 13 września 1948 roku kolegium sądowne d/s karnych Brzeskiego Sądu Obwodowego w składzie: przewodniczący - Benzo, ławnicy ludowi - Awaniesow i Nowikowa, w obecności sekretarza Kaszprinoj z udziałem stron: przedstawiciela oskarżenia państwowego - z-cy prokuratora obwodu brzeskiego radcy prawnego Gułowa, obrońcy i członka kolegium mecenasa Ryżowej rozpatrzywszy podczas zamkniętego posiedzenia sądu sprawę karną dotyczącą oskarżenia:

Horodeńskiego Józefa s. Michała, ur. w 1910 roku, Polak, obywatel ZSRR, bezpartyjny, ur. we wsi Protasy, gm. Zabłudów, woj. białostockie/Polska/, pochodzenie chłopskie-średniorolne, wykształcenie wyższe, ukończył Seminarium Duchowne w Pińsku, ksiądz-dziekan, nie sądzony, kawaler, do czasu aresztowania mieszkał w Kobryniu, ul. 1 Maja 22, jest oskarżony na podstawie art. 72 p. "B" i art. 73 kk BSRR.-----

Na podstawie materiałów śledztwa wstępnego i sądowego,-----

----- U S T A L O N O : -----

---- Horodeński jest proboszczem kościoła rzymsko-katolickiego w Kobryniu i będąc wrogo nastawionym do istniejącego w ZSRR ustroju, poczynawszy od 1939 roku do czasu dzisiejszego w swoich kazaniach z kościelnej ambony, w rozmowach z obywatelami szerzył agitację antyradziecką oraz w swoim domu i w kościele przez



.....szy czas przechowywał literaturę antyradziecką o treści nacjonalistycznej. Tak więc, w 1939 roku Horodeński w rozmowach z otaczającymi go osobami kierował oszczerce wymysły pod adresem władzy radzieckiej i podejmowanego przez nią przedsięwzięcia dotyczącego zjednoczenia ze Związkiem Radzieckim zachodnich obwodów Ukrainy i Białorusi.-----

---- Począwszy od 1944 roku do 1948r. Horodeński okresowo w swoich kazaniach skierowanych do wiernych z kościelnej ambony wzywał młodzież polską do nieodwiedzania klubów radzieckich, teatrów, zabaw i innych miejsc rozrywkowych, wyrażał przy tym niezadowolenie z warunków życia stworzonych przez władzę radziecką. Analogicznie w kazaniach oraz w rozmowach z poszczególnymi osobami, jak: Lisiewiczem, Bondarenko, Jackowskim i innymi Horodeński wyrażał niezadowolenie z przedsięwzięć władzy radzieckiej dotyczących przesiedlania Polaków do Polski. Rozpowszechniał przy tym defetystyczne nastroje w stosunku do ZSRR na wypadek wojny z Ameryką i Anglią. W tym okresie Horodeński szerzył oszczerce wymysły o działalności radzieckiej, o warunkach życia w ZSRR i o władzy Polski demokratycznej, wychwalając stare burżuazyjne porządki Polski pańskiej.-----

---- W latach 1947-1948 niejednokrotnie podczas rozmów z poszczególnymi osobami oraz z ambony kościoła Horodeński wyrażał niezadowolenie z przedsięwzięć władzy radzieckiej dotyczących skupu zboża, zaopatrzenia ludności w żywność, rejestracji kultów religijnych oraz ich majątku.-----

---- Niejednokrotnie w 1948 roku podczas rozmów z Jackowskim



Horodeński wypowiadał się na temat rychłej zguby władzy radzieckiej .Oprócz tego od 1947 roku wiedząc o istnieniu na terytorium obwodu brzeskiego polskiej antyradzieckiej organizacji powstańczej "Armia Krajowa" oraz o przynależności do niej wielu osób nie zawiadomił o tym organów radzieckich.
---- Uważając, że przedstawione oskarżonemu Horodeńskiemu zarzuty na podst.art.72 p."B" i art.73 kk BSRR są w pełni uzasadnione i kierując się art.art.319 i 320 kpk BSRR, kolegium sądowe s k a z a ł o :

---- Horodeńskiego Józefa s.Michała na podst.art.73 kk BSRR na karę pozbawienia wolności na okres dziesięciu lat,-----

---- I na podst. art.72 p."B" kk BSRR z sankcją karną art.64 kk BSRR i z zastosowaniem Dekretu Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z dn.26 maja 1947 roku na karę pozbawienia wolności w penitencjarnych obozach pracy na okres 25 lat/dwadzieścia pięć lat/z pozbawieniem praw obywatelskich na okres pięciu lat i konfiskatę całego mienia,uogólniając i kierując się art.54 kk BSRR ustalić wymiar kary na dwadzieścia pięć lat pozbawienia wolności w penitencjarnych obozach pracy oraz pozbawienie praw obywatelskich na okres pięciu lat i konfiskatę całego mienia. Termin aresztu liczyć Horodeńskiemu od dnia 2 sierpnia 1948 roku, t.j. od momentu jego aresztowania.-----

---- Wyrok jest ostateczny, nie może być zaskarżony w trybie kasacji w Sądzie Najwyższym BSRR poprzez Brzeski Sąd Obwodowy w ciągu 72 godzin, licząc od momentu wręczenia kopii skazanemu.
Przewodniczący - Benzo -----



Zawnicy ludowi - Awaniesow, Nowikowa -----

Pieczęć okrągła z godłem państwowym Republiki Białorusi w
środku i napisem w otoku: Republika Białorusi/-/Brzeski Sąd
Obwodowy.-----

Za zgodność z oryginałem/-/podpis nieczytelny -----

---- Orzeczeniem kolegium sądowego d/s karnych Sądu Najwyższe-
go Republiki Białorusi z dn.22 września 1995 roku, wyrok kole-
gium sądowego d/s karnych Brzeskiego Sądu Obwodowego z dnia
13 września 1948 roku i orzeczenie kolegium sądowego d/s kar-
nych Sądu Najwyższego BSRR z dnia 21 września 1948 roku w sto-
sunku do Horodeńskiego Józefa s. Michała zostało uchylone i spra-
wa została wstrzymana z powodu braku znamion przestępstwa.-----

Za zgodność z oryginałem: Pieczęć okrągła/treść jak powyżej -
- uwaga tłum./-----

podpis nieczytelny -----

Repertorium Nr 62/99
Ja, mgr Nina Dawiduk, tłumacz przysięgły
przy Sądzie Województwa w Białymstoku,
świadczym zgodność powyższego tłumaczenia
z oryginałem.
dokumentu sporządzonego w języku rosyjskim
Siemiatycze dnia 01 września 1999.



ZAŚWIADCZENIE O ZWOLNIENIU Z OBOZU W WORKUCIE

СССР

Министерство внутренних дел
УПРАВЛЕНИЕ

п-я Ж-175

г. Воркута, Коми АССР

19 марта 1957 г.

СПРАВКА.

№ 3/1-3624

Дана настоящая гражданину ГОРОДЕНСКОМУ Иосифу Михайловичу в том что он освобожден из мест заключения 29 апреля 1955 года по решению суда в порядке ст. 457 УПК РСФСР, как страдающий недугом с полной утратой трудоспособности и невозможности восстановить ее в условиях ИТЛ.

Справка выдана для представления в Кобринский Райфинотдел, Брестской области.



Иосиф Михайлович
ПОТАПКИН

Zaświadczenia o zwolnieniu z obozu w Workucie
wydane ks. Józefowi Horodeńskiemu 19 marca 1957 roku.

ZAŚWIADCZENIE LEKARSKIE O CAŁKOWITEJ UTRACIE ZDOLNOŚCI DO PRACY W OBOZIE

ZSRR Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Zarząd p/ja "2" 175
m. Workuta, Komitet ZSRR.
19 marca 1957 roku. Nr 8/2-3624

ZASWIADCZENIE

Niniejszym zaświadcza się, że ob. HORODENSKI JOZEF s. Michała
został zwolniony z obozu 29 kwietnia 1955 roku na podstawie decyzji
sądu, art. 457 UPE RFSRR z powodu całkowitej utraty zdolności do pracy
i braku możliwości odzyskania zdrowia w warunkach obozowych.

Zaświadczenie wydano w celu okazania w Rajfinotdież w Kobryniu,
obwód Brzeski.

Kierownik Zarządu p/ja 2-175 -/- Potapkin.

Herbowa pieczęć okrągła.



nr 100. 60/51
Świadczym zgodność powyższego
przekładu z oryginałem dokumentu
tytułem wynagrodzenia pobrano
zł. 10.000
Miast Podolski, dnia 1.04.1957 r.
Tłumacz Przekład (język rosyjski)
(mgr Janina Juszyńska)

ZAŚWIADCZENIE Z POLSKIEGO CZERWONEGO KRZYŻA

+

POLSKI CZERWONY KRZYŻ
ZARZĄD GŁÓWNY
Biuro Informacji i Poszukiwań
B. Inf. III/6/1982/57
W odpowiedzi prosimy
powołać się na nr 100/4. 2.

Warszawa, dn. 30.12.1959
Mokotowska 14

Ob. HORODENSKA Józefa
Proteusz, p-ta Zabłudów
woj. Białystok

W związku ze zgłoszonym zapytaniem w sprawie
HORODENSKIEGO Józefa, s. Józefa i Michała, ur. 24. XII. 1910
uprzejmie zaświadczamy, że według uzyskanych informacji z Radzieckiego
Czerwonego Krzyża, wyżej wymieniony przebywał
Mordowskaja A. B. S. R., Zubowo - Polanski rej., pos. Jawas. pocztowy
jasczyk 2. Ch. 385.
Korespondencje do wyżej wymienionego należy kierować bez-
pośrednio, adresując kopertę w języku polskim i rosyjskim.

IK

ZŁOŻ. OFIAR
na Polski Czerwony Krzyż
ZARZĄD GŁÓWNY
Werszawsk. ul. Mokotowska Nr 14
Kassa w NBP Oddz. Miński
Nr 1531 - 9 - 18962

KIEROWNIK BIURA
Informacji i Poszukiwań
J. Grabowski

Druk Nr 3

ZAŚWIADCZENIE O PRACY W KOPALNI W POĆMIE

Tłumaczenie z języka rosyjskiego.

TŁUMACZ PRZYSIĘGŁY
Kawka z...
mgr Janina Jędrzejka
ul. ...

Kserokopia

CHARAKTERYSTYKA

Józefa Horodeńskiego s. Michała ur. w 1910 roku.

W pododdziale p/ja 2-175/2 jest od lutego 1949 roku. Od dnia przybycia do listopada 1953 roku pracował w kopalni Nr 7 jako robotnik niewykwalifikowany na składzie leśnym. Był sumiennym, rzetelnym pracownikiem. Od lipca 1948 roku do momentu wyzwolenia - inwalida. Wszelkich naruszeń prawa brak.

Dowódca pododdziału p/ja 2-175/2 /-/ Polippow.

Dowódca Jednostki /-/ Morozow/.

27.04.1955r.



04/04
Dowódca pododdziału p/ja 2-175/2
Przekazuję do ...
Kopiamy wysłane do ...
Mielik ...
Tłumacz ...
(mgr Janina Jędrzejka)

KARTA ZWOLNIENIA Z WIĘZIENIA Z ŁĘCZYCY

Więzienie **OPW**
AresztDnia **27 10** 195**9** r.

Karta zwolnienia

w **Łęczycy**Odn. **Horodeński Józef**s. **Michał** w **25 10 1910** w **System**został zwolniony w dniu **27 10 59**o godz. **16** z aresztu tymczasowego i udaje siędo **Wice Prezesa PGN Biotystob**

*) niepotrzebne skreślić

Naczelnik (komendant) jednostki

Wzr. M.S.D.W.-46 C.W.D. 1004-Wa. Druk. 1. zes. 341-62.

POUCZENIE

Na postanowienie o umorzeniu śledstwa i zarządzenia w przedmiocie domów przeczonych służy zaskalenie (art. 245⁷ i 353 § 1 i 3 k. p. k.).

Zażalenie wnosi się do prokuratora, który wydał zaskarżone postanowienie lub bezpośrednio do prokuratora wyższej instancji powołanego do rozpoznania zaskalenia (art. 353 k. p. k.).

Termin do zaskalenia wynosi siedem dni, licząc od daty otrzymania niniejszego zawiadomienia i jest zawsty (art. 208 § 1 k. p. k.).

Termin uważa się za zachowany, jeżeli przed jego upływem pismo zostało nadane w polskim urzędzie pocztowym lub telegraficznym, a przez osobę umieszczoną złożone w zarządzie więzienia (art. 206 k. p. k.).

Do

Za zwolnionym odbiorcą
posługującym odbiorcą

ANNA ZNAMIEROWSKA

Kiedy żyjemy – mamy imię...

cz. II

Od tragicznego mordu jej rodziców i brata mijał rok. Ludzie we wsi – mimo strat, głównie materialnych – stawali jakoś na nogi. Ci, którym front w 1944 r. strawił ogniem dom, stodołę czy chlew powoli klecili budynki; jedni szybciej z racji zasobniejszej kieszeni, wydajniejszej pomocy rodziny i silnych męskich rąk, drudzy wolniej i skromniej, ale wszyscy mogli wzajemnie wspierać się i liczyć na lepsze jutro. Wszyscy mieli komplet domowników poza rodziną Iwanowiczów, których mina tuż po przejściu frontu, w sierpniu 1944 roku pozbawiła życia dwóch członków: Antoniego i jego młodocianego bratanka, Jana. Stasi – wdowie po Antonim i jego kilkuletniemu synowi Gienkowi, żyło się równie ciężko. Nawet, jak ktoś czekał na powrót syna z wojny, to miał nadzieję, że ten wróci. Wojna przecież jeszcze trwała, powiadomień o śmierci nie otrzymali, więc wszystko w rękę Boga.

Regina nadziei nie miała, u niej wszystko było jasne... Została sierotą bez żadnych zasobów finansowych, w zrujnowanym gospodarstwie rolnym, z obowiązkiem opuszczenia siedziby we wsi i przeniesienia budynków na Zakrynicze. Czekwała jedynie na powrót chłopaka, który poszedł z frontem na zachód, ale czy wróci, a jak wróci, to czy do niej? Ze strony jego rodziców wiało chłodem. Ubogich nikt nie kocha i nie wybacza, a przecież taką teraz była.

Jej Antka, jako uzupełnienie Armii Czerwonej po zajęciu Białegostoku w 1939 roku i po wprowadzeniu swojej administracji, sowieci ubrali w kamasze, a z nim jeszcze trzech młodych ze wsi: Kazimierza Dąbrowskiego, Józefa Karpowicza i Antoniego Strzałkowskiego /tylko jeden z nich

wróci do domu/. Mieszkańcy Protas byli teraz obywatelami białoruskimi. Antek znalazł się tym sposobem nad Morzem Czarnym, przysłał kilka listów z Tbilisi i Baku.

W czerwcu 1941 r. rozpoczęły się burzliwe działania wojenne po napadzie Niemców na swoich sprzymierzeńców, front parł na Ural i listów już nie otrzymywała. Kiedy dobra passa Hitlera opuściła, a sowietci zaczęli rozdawać karty przy wojennym stole, stawało się oczywiste, że zbliża się kolejny front, tym razem ze wschodu.

Była ładna pogoda, sierpień, może wrzesień 1944 r., po wsi rozeszła się wieść, że szosą do wsi zbliża się wojsko. Grupa mieszkańców wyszła na ulicę i stłoczyła się u zbiegu tej ulicy z szosą. Byli ciekawi ponownych wyzwolicielei i liczyli na to, że może zobaczą swoich przymusem wcielonych do Czerwonej Armii. Była też Regina, wzrok jej błąkał się po twarzach żołnierzy, szukała Antka, a nuż go wyłowi z szeregów żołnierskich. Żołnierze byli do siebie podobni, nie sposób było kogoś rozpoznać i, kto powiedział, że on tam ma być? Jednak był i to on ją wypatrzył, podbiegł, przywitali się, i jak to w takich razach bywa, dziewczyna rozpląkała się. Powodów do płaczu miała więcej niż mu się wydawało.

Maszerujący zatrzymali się na króciutki odpoczynek i uzupełnienie wody, pozwolono Antoniemu odwiedzić rodzinę. Młodzi wiejską ulicą udali się w stronę domu jego rodziców. Po drodze ona opowiadała o tym, co wydarzyło się we wsi podczas jego trzyletniej nieobecności, co słyhać u jego rodziców i co spotkało jej rodzinę. Ona płakała, on uspakajał ją, i tak dotarli do bramy wiodącej do jej domu. Wojsko ruszyło z miejsca, nie było czasu na odwiedzenie rodziców, którzy mieszkali kilka domów dalej. Musiał dołączyć do żołnierzy. Antek poszedł na zachód; niemiecki okupant jeszcze trzymał się w Polsce.

Rozeszła się wieść, że Antek był we wsi, widział się z Regimą, a do domu rodziców nie zaszedł. Nie pomogły wyjaśnienia Reginy, matka Antoniego była urażona i tym wszystkim obarczyła ją. Nie rokowało to nic dobrego na przyszłość bliższą i dalszą. Od tego dnia minęło kilka miesięcy, nie było Antka ani wieści o nim.

Jakoś niedługo potem, wieś miała smutny pogrzeb. Trzech młodych dwudziestokilkuletnich ludzi zajęło się znalezionym granatem, który rozerwał się w rękach jednego z nich. Zginął okrutnie okaleczony Waclaw – syn sołtysa Jana Dąbrowskiego, Michał Ostaszewski /kolonia Zwierki/ wskutek odnowienia ran zmarł nieco później w szpitalu, zaś Stach Strzałkowski miał więcej szczęścia, mimo ran został przy życiu.

Zbliżała się wiosna 1945 r. Dni stawały się dłuższe, noce krótsze, ale i tak wystarczająco długie na bezsenne rozmyślenia, tęsknoty i wspomnie-

nia. Każdej nocy było wystarczająco dużo czasu na płacz; miała 22 lata i przytłaczający bagaż nieszczęść, i z nikąd pociechy. W ciemnym tunelu jej życia nawet mała iskierka nie wróżyła zmiany na lepsze. Każda próba wyjścia z zakłętego kręgu kończyła się źle i coraz bardziej spychała ją w kipiel czarnych myśli. Lękała się tych myśli i ratowała się ucieczką w przeszłość, w której mimo różnych zawirowań było bezpiecznie, bo był „anioł stróż” w osobach mamy i ojca. Ojciec jawił się jej jako ten, co wszystko może i dużo wie, jako człowiek silnego charakteru, zdyscyplinowany, trzymający rygor w rodzinie i otoczeniu. Mama, to dobry, cichy duszek, balsam na dziecięce i młodzieńcze rozterki.

Była najmłodszym dzieckiem, miała o dwa lata starszego brata Antoniego – towarzysza zabaw. Pozostała trójka rodzeństwa to ludzie dorośli; najstarszy z nich – Broniek – był już żonaty gdy ona poszła do podstawówki w Zwierkach. Wracła do lat jeszcze niedawnych, kiedy jej problemy ograniczały się do tego, kogo zagra w szkolnych jasełkach, czy tato na czas zmajstruje skrzypeczki i, czy uda się na nich coś wybrzdąkać w szkole, czy sukienka, jaką szyla mama, będzie najładniejszym strojem na szkolnej zabawie.

Czteroklasowa Szkoła Podstawowa w Zwierkach mieściła się w drewnianym budynku, miała 2 salki lekcyjne, kancelarię i mieszkanie dla nauczyciela. Kiedy rozpoczynała naukę w 1929 r. uczyły 2 nauczycielki: Zofia Chomicka, która mieszkała u Todorczuków w Zwierkach, a potem wyszła za mąż za nauczyciela z Zabłudowia – Piotra Komara i Stanisława Koziółówna, która zajmowała mieszkanie w budynku szkolnym. Ta druga, w rok czy dwa później, została przeniesiona do Szkoły Podstawowej nr 15 w Białymstoku przy ulicy Lipowej. Dzieci nie chciały jej wypuścić z budynku, zamknęły drzwi, tarasowały wyjście, czepiały się jej rąk i ubrania, prosząc – niech pani zostanie, niech pani zostanie... Nie została, ale pamiętała o wiejskich dzieciakach. W nowym miejscu pracy zorganizowała zbiórkę odzieży i przyborów szkolnych dla ubogich dzieci ze szkoły w Zwierkach. Regina na te datki nie załapała się, ale i tak była wielka frajda, kiedy pani Koziółówna odwiedzała ich z grupą dzieci z Białegostoku i w ramach integracji wspólnie bawiono się i ucztowano przy zbożowej kawie, wiejskim chlebie z masłem i mlekiem; potem furmankami odwożono miejskie dzieci do miasta.

Nowa nauczycielka Wąsowiczówna miała małego synka Waldka, ukochanego psa Hunta, znęcała się nad skrzypcami na lekcjach śpiewu i zajmowała mieszkanie po pani Koziółównej. Przychodziły Reginie na pamięć obrazki ze szkolnych bójek, kiedy to, zazwyczaj po zajęciach szkolnych, dzieciarnia protasowska uciekała z piskiem, a łubnicka goniła;

rzadko bywało odwrotnie. W zwierkowskiej szkole edukowały się dzieci z czterech wsi: Zwierki, Zagruszany, Łubniki i Protasy. Jeszcze teraz śmiech ją ogarniał na wspomnienie pewnej lekcji śpiewu. Do klasy weszła pani Wąsowiczówna ze skrzypcami, prowadząc za rączkę ledwie przebiegającego nóżkami Waldka, a przed nimi wparowało lubiany przez dzieci Hunt i przystąpił do odprawiania rytuału powitalnego z uczniami, biegając radośnie między ławkami. Któryś z chłopców nastąpił mu na łapę albo „serdeczniej” skubnął, a jak psisko żałośnie zaskowyczało, rozbrykana czereda dzieci buchnęła śmiechem; skonfundowana nauczycielka, tym co miała pod ręką, czyli skrzypcami, grzmotnęła chłopca po głowie. Skrzypce rozbiły się, dzieci na chwilę zamilkły wystraszone nagłym obrotem wydarzeń, ale radość z unicestwienia skrzypiec wzbudziła ponownie falę rechotu, a prym w nim wiodły dzieci z Protas, gdyż dla nich dodatkowym powodem do radości był fakt, że uszkodzona głowa należała do Józia z Łubnik. Józiowi pewnie nie było wesoło, interwencji rodzicielskiej nie odnotowano w tej sprawie, skrzypce odeszły w zapomnienie, a Hunt dalej szalał z dziećmiakami.

Cztery lata szybko minęły; aby chociaż po części dopełnić obowiązek edukacyjny większość dzieci powtarzała czwartą klasę, uzyskując pięć lat nauki. Z Protas tylko troje dzieci realizowało naukę powyżej czwartej klasy: nieco starszy od Reginy Józef Podlaski uczył się do siedmioklasówki w Zabłudowie, nieco młodsza Maria Dakowicz do Białegostoku. Regina do Szkoły Podstawowej nr 3 przy ulicy Gdańskiej w Białymstoku poszła wbrew woli ojca, gdyż uważał, że dziewczynie wystarczy umiejętność czytania, pisania i liczenia, a dalsza nauka, to nauka gotowania, szycia, prowadzenia domu itp.

Codziennie, jako niespełna dwunastoletnie dziecko, pieszo pokonywała drogę do i ze szkoły, łącznie 16 kilometrów. W szkole, jak przystało na piątklasistkę, trzeba było pobawić się w kreca, pobiegać za piłką; nie mogła i nie chciała odstawać od wypoczętych miejskich uczennic. W drodze powrotnej nogi odmawiały posłuszeństwa, czasem udało się uprosić dobrodusznego człowieka, by pozwolił przysiąść w półkoszku furmanki, ale zwykle mówiono: – „Młoda, możesz piechotą”. Kiedyś, bez zgody woźnicy cichcem przysiadła z tyłu na spodówce furmanki, a gdy ten skręcał do Kurian i ją zauważył, wyrzeszczał pod jej adresem życzenie: – „Żeby ty zdychała i zdechnąć nie mogła!”. Nie mogła pojąć, dlaczego ów człowiek obdarzył ją takim jadłem? Taki wychudzony szkrab, jak ona, nie uczynił koniowi rozpoznawalnej różnicy w ciągniętym ciężarze. Zimą mieszkała u swojej ciotki Anny Pełkowskiej /siostra matki/ przy ulicy Warszawskiej.

Mimo trudności miło wspominała ten czas; poznała sporo koleżanek, z którymi utrzymywała kontakt w latach następnych, a z niektórymi nawet w okresie powojennym i znacznie dalszym, między innymi: z Henryką Citkowską /przez długie lata pracowała w „Orbisie”, Ireną Malinowską, Ireną Charutą, Haliną Półtorak, zaś z innymi: Pieńkowską, Pełczyńską, Teśluk Niną oraz Jaworowską i Gołębiewską ze Skorup, Cieśluk z Dojlid, Skalenajdo Grażyną, Ciulkin z Rzepnik kontakty urwały się. Pozostali w pamięci nauczyciele: Pani Miształ – wychowawczyni, pani Maklak, Ostrowska, Nadowski – matematyk...

W 1934 roku pobieranie nauki zakończyła, ponieważ mama nie chciała dłużej prowadzić wojny z tatą i zgodnie z jego pomysłem, została umieszczona u zakonnicy przy ul. Orzeszkowej w Białymstoku celem zdobycia zawodu krawcowej. Siostry zakonne poza szyciem wynajmowały w swoim domu kwatery dla przedstawicieli białostockiej inteligencji: prawnik, lekarz, nauczyciel, urzędnik i dziewczynki miast przyuczać się do zawodu były pokojówkami, sprzątały szwalnię, pracowały przy zmywaniu w kuchni. Uczennice mieszkaly przy zakonnicy; te z ubogich rodzin w jednym pomieszczeniu, a lepiej sytuowane w drugim. Taki podział istniał też między zakonnicy. W pamięci jej pozostał obraz schorowanej staruszki – siostry Anny, która pochodziła z biednej rodziny i na stare lata przez siostry była bardzo zaniedbywana, traktowana adekwatnie do swego stanu pochodzenia i majątności. Uczennice, na ogół trzynastoletnie dziewczynki, ukradkiem odwiedzały staruszkę; pielęgnowały ją, przynosiły jedzenie, wodę, czasem umyły ją, i uprzątnęły kątek, w którym biedaczka leżała.

Kiedy rodzice zorientowali się, że minął prawie rok, a córka nawet igły w rękę nie miała, doszli zgodnie do wniosku, że w takim tempie i za dziesięć lat krawiectwa nie pozna, więc zabrali ją do domu. Od tej pory, nauczycielem krawieckim córki była matka – Antonina Dąbrowska. Regina ciągotek do szycia nie miała, w roli krawcowej siebie nie widziała, zresztą, czy trzynastolatka może realnie planować przyszłość? Garnęła się do ludzi, lubiła porozrabiać z rówieśnikami, poczytać, ciekawił ją świat, interesowały prace męskie.

Była w siódmym niebie, gdy ojciec zabrał ją ze sobą na budowę do Królowego Mostu. Jechali przez las, ojciec, bracia Julek i Antek, wujek Rutkowski z kuzynem, a ona była w środku zainteresowania; miała zapamiętać drogę, poszczególne dukty leśne, bo mężczyźni zostawali na placu budowy na cały tydzień, zaś jej zadaniem było odprowadzenia konia z wozem do domu. Kiedy wzięła lejce do rąk, ojciec dał radę – jak zabłądzisz w lesie, to puść luźno lejce, koń sam znajdzie drogę. Zirykowało to

ją, ma polegać na koniu? Za kolejnym zakrętem okazało się, że dukt do duktu podobny a sosna do sosny, wystraszona, postanowiła zdać się na pamięć konia i nie zawiodła się. Zadowolony, że nikt go nie popędza, koń spacerkiem wyszedł z lasu na protasowskie pola. Nie zdawała sprawy z tego, iż las może być straszny i potrafi omotać człowieka, jak diabeł biedną duszę. Potem niejedną raz podobne podróże odbywała i zawsze miała respekt dla zielonych ostoi leśnych.

Spojrzenie na jakiś przedmiot w domu, dotknięcie go, zatrzymanie wzroku na drzewie, na stawie, spotkanie kogoś, czyjś głos czy śmiech sprowadzały przeszłość; obraz za obrazem...

Ileż pracy, obowiązków i przyjemności wiązało się z rośliną, jaką w życiu jej rodziny i całej wsi był len. Regina, jako kilkuletnie dziecko, w kwietniu lub w pierwszych dniach maja asystowała mamie i starszej siostrze Jadwidze przy szykowaniu zagonu dobrej ziemi pod zasiew lnu. Kiedy zielenią wspinał się do słońca, trzeba go było starannie opielić; drugie pielienie było mniej marudne, ale dokuczał zazwyczaj upał. Do miłego akcentu lnianych procedur zaliczała się pora kwitnienia, kiedy zagon zapatrzone w niebo błękitniał i nie wymagał już specjalnych zabiegów uprawowych. Przy ładnej pogodzie, jeszcze w sierpniu albo w początkach września, wypływały łan lnu ze złotymi główkami wyrwały, rozkładały cienką warstwą aby wysuszyć, a po kilku dniach wiązały w snopki i ojciec zwoził je do stodoły. Tu ponownie rzędami, równą warstwą rozkładały na klepisku i młóciły, czyli obijały główki łodyg drewnianymi bijakami, aby otworzyć je, i uwolnić nasiona. Wymłócony len wiązały w duże pęczki, szykując do pławienia w wodzie.

Z zebranych i oczyszczonych nasion tłoczono olej spożywczy i tym zajmowała się olejarnia w Michałowie; wylókami – tzw. kałaczami – karmiono zwierzęta, gustowały w nich cielęta. Olej był podstawą żywienia rodziny w czasie postu i w piątki, których w jednowyznaniowej katolickiej wsi ściśle przestrzegano; miał specyficzny smak i aromat, pieczono na nim placki, okraszano ziemniaki, groch i kasze, gotowano zupy, a z chlebem i cebulką też smakował.

Dalszy proces produkcji nitki lnianej przenosił się na łęg tj. staw / zlokalizowany w okolicy obecnego stawu Antoniego Okurowskiego/. Każda zainteresowana rodzina zajmowała kawałek powierzchni wodnej stawu i ograniczała go czterema palami wbitymi w dno. Między tymi palami układano lniane pęczki jedną lub dwiema czy trzema warstwami, przykrywano drągami, układając na nich darninę, a dla obciążenia przykrywano czasem kamieniami, żeby snopki nie wypłynęły. Len moczył się przez dwa tygodnie, po czym wyjmowano go, rozkładano na brzegu, jak

nie było miejsca, wywożono go w inne miejsce i suszono. Była to paskudna robota, wymagająca brodzenia po wodzie, opędzania się od pijawek i łowienia śmierdzących, rozmamłanych snopków. Wysuszony len zabierano do domu, gdzie w kilku turach dosuszano na płycie kuchennej po wygaśnięciu pod nią ognia albo w piecu chlebnym. Len był gotowy do rozpozyczenia pozyskiwania włókna.

Poszczególne garści lnu międlono w międlicy aby połamać zewnętrzną słomiastą osłonę włókna, potem na specjalnym trzepaku wytrzeptywano z połamanych osłon, następnie

wyczesywano dobierając się do czystego włókna. Do czesania służyła deska długości około osiemdziesięciu centymetrów z wbitymi równymi kawałkami drutu, w jednym jej końcu rzadziej, a w drugim gęściej. Związaną garść włókien przeciągano w poprzek po rzadszej a potem gęściej szczotce. Otrzymane włókno było gotowe do przędzenia.

Tym, co stanowiło odpad po międleniu i trzepaniu, utykano ściany i stropy domów celem uszczelnienia i ocieplenia ich. To, co wyczesano wstępnie stanowiło pakuły gorszego gatunku, wyplatano z nich pęta dla krow i koni, sznury i liny; uzyskane z drugiego czesania były lepsze jakościowo, można było z nich uprząść nitkę na tkaninę workową, na wierzchnie robocze ubranie lub na osnowę do chodników. Z gładkiego włókna z gęstej szczotki uzyskiwano nitkę, z której tkano tkaninę na prześcierała, poszwy, ręczniki, bieliznę osobistą, obrusy i dywany.

W wielu domach stały krosna do tkania tkaniny lnianej, workowej czy chodników na własne potrzeby, czynność ta nie wymagała specjalnych umiejętności. Jadwiga – Reginy siostra, miała krosna bardziej zmechanizowane i przystosowane do tkania wzorzystego, głównie białych obrusów lub kolorowych dywanów lnianych czy wełnianych, co wymagało większych umiejętności; choćby zaprojektowania wzoru i powiązania go z osnową i wątkiem. Tkała zarobkowo na zamówienie okolicznej ludności. Utkane płótno zdejmowano z krosien, składano w harmonijkę i w słoneczny letni dzień moczone przez chwilę w czystej wodzie, rozkładano na zadarnionej ziemi, suszono w słońcu, a pod wieczór albo przed burzą składano ponownie w harmonijkę i zabierano do domu. Czynność tę powtarzano przez kilkanaście słonecznych dni, a proces nazywano bielaniem. Wybielone płótno, zwinięte w rulon tzw. zwałki, zaradne gospodynie przechowywały w skrzyniach i kufrach, przeznaczając na potrzeby bieżące, jak i na posag córkom. Zdolna krawcowa mogła z dobrze przygotowanego płótna uszyć paradną bluzkę czy sukienkę przyozdobioną koronką szydełkową, haftem albo wyszywanym białym lub kolorowym wzorem.

Len, taka mała niepozorna roślina, zatrudniał kobiety i ich córki przez cały rok, ale też żywił ludzi, tuczył zwierzęta, był materiałem budowlanym, ubierał i... dostarczał rozrywek.

Bo czym, jak nie rozrywką, było przedzenie włókna lnianego późną jesienią i zimą? Wiejskie gospodynie przędły pojedynczo w swoich domach, ale czasem zaprzyjaźnione sąsiadki skrzykiwały się na wieczorynki przy kądzieli u jednej z nich. Na takich babskich sabatach łączono pracę z plotkami. Kiedy wieczorynkę organizowała mama Reginy, dziewczynka zaszywała się w kącie i udawała śpiącą, ale jej słuch i wyobraźnia pracowały na wysokich obrotach, chociaż jako dziecko nie wszystko mogła pojąć z zasłyszanych babskich zwierzeń i anegdot.

Przykładem matek, córki organizowały zbiórki zwykle całodzienne. Jedne przędły, inne szydełkowały, wyszywały albo dziergały na drutach, co która miała i umiała, zaś pracę przerywał skromny poczęstunek w porze obiadowej. Wieczorem podkradali się chłopcy, podglądali przez okno, w końcu wchodzili do środka; pomieszczenie szybko zagęszczało się, narastał gwar, zjawiał się grajek. Dziewczyny jeszcze udawały, że są zapracowane, bo tak nakazywał dobry ton, wykazywały się umiejętnościami i pracowitością. Któryś z chłopców dawał hasło, prace ręczne przerywano, kołowrotki szły w kącie i zaczynała się zabawa. Na skrzypcach grał Franek Iwanowicz, Antoni Dąbrowski /wujek Wali – obecnie Wasiak/, ale jak zjawiał się Wacek Lejko z akordeonem, to zespół był w komplecie a muzyka jak się patrzy.

W taki wieczór zdawało się, że młodym nic już do szczęścia nie potrzeba. Reginie, można rzec dziecku jeszcze, świadczącemu starszej siostrze Jadwidze przysługi typu: przypilnować coś, powiadomić koleżanki /telefonów komórkowych nie było/, zdarzało się zawieruszyć w kątku i paść oczy tańcami, a uszy muzyką.

Latem, takie zabawy z własną muzyką urządzano „pod chmurką” na tzw. zagumieniu czyli zastodolu /obecnie okolice warsztatu mechanicznego przy szosie do Rafałówki – byłym gościńcu/, wstęp był bezpłatny, strój jaki kto miał, dobry nastrój mieli wszyscy. Zbiegała się młodzież, potem znęceni muzyką starsi i dzieci. Jeśli „majówka” była wystawniejsza, plac obtykano zielonymi brzoźkami i ustawiano kilka ław dla zmęczonych. Przy suchej pogodzie, gdy rozkręciły się oberki, kujawiaki i walczyki, to kurz wzbijał się w powietrze nad rozbawionym tłumkiem. Takie zabawy urządzano też w domach. Delegacja chłopców przychodziła do właściciela większego domu i prosiła o użyczenie pomieszczenia na potańcówkę. Potańcówki najczęściej odbywały się u Szydłowskich, Okurowskiego Józefa, w domu Reginy, często u Okurowskiego Władka, chociaż chatę miał nie-

wielką, ale ochotę dużą na przebywanie z młodzieżą; lubił pogadać, pozartować, był z niego wesoły i towarzyski człowiek i sąsiad.

Już na kilka lat przed wojną wychodziło z mody tkanie lnianego płótna; w Białymstoku kupowało się gotową pościelówkę, gacie i koszule też się z tego szyło. Wraz z lnem powoli odchodziły w zapomnienie wieczorynki z kądzielą i potańcówkami, coraz rzadziej kobiety brodziły po stawie łapiąc lniane snopki, coraz rzadziej błękitne zagonki zdobiły pole i tylko gdzieniegdzie jesienią klaskały międlice. Do wyrobu sznurów i lin prawie wyłącznie używano już konopi i nikt nie przypuszczał, że drzemie w nich narkotyk, który przyczyni się do zakazu uprawy tych wyniosłych i mało wymagających roślin. Nadal do obowiązku kobiet i dzieci należało przebieganie grochu, łuskanie fasoli i maku – kolejnego przyszłego winowajcę narkotycznych odurzeń. Gospodynie mające dorastające córki obowiązkowo hodowały gęsi i kaczki, jesienią i zimą darty pierze, szykując pierzyny i poduchy na wyprawę.

Latem gęsi i kaczki pasły się same; rano, razem z kogucim harem dostawały domowe jedzenie i szły na łąg uzupełniać jadłospis zieleniną i pluskać się w bajorkach, a pod wieczór wracały; a jak zbrzydło, to i wcześniej. Czasem ta rozgęgana i rozkwakana procesja wpadała pod koła mijających lub wyprzedzających się furmanek i... którąś z gospodyń miała niechciany rosół. Taki rosół bywał przyczyną sporów, bo każda chciała mieć w zagrodzie komplet żywych ptaków, a nie martwą gęś czy kaczkę. Gniewy trwały do najbliższych świąt: Wielkanocnych albo Bożego Narodzenia. Na rezurekcję bądź pasterkę, z każdej rodziny ktoś stawiał się w kościele w Zabłudowie; jedni jechali furmankami czy saniami, drudzy szli, jedni drugich podwozili. Jeśli nie zdążyli pogodzić się wskutek wielkopostnej spowiedzi potwierdzonej pisemnie ani zbiorowej wyprawy do świątyni, to godzili się pod wpływem księzego kazania, pieśni, Żłóbka czy Grobu Pańskiego. Nastawała zgoda... do następnej okazji.

Protasy były małą wsią, ale ruchliwą, a to za sprawą nieprzejezdnego, w dużej części roku, gościńca. Trasa gościńca, na ziemiach protasowskich, mniej więcej pokrywała się z biegiem obecnej szosy do Rafałówki. Na odcinku kopce – Krasowscy /obecnie Cieśluk/ droga biegła przez niski i podmokły teren, a po deszczach oraz roztopach jesiennych i wiosennych była nie do pokonania dla furmanek tzw. „żelazniaków”, więc mieszkańcy: Kamionki, Zjazierców, Zacisza, Rafałówki, Dobrzyniówki i Folwark, a nawet Topolan i Michałowa wybierali drogę przez wieś Protasy. Wielu, już z przyzwyczajenia, przez cały rok robiło tłok na wiejskiej ulicy, stąd o nieprzewidziany rosół nie było trudno. Przez wieś ciągnęły orszaki wesel-

ne, konduktu pogrzebowe, furmanki na targ z prosiakami i drobiem w półkoszkach i przytroczonym do kłonic byłem.

Ponieważ telewizji nie było, o komputerze i internecie nikt nie słyszał, zabawą dzieci i wyrostków bywała praca, wprawdzie nie każda, ale chodzenie na „przypaskę” zaliczało się do miłego zajęcia. Po komasacji gruntów, jaką Protasy zostały objęte tuż przed wojną, funkcja „przypaski” szybko zmierzała do zaniku, ale Reginie jeszcze zdarzyło się załapać na ten rodzaj pracy. Wieś wynajmowała człowieka do pasienia krów. Za jej pamięci czynność tę wykonywał Staśko. Mieszkał z żoną i córką w chatce, a raczej ziemiance przycupniętej w końcu wsi, od południowego stoku góry, która wtedy była wysoka i z daleka widoczna. Gdyby powiedziano ówczesnym mieszkańcom wsi, że za kilkadziesiąt lat nie będzie po niej śladu, zapewne pukaliby się znacząco w głowę. Chatka zanurzała się w piaszczysty grunt zaś tyłem wnikała w górę.

Staśko dostawał za sezon uzgodnione pieniądze. Ponieważ, każdy z gospodarzy miał ziemię mocno rozdrobnioną, były to długie zagony szerokości 3-8 metrów zlokalizowane w kilku miejscach, w związku z tym, nie mógł uprawiać jak chciał, lecz jak robili to sąsiedzi. Gospodarz mógł mieć i zwykle miał te zagony w 6-8 miejscach, na tzw. „Naddatkach” – od góry w dół, „Łapuckich morgach” – w pobliżu Modzelewskiego, „Szerokich” – las i grunty orne, „Piątakach” i „Szóstakach” – koło Cieśluka i Kostka Okurowskiego, „Zakryniczu”, „Zagumieniu”, „Łozinach” – za gościńcem, „Kopcach”, „Oszyjkowym” – od drogi sobolewskiej do Płockiego II, bliżej wsi – „Szałajowym”, potem „Średnich”, „Skrajni” i na „Dubniku” – koło Dakowicza i Michalczuka. Po zbiorze zboża nie robiono podorywki, zagony rżyskowe porastało zielsko i pogubione kielkujące zboże, którymi późnym latem i jesienią spaszano bydło całej wsi. Wiosną i latem stado pasło się na wiejskich wspólnotach tzw. wypustach, czyli bagiennym terenie „Zakrynicza”, na łągu, w „Łozinach” i na łące za szosą. Łąki przeznaczone na zbiór suszu wieś miała na „kowałowym” /koło Grabówki/, gdzie było bardzo mokro, często trawę trzeba było wynosić na specjalnych nosiłkach, a przy tym mieć na oku zmije oraz na tzw. „busłach” pod Olmontami, tu zbiór siana był łatwiejszy. Na zimową paszę uprawiano koniczynę, wykę, seradelę i brukiew.

Wypas miał swoją procedurę, pastuch przychodził do gospodarza raniutko na śniadanie, dostawał kogoś na „przypaskę”, obiad w kieszonkę i udawał się na koniec wsi, krzycząc przy tym z pomocnikiem: – „Wyganiaj! Wyganiaj!...” Otwierały się zagrody i bramki, krowy wychodziły na ulicę, formując coraz to większe stado, a gdy ono opuszczało wieś kierując się na miejsce wypasu, pastuch z pomocnikiem milkli. Kro-

wy pasty się łąpczywie, potem dostojnie przeżuwały, a Staśko snuł różne opowieści – historie niby prawdziwe i w całości zmyślone; był też czas na drzemkę. Bardziej pracowicie wyglądał dzień upalny, gdy w południe muchy rozwścieczyły stado, a to wywijając ogonami gnało na oślep do wsi, zaś pastuch z pomocnikiem pędzili za nim, wrzeszcząc co sił: – „Otwieraj! Otwieraj!...” Gospodarze co prędzej otwierali bramy i łapali swoje krasule i łaciate; który zagapił się, to szukał dobytku w polu, w drugim końcu wsi.

Sumując: „przypaska” była miłym zajęciem. Pomagając pastuchowi, który, co by nie mówić, w dużym stopniu wyrećzał się małymi pomocnikami, można było do woli, całkiem publicznie i bezkarnie wykrzyzczyć się, wyhasać oraz mieć święty spokój od rodzicielskiego gderania. Każda rodzina dawała posiłek pastuchowi oraz też pomocnika przez tyle kolejnych dni, ile miała krów, a pomocnikiem, czyli „przypaską”, zostawał najmłodszy członek rodziny, sprawny fizycznie i mający przynajmniej dziesięć lat.

Budziła uśmiech historia pierwszego pomidora na warzywniku protasowskich gospodyń. Warzywnik, jak sięgała pamięcią i jak wspominała jej mama, rozłożył się wzdłuż wsi, po prawej jej stronie od linii zabudowy równoległymi zagonami prostopadle do rowu, a wcześniej do długiego bajora, które tu istniało. Z inicjatywy gminy w 1937 roku, żeby osuszyć bajoro, wykopano rów melioracyjny. Każdy gospodarz miał obowiązek dać człowieka do wykopania rowu na jego odcinku gruntu albo wyłożyć pieniądze na tę czynność; nadzór techniczny fundowała gmina w Zabłudowie.

Kiedy nastawał maj, wychodziły kobiety na ogród i szykowały swoje zagonki, siały warzywa na ogół z nasion, które uzyskały w ubiegłym roku. Uprawiano podstawowe warzywa: marchew, buraczki, cebulę, kapustę, koper, jadalną brukiew, dynię, a królował mak i słoneczniki. Zupełnie zaś nie znano: papryki, patisonów, kabaczków, cukini, oberżyny, kalafiorów no i... pomidorów. Mama Reginy dostała od znajomej z Białegostoku nasiona pomidora, posiadała je zimą, przepikowała do skrzyneczki i anemiczną rozsadę wysadziła wiosną na warzywniku. Wyglądało to mizernie. Potem krzaczki rozrosły się pod nadzorem sąsiedzkim, zakwitły i zawiązały owoce, i cały czas przypominały łąty kartofli /ziemniaków/, wzbudzając tym politowanie sąsiadek, bo tyle pracy „Jasieńkowa” włożyła, a dochowała się zwyczajnych kartofli. Kiedy owoce wyraźnie urosły i zaczęły dojrzewać, wzmogło się zainteresowanie nimi, i zarumienione pomidorki ginęły z krzaczków; wszyscy przeprowadzali po kryjomu smakowanie. W końcu „Jasieńkowa” zbystrzała, bielejące owoce zabierała do domu i układała na

słonecznym parapecie, i tak dojrzewały. Uzyskała nasionka i w następnym roku już kilka jej sąsiadek pielęgnowało swoje pomidorki na swoich zagonkach. Nie znano odmian pomidorów, we wsi była jedna protasowska odmiana; dopiero sporo lat po wojnie nastąpiło zróżnicowanie.

Z warzywnikiem wiąże się mogiła z I wojny światowej. Mama co roku pokazywała Antkowi i Reginie mogiłę zlokalizowaną na miedzy między warzywnikiem Dąbrowskich a Władka Okurowskiego. Obaj sąsiedzi, wiosną czy jesienią, orząc ziemię omijali ją i tak dotrwała do II wojny światowej. Podczas działań wojennych znaleziono ciężko rannego żołnierza armii bolszewickiej, dostał kulę w siedzenie, która ugrzęzła w trzewiach; ranny jęczał: „W żopie pieczot. W żopie pieczot.” Nie było możliwości udzieleniu mu fachowej pomocy medycznej, ranny zaraz zmarł i pochowano go na wspomnianej miedzy /dziś nie ma nawet śladu po tej miedzy, a tym bardziej po mogile/.

Reginę, kiedy podrosła, a raczej wyrosła – bo małą zawsze była, Julek zapisał do Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej działającego przy parafii Świętego Piotra i Pawła w Zabłudowie i, jako szesnastoletnia panienka w 1938 roku została skierowana na kurs bibliotekarstwa w Białymstoku. Uczestnicy mieli nieść ogarek oświaty do swoich wsi i miasteczek i w tym celu każdy z nich na dobry początek otrzymał biblioteczkę / skrzynkę z deseczek z wieczkiem/ wypełnioną książkami. Zbierały się już chmury wojennej zawieruchy; Regina została wytypowana na organizowany przez Polski Czerwony Krzyż kurs „pierwszej pomocy medycznej”, który miał na względzie przygotowanie ludności cywilnej na działania wojenne. Zakończył się w lutym 1939 roku, na świadectwie podpis złożył współorganizator kursu – szef Okręgowego PCK w Białymstoku dr Adam Zabłocki.

Mimo, że o wojnie mówiło się coraz częściej, to życie toczyło się dalej. Ludzie wierzyli, a może bardziej chcieli wierzyć, niż wierzyli, że polska dyplomacja sprawę jakoś uładzi, że Polska ma przyjaciół na zachodzie, że jesteśmy silni i nie oddamy nawet guzika... Wiara i nadzieja są ludziom potrzebne, pomagają przetrwać, jednak, gdy nie towarzyszy im czyn, to zazwyczaj bywa realizowany scenariusz według przysłowia „...i wśród przyjaciół psy zająca zjadają”. Już za kilka miesięcy Polacy mieli doświadczyć doli zająca, ale nim to nastąpiło, była praca oraz smutki i radości codzienne; Protasy były daleko od Warszawy i wielkiego świata. Jan Dąbrowski nie podzielał optymizmu swego syna Juliana i uważał, że wojna z Niemcami jest już na polskim progu.

Młodość Reginy i jej starszego o dwa lata brata Antoniego przypadła na ten niespokojny czas. Mogła oficjalnie bawić się na potańcówkach i

poważniejszych zabawach, ale procedurom musiało stać się zadość. Sama pójść na zabawę nie mogła, chyba że z bratem, jeśli chłopak zapraszał ją, to musiał uzyskać akceptację jej ojca i spełnić warunek – córkę odprowadzić do domu o wyznaczonej z góry godzinie, i nie była to bardzo późna godzina. Jeśli warunku nie spełniono, był szlaban na następne zabawy i wyjścia z domu. Musiała wracać gdy zabawa rozkręcała się; by uniknąć skutków niesubordynacji i jednocześnie zostać dłużej, należało dogadać się z mamą. Mama zostawiała umówione okno niedomknięte, ojciec kładł się na szlabanku w sieni, przy drzwiach wejściowych, aby dopilnować powrotu córki. Wracała ze wszystkimi, zazwyczaj ze Zwierek, wchodziła przez umówione okno, nurkowała pod kołdrą obok mamy, dzieliła się z nią wrażeniami z zabawy i udawały śpiące, gdy ojciec nie doczekawszy się córki wchodził do izby, by upewnić się, że jej tam nie ma. Nie dowierzał oczom, coś mamrotał i cichcem wychodził, a rano przy śniadaniu, niby od niechcenia, pytał żonę: – „Reginka wczoraj o której wróciła?” Kiedy ta potwierdzała punktualność powrotu córki, on zastanawiał się, jak to się stało, że był przy samiuteńkich drzwiach, sypia bardzo czujnie, oko przysmknęła na chwilkę i nie słyszał stukania do drzwi oraz ich otwierania.

Tak bardzo chciała go teraz zobaczyć w tych sionkach, na tym szlabanku, niechby pogadała, niechby pokrzyczał, byleby był.

Wiś nie lękała się wojny tak silnie jak miasto. Wszystkim wojna kjarzyła się z wojskową mobilizacją, ze śmiercią, kalectwem, niewolą, bombardowaniem, zbrodniami agresora, niewygodami życia, ale aglomeracje miejskie dodatkowo zagrożone były głodem. Wiś była zawsze bardziej samodzielna w kwestii wyżywienia, wprawdzie frykasów nie jadało się, ale tu trudniej, niż w mieście, umrzeć z głodu. Przed wojną, a i w czasie wojny, praca była bardzo tania, ręk do pracy wiele, stąd płace bardzo małe. Za dzień kopania ziemniaków płacono 1 złotówkę, tyle co za 1 kilogram cukru, ale zapłatę mogły stanowić też produkty żywnościowe.

W sierpniu 1939 roku mobilizacja wojskowa pozbawiła złudzeń nawet największych optymistów, wojna z Niemcami była sprawą oczywistą. Jedynie radio we wsi było własnością Juliana i przeżywało teraz istne obłędzenie; przy słuchawkach nasłuchiwało kilka osób na raz i, to ono obwieściło pierwszy dzień polskiej tragedii. Wiś otrzymała nakaz dania ludzi do robót związanych z przygotowaniem terenu pod polowe lotnisko w okolicy Dobrzyniówki – chyba w dobrach Mantouffla. Gdy grupa ludzi z łopatami, w tym Regina, zbliżyła się do lasu na „Szerokich”, ich uszu dobiegł jęk syren z Białegostoku, ostrzegający przed nalotem lotniczym. Kiedy dotarli na miejsce i oczekiwali na specjalistę, który miał wydać instrukcje, i nadzorować pracę, na niebie pojawiły się niemieckie samolo-

ty. Jeden z nich został, zrobił kilka okrążeń, obejrzał z góry stadko wystraszonych ludzi i odleciał. Fachowiec nie przyjechał, przygotowanie lotniska zakończyło się, nim je rozpoczęto.

Przy bezwietrznej pogodzie, a wrzesień tego roku był piękny, prawie codziennie słychać było syreny z Białegostoku, czasem odgłosy kanonady; w kierunku miasta nad horyzontem widoczne były samoloty. Bywało, że któryś wleciał na protasowskie niebo, ale nic nie zrzucał. Na brukowanej szosie był duży ruch. Z Białegostoku ciągnęli głównie cywile, samochodami, furmankami, rowerami nawet pieszo. Tu i ówdzie pojawiało się polskie wojsko, przez kilka godzin oddział polskiego wojska przebywał we wsi. Ludzie zadzierali głowy i z lękiem lustrowali wrześnie niebo, obawiając się bomb i ostrzału z powietrza.

W domach, zgodnie z instrukcją, niektórzy paskami papieru kleili na krzyż szyby okienne w celu zabezpieczenia szkła przed pękaniem podczas wstrząsów wywołanych wybuchami. W pierwszych dniach wojny mama Reginy spakowała w słoiczek złote carskie monety, wykopała w obecności córki spory dołek w kawałku glinianej podłogi przy drzwiczkach do chlebnego pieca, włożyła słoik z zawartością, ponownie zakryła i ubiła zwilżoną gliną, dla niepoznaki. Przykazała córce, że w razie jakiegoś nieszczęścia, kiedy będzie w potrzebie albo w przypadku śmierci rodziców – a wszystko może się zdarzyć, bo jest wojna – powinna zapamiętać to miejsce, wydostać złoto i mądrze spożytkować. Zakopały też w ogródku kilka butelek wina i wódki, bo w trudnych czasach wojny i okupacji, mogły zastąpić środek płatniczy albo być lekarstwem. Mama przejrzała i uporządkowała zebrane latem zioła, wyjaśniając córce, które i od czego przyjmować oraz jak je sporządzać. Zapewne każda rodzina we wsi – według swojej wiedzy, doświadczenia i potrzeb – usiłowała ważne dla siebie przedmioty jako zabezpieczyć.

Julian nie odbył zasadniczej służby wojskowej, bo uczył się w seminarium nauczycielskim, był drobnej postury, wątłego zdrowia i dlatego potem nie objęła go sierpniowa mobilizacja wojskowa. Uważał, że dla sprawy obrony kraju przyda się na tyłach i podjął decyzję o udaniu się na wschód razem z falą ludzi opuszczających Białystok. Jednak kilkadziesiąt kilometrów albo więcej za Zabłudowem, wpadł razem z grupą w ręce Armii Czerwonej. Byli przetrzymywani w jakiejś stodole przez kilka dni, żywili się zarobaczonymi sucharami, wycieńczeni postanowili uciec i to im się udało. Wtedy zorientował się, że Polska znalazła się w hitlerowsko-stalinowskich kleszczach i, że nie ma już wschodniego zaplecza do walki z Niemcami. Szybciej wracał do Protas, niż z nich wychodził, bo deptała mu po piętach Armia Czerwona. Antek, młodszy jej brat, miał wtedy nie-

pełna dziewiętnaście lat i nikt nie przypuszczał, że zostało mu ich już bardzo mało.

Dziesiątego września, a może dzień wcześniej, rodzice wysłali Reginę do Bronka – najstarszego syna, mieszkającego w Białymstoku w rejonie Zwierzynca. Miała ze sobą kosz wypełniony pomidorami, śmietaną i masłem. Wybrała drogę przez park, gdzie zaskoczył ją duży tłok. Okazało się, że w pobliżu funkcjonował tymczasowy wojskowy polski szpital zlokalizowany na „szybcika” w jakimś budynku. Krążyło tu dużo ludzi; jedni podawali przez okna zawiniątka z jedzeniem, drudzy wypytywali o swoich bliskich, a jeszcze inni przyszedli do parku, aby schronić się przed nalotami samolotów niemieckich. Widok rannych żołnierzy w bandażach, często młodych chłopców, otworzył i jej serce, oddała im całą zawartość koszyka, a do Bronka dotarła z dobrym słowem od rodziców. Nim opuściła park była świadkiem wydarzenia, które można określić jako straszne i śmieszne. W pewnym momencie rozległo się wycie syren, ludzie stanęli jak wryci i nastuchiwali. Kiedy usłyszano warkot samolotów, wszyscy ruszyli z miejsca, szukając schronienia pod drzewami i w zaroślach. Niektórzy nurkowali pod nielicznie tu stojące ławki parkowe. Padali na kolana, głowę i ramiona skrywali pod ławką, a siedzenia wystawiali na ogład publiczny. Kiedy niebezpieczeństwo minęło, bo samoloty miały inny cel, ludzie odetchnęli i żartowano z tych, którzy wygrzebywali się spod ławek. Żartownisiami byli na ogół ci, którym miejsca pod tymi ławkami zabrakło.

Którejś nocy, gdzieś w połowie września, zrobiło się niespokojnie w okolicy Protas. W ciągu dnia wyły syreny w Białymstoku, po niebie nad miastem uwijały się niemieckie samoloty i gdzieś bliżej słychać było ujadanie broni ręcznej. W nocy też słyszano ciężki pomruk samolotów i błyski nad miastem. Zupełnie blisko, od strony Zabłudowa i obu lasów w okolicy wsi, dobiegały uszu serie i pojedyncze strzały. Mieszkańcy wsi czuwali całą noc, rano okazało się, że polscy ułani stoczyli potyczkę pod Zabłudowiem, chyba z oddziałem niemieckim i znowu widziano pędzących kilku ułanów z lasu „Kuraszewo” do lasu zwierkowskiego.

Tej nocy mama uznała, że bezpieczniej nocować pod gołym niebem. Wyniosła z domu pierzynę, opatuliła Reginę, przytuliła do siebie i dodawała jej i sobie odwagi; wspólnie modliły się i nastuchiwwały. Ojciec usiłował usnąć w stodole, a brat pozostał w domu. Uważali, że cała rodzina nie powinna skupiać się w jednym miejscu; rozsypani mieli większe szanse uratowania się w razie ostrzału lub wybuchu pocisku. Rodzice niepokoił się też o dwójkę starszych dzieci – syna i córkę – mieszkających razem ze swoimi małżonkami w Białymstoku.

W ciągu dnia gruchnęła wieść, że Niemcy pojawili się we wsi i chodzą po chałupach, rejestrują, spisują czy sprawdzają mieszkańców. Ludzie migiem wykalkulowali, że pewnikiem będą zabierać młodych do wojska, obozów pracy albo na wywózkę w głąb Niemiec. Nieznane zawsze budzi emocje.

Ojciec Reginy wpadł na pomysł skutecznego odstraszenia Niemców od swego domu.

Wiedział, iż ci panicznie boją się chorób zakaźnych, więc straszakiem miał być tyfus. Rodzina uznała, że chorym będzie Antek, wówczas dziesiętnastoletni chłopak – potencjalny kandydat na wywózkę. Julka nie było jeszcze w domu, bo udał się na wschód i nie wiadano czy wróci. Antka ułożono w łóżku, głowę owinięto mokrym ręcznikiem, że niby to zimny okład, na krześle obok ustawiono wygrzebane z szafek buteleczki po lekach, szklanek z wodą, a przy łóżku wiaderko, co miało oznaczać, że chory ma kłopoty z przewodem pokarmowym. Gorączki nie trzeba było pozorować, gdyż Antek, zaaferowany całą sytuacją, twarz miał w pasach. Kiedy chory był przygotowany, ojciec wyszedł na podwórko i kręcił się przy domu, czekając na Niemców. Ci przyszli, spytali o skład rodziny, a Dąbrowski nie omieszkiał wspomnieć o chorobie syna. Przybysze weszli do domu, zobaczyli leżącego, zatrzymali się w drzwiach do pokoju i pytali co mu dolega. Ojciec ze zbiedzoną miną machnął ręką i ściszoneg głosem powiedział: – „Tyfus. Tyfus...” Przybysze zrobili w tył zwrot i wyskoczyli z domu szybciej, niż do niego weszli. Była to krótka wizyta Niemców; jak się okazało później, plany Hitlera były inne.

Po kilku dniach przyniósł ktoś hiobową wieść do wsi: Niemcy zdobyli Białystok i są już w mieście. Ciężko było tego słuchać, ale z tym przecież liczono się, jak i z tym, że przyjdą do Protas, przecież niedawno ich tu oglądano. Tymczasem, po następnych kilku dniach we wsi pokazali się Sowieci, a przed nimi zameldował się w domu Julek. Nim zdążył objaśnić niedowierzającym domownikom i sąsiadom, że wschodnią Polskę zajmuje Armia Czerwona i jest już w ich gminie, ta przybyła na nocleg do wsi i bez walki wkroczyła do Białegostoku. Julkowe słowa faktem się stały. Ludzie nie mogli uwierzyć w to, co słyszeli i widzieli na własne oczy. Byli zaborcy polskiej ziemi, a później wrogowie z I wojny światowej, po dwudziestu latach, raptem zapalali do siebie wielką przyjaźnią i wspólnie w Białymstoku we wrześniu urządzili defiladę. Niemcy przekazali Sowiecom we władanie Białystok. To tak, jakby rozpalone węgle wrzucić do wody i syku nie słyszeć.

Sowieci, zajmując polskie tereny, od pierwszego dnia robili czystki. Na pierwszy ogień szli przedstawiciele miejscowej władzy i właściciele

ziemscy. Po dokonaniu głębszych rozeznań zabierali się za inteligencję, duchowieństwo, urzędników, wojskowych a szczególnie legionistów i sympatyków Piłsudskiego; na tych ostatnich brali odwet za swoją sromotę z dwudziestego roku. Całymi rodzinami wywożono Polaków na nieludzką ziemię. Malinowski – właściciel majątku Białostoczek k/Kurian – był przezorny, nie czekał na sowieckie porządki i wraz z rodziną wcześniej wyjechał, prawdopodobnie do Warszawy. Miał dwóch synów, córkę i żonę Zofię. Pani Zofia była miłą, kulturalną osobą, lubiła młodzież i chętnie z nią przebywała. Zapraszano ją, jako prelegentkę, na zebrania Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej do Zabłudowa. Jakie były późniejsze losy pani Zofii i jej rodziny? Do swoich dóbr Białostoczek nie wrócili po wojnie. Mniej przewidujący był Mantouffl z Dobrzyniówki, którego Sowietci „na dzień dobry”, pierwszego dnia aresztowali wraz z rodziną.

Pierwszy okupant Protasom wielkich krzywd nie uczynił, bo może nie zdążył, ale i powodów do radości też nie przysporzył. Jakoś pod koniec września, odprysk Czerwonej Armii urządził odpoczynek we wsi, swoją obecnością zaszczycał Protasy przez kilka dni, nie więcej jak tydzień. W każdej chałupie nocowało trzech do sześciu, przeważnie skośnokochkich, żołnierzy. Mieli wyniszczone szynele, wychudzone konie i roznosili wszędzie dziegiowy smrodek. U rodziców Reginy mieszkało trzech przedstawicieli dowództwa; towarzyszący oficerom powodziło się lepiej. Któregoś dnia jeden z nich zażyczył gotowanej „kartoszki” i zaznaczył, że mają do niej „ameryknskuj tuшонku”. I mieli ją, nawet dali plasterek do skosztowania. Każdy z domowników wpuszczał ząb w ten plasterek, smakował i chwalił, bo „tuшонka” rzeczywiście była dobra. Ten tydzień sowieckich odwiedzin wyczyścił wieś z drobiu. Po każdej nocy w kilku kurnikach brakowało kilku kur, ale nie dotyczyło to kurnika Dąbrowskich, być może rabusiów odstraszała obecność oficerów w tym gospodarstwie. Ludzie udawali, że nic się nie dzieje i prosili Boga, żeby goście nie rozsmakowali się w wieprzowinie i wołowinie, i czym prędzej sobie poszli. Ostatniej nocy ich bytności wyfrunęła cała zawartość z kurnika Dąbrowskiej. Kiedy wojsko opuściło wieś, ludzie odetchnęli; kobiety zabrały się za wietrzenie i kadzenie chałup, rozkładały piołun, paliły jałowiec, by pozbyć się wojskowego zapachu, a mężczyźni poszli do prac w polu.

Zaraz po wyprowadzce wojska zjawiała się sowiecka administracja w postaci cywilno-wojskowej i zapytała o „predsjedaciela”. Gospodarze nawet ucieszyli się, że chodzi o „predsjedaciela a nie sołtysa i zgodnym chórem odpowiedzieli: „u nas niet predsjedaciela”. Już wcześniej, w rozmowach między sobą doszli do wniosku, iż nie należy wystawiać na niebezpieczeństwo sołtysa, bo to przedstawiciel polskiej władzy i chociaż władza

mała, ale konsekwencje jej pełnienia mogą być niewspółmiernie duże. Trzeba było wybierać władzę wiejską i tak trochę z wyboru, trochę z konieczności „prezesa” został Minko – jeden z najstarszych a może najstarszy mieszkaniec wsi. Potem tę funkcję pełnił przez kilka miesięcy Gałęcki Feliks.

Sowieci uwielbiali uświadamiać lud polski, w kółko na zebraniach powtarzali, że oswobodzili robotnika i chłopca z jarzma panów polskich i teraz nastąpi dobrobyt i świetlana przyszłość. Ponieważ sołtysi nie bardzo garnęli się do wypełniania swoich obowiązków, prelegenci często musieli sami sobie zapewnić frekwencję na zebraniu i w tym celu wykładowca – najczęściej wojskowy politruk – wraz z pomocnikiem chodzili od domu do domu, i spędzali ludzi na wykłady uświadamiające. Ludzie próbowali wymigać się, jednak często nieskutecznie. Któregoś dnia, kiedy naganiacze pojawili się na podwórku Dąbrowskich, ojciec Reginy, zapomniawszy o zebraniu i nagonce, znalazł się w polu widzenia przybyszów i nie pora już była na wymiganie się. Gorliwie zapewniał, że właśnie wybrał się na zebranie, ale spotkał go afront. Jeden z nich zmierzył ojca wzrokiem od dołu do góry i stanowczo oświadczył: „staryk nam nie nużen”, a potem wskazał na Reginę porządkującą przydomowy ogródek, i nakazał jej stawienie się na zebraniu.

Chłopi siedzieli, jak zwykle w takich razach, na stołkach i ławkach ukradkiem drzemiąc, zaś prelegent kolejny raz roztaczał wizję dobrobytu, ale nagle przerwał. Ustawił się bokiem do zebranych, wyciągnął prawa rękę do przodu z dłonią w geście powitania, lewą, z dłonią tajemniczo zwiniętą, schował za sobą i skomentował: „Giermaniec to żaden przyjaciel. Giermaniec to malowany lis, a na lisach my się znamy. Prawicą wita jak przyjaciel, a w lewej dzierży kamień. Nas nie oszuka.” Było to coś nowego, o czym przez kilka dni dyskutowano we wsi, spodziewając się rychłych zmian. Uważano, że Stalin wykoługuje Hitlera, co oznacza wojnę, a gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta... Według tej dedukcji, jawiła się szansa na wolność Polski. Jednak mijały dni, tygodnie, miesiące i nic w tej sprawie nie działo się. Sowieci rządząli się jak u siebie.

W śródmieściu Białegostoku coraz rzadziej słyszało się mowę polską, królował język rosyjski, białoruski i hebrajski. Sklepy były szturmowane przez kolejkowiczów. Towarów było mało, a pieniędzy na rynku dużo, raptem obok złotówki pojawił się rubel. W cenie były nawet koszule nocne białostockich elegantek: Rosjanki paradowały w nich na zabawach. Aby być bliżej sklepowych drzwi, gdy otworzy je sprzedawca, należało przyjść przed wschodem słońca. Mieszkańcy Protas też organizowali piesze wycieczki do Białegostoku, aby kupić naftę, zapałki, mydło, cukier,

sól i co się da. Kupowało się to, co było, a potem wymieniało na to, co potrzebne i tak powstawał wtórny rynek.

Dla młodych kolejki stanowiły swego rodzaju urozmaicenie, gdy ciepła, letnia noc białała, a słońce nad horyzontem barwiło morelą niebo, grupa chłopców i dziewczyn opuszczała wieś i po godzinie rozszczebiotanego marszu była w Białymstoku. Tu starała się zająć dogodną pozycję, aby po otwarciu sklepu wcisnąć się do środka, kiedy na półkach był jeszcze większy wybór towarów i ilość rokująca możliwość zakupu. Gorzej zimą, trzeba było kilka godzin tupać w mroźne poranki i zdarzało się, że na darmo, bo towaru nie dostarczono albo zabrakło. Do jednych rąk sprzedawano ograniczoną ilość: kilogram, litr... Opakowania należało mieć swoje: płócienny woreczek, papier, butelki...

Pewnego dnia, kiedy otworzono drzwi, kolejka zafalowała, grupka protasowskich kolejkowiczów została rozdzielona, tylko dwójka była przy wejściu, postanowiono więc temu zaradzić. Będący z tyłu – drobną, wagi piórkowej Reginę – podali ponad głowami kolejki tym, którzy stali bliżej, ci zaś przyjęli ją i pomogli wcisnąć się w kolejkę. Kolejkowicze nie zdążyli nawet zaprotestować. Ten desant nie bardzo się Reginie opłacił, gdyż w sprzedaży akurat była wódka, ale czasem złe na dobre wychodzi; alkohol, po drodze do domu, wymieniła na naftę i zapałki.

Brak nafty był jednoznaczny z wyłączeniem elektrowni. Wieś, przed wojną i w czasie okupacji, wieczorową porą oświetlała chałupy lampami naftowymi, bywało, że i kagankami. Dąbrowscy mieli trzy lampy różnej wielkości. W obiegu najczęściej były lampy o numeracji: 5, 8 i 11, im większy numer, tym jaśniejszy i większy snop światła, ale i więcej spalanej nafty. Lampa składała się ze zbiorniczka na paliwo, knota, którego jeden koniec siedział w tym zbiorniczku, a drugi przez specjalny aparacik wychodził na zewnątrz i był regulowany /góra, dół/ oraz z klosza szklanego osłaniającego płomień, zwanego krótko – szkłem. Szkło miało to do siebie, że często pękało samo, nie mówiąc o mechanicznym uszkodzeniu przez któregoś z domowników i jeśli nie było nowego w zapasie, to lampa „robiła” za kaganek – urządzenie bardzo niebezpieczne, grożące pożarem. Takie oświetlenie stosowano ładnych parę lat po wojnie. Gdy nie było nafty, pozostawała świeca.

Kiedy dzieci szły w „kolejkę” albo do kościoła do Białegostoku lub Zabłudowia, rodzice czekali z niepokojem. Taka wyprawa mogła skończyć się pobiciem, aresztem albo przepadnięciem bez wieści. Ciężko żyło się ludziom starym bez młodego człowieka w domu czy też samotnym kobietom z małymi dziećmi, których mężowie poszli na wojnę lub w inny sposób przepadli. Często tym ludziom – gdy mieli pieniądze – pozostawał

rynek wtórny, bo nie mieli sił i możliwości dopchania się do towaru w sklepie, a kiedy pieniędzy nie mieli... zostawała litość sąsiadów.

Mieszkańcy Protas z niedowierzaniem słuchali opowiadań o aresztowaniach bez powodu, przepelnionych aresztach i wzięciu białostockim, o wywózce w głąb Rosji... Wydawało się im, że czas mknących z Polski kibitek, wiozących na rozkaz cara zesłańców na Syberię, minął bezpowrotnie wraz z caratem. Mylili się. Wiosną a może latem czterdziestego, rozeszła się wieść, że wywieziono mieszkańców Zacisza – osady żołnierzy Piłsudskiego. Aresztowań dokonano z zaskoczenia, wieczorem. Zabierano całymi rodzinami, bez wyjątku, został tylko Trypuć, który akurat był nieobecny w domu. Okoliczności aresztowania były znane i wiarygodne, gdyż jedna z mieszkanki Zacisza – Pola z domu Cieśluk, wraz z mężem, została również wywieziona, a pochodziła z Protas. Stało się jasne, że Rosja carska i bolszewicka władza - z punktu widzenia Polaków - mają wspólny mianownik, czyli upodobanie do wywożenia Polaków na Syberię, gdzie życie zachować było trudno, a jeszcze trudniej zdrowym wrócić. Ponadto, Sowietci uzupełniali swoje wojsko polskimi chłopcami, nie pytając ich o zgodę. Białostoczczyzna teraz należała do Białorusi, ta była republiką sowiecką, czyli była to mobilizacja, a to oznaczało – rozkaz! Rozkaz sprzeciwu nie znosi i czterech chłopców ze wsi poszło w kamasze. Jeden z nich po zakończeniu wojny powrócił, Kazimierz Dąbrowski zginął, zaś Antoniego S. i Józefa K. zawierucha wojenna zaniósła prawdopodobnie do Anglii.

Wtedy nie wiadomo, że chyba z Kobrynia, Sowietci też wywieźli księdza Józefa Horodeńskiego – mieszkańca Protas a zarazem przyjaciela Julka. Jego zsyłka trwała długo, do kraju wrócił dopiero w kilkanaście lat po zakończeniu wojny. Być może, we wrześniu trzydziestego dziewiątego, właśnie do niego wybrał się Julian.

Regina nasłuchiwała się opowieści swojej mamy, jak obaj chłopcy bawili się i przyjaźnili ze sobą. Ulubioną ich zabawą była zabawa w „kościół”. Często bywało, że u Dąbrowskich w domu Julek budował ołtarz: budulcem była ławka, stołeczek, stolnica, co pod rękę popadło, a wyobraźnia podpowiadała, że się nada; zaś Józik w tym czasie przymierzał się do „szat liturgicznych”, które modził z ręcznika, chustki, spódnicy... Kiedy ołtarz był gotowy, ksiądz ubrany, odprawiali nabożeństwo; stolarz robił wtedy za ministranta. Matki obu chłopców żartowały, iż jeden zostanie księdzem a drugi – stolarzem. W dużej mierze sprawdziło się. Józef poszedł do seminarium duchownego, Julian do seminarium nauczycielskiego. Wojna rozdzieliła ich na zawsze. Sowietci wywieźli Horodeńskiego, już jako księdza Józefa, w głąb Rosji, potem długie lata spędził

domo czemu. Dąbrowski lubił z nim pogawędzić na tematy bezpieczne, bardzo delikatnie zaczepiali o politykę. Któregoś razu przyszedł z kolegą, w domu był akurat Julek i wdał się z sowieckimi lotnikami w polityczno - historyczną dyskusję. Dał popis wiedzy historycznej o stosunkach polsko - rosyjskich, a potem sowieckich, coraz bardziej rozkręcał się i zapominał z kim, i o czym mówi. Andrej wyłączył się z dyskusji, w pokoju słyszało się głównie Julka, a nie było ojca, aby uspokoić rozgorączkowanego prelegenta. W końcu Andrej wyszedł i spotkanej w kuchni Reginie powiedział, aby uciszyła brata, bo inaczej, będzie zmuszony go zastrzelić. Dąbrowska wywołała syna z pokoju pod zmyślonym na poczekaniu pozorem. Potem ojciec skarcił syna, że zupełnie bezmyślnie narażał na niebezpieczeństwo siebie i rodzinę.

W 1940 roku, gdzieś w połowie października, w piątek, brat Antek wracał do domu z placu budowy, którą prowadził ojciec. Idąc pieszo otarł sobie niewygodnymi kamaszami stopy, więc je zszuł i maszerował boso, a była to już zaawansowana jesień. Do domu dotarł zziębnięty. W niedzielę, w parafialnym kościele pod wezwaniem Św. Piotra i Pawła rozpoczęła się Czerdziestogodzinne Nabożeństwo, a on był członkiem procesji, więc, mimo złego samopoczucia, wybrał się do Zabłudowia. Po zakończeniu procesji, zwrócił uwagę kolegów bladej jego twarzy. Do domu wrócił późno, w drzwiach zachwiał się, przed upadkiem powstrzymał go ojciec. Był w złym stanie, miał wysoką temperaturę ciała, dreszcze.

Domowników ogarnęła panika. Kilka tygodni wstecz były we wsi dwa pogrzeby – po kilku dniach choroby, objawiającej się wysoką temperaturą i silnym bólem głowy, zmarło dwoje niespełna dwudziestoletnich ludzi: Lodzia Iwanowicz i Józef Węclawski. Jednego dnia przez wieś kroczyły dwa konduktory żałobne. Antek bał się wtedy wyjść na ulicę, jakby czuł, że bliski jest czas jego ostatniej drogi. Trzeci – Antoni Matowicki wylizął się z choroby. Mieszkańcy obawiali się, że we wsi grasuje jakaś zaraza.

Rodzice zawieźli syna do felczera Nielepki, ten biegał, machał rękami i krzychał: „Tif. Tif...” Dąbrowscy uważali, że to prędzej zapalenie płuc niż tyfus. Antek był u spowiedzi i przyjął przynajświętszy sakrament chociaż z oporami, bo uważał, iż nie jest umierającym. Jeszcze tego dnia odwieziono go do szpitala w Białymstoku, licząc, że tu otrzyma fachową medyczną pomoc. Kiedy rodzice wrócili do domu, to już zbyt wielkiej nadziei nie mieli. Wprawdzie nadzieja umiera ostatnia, ale szpital przedstawiał sobą obraz nędzy; brak leków, sprzętu, opatrunków, specjalistów i jedynie wystarczająco dużo brudu i rozpacz. We wtorek Regina udała się do zabłudowskiej świątyni, aby pomodlić się o zdrowie brata, a ojciec do

szpitala, by rozeznac się w sytuacji i ewentualnie zabrać syna do domu, bo tu będzie lepsza opieka. Gdy wróciła, na podwórzu zobaczyła płaczącego ojca. Było jasne: Antek odszedł! Nie było najukochańszego brata, kumpla do zabaw i powiernika, on już zaznawał wiecznego spokoju na niebiańskich łąkach. Rodzinę we władanie objęła żałoba i rozpacz, wieś miała kolejny pogrzeb i lęk; śmierć zabrała następnego dwudziestoletniego mieszkańca Protas.

Trzecia dekada czerwca 1941 roku przypomniła, że wojna trwa, a prawie dwuletnie uśpienie zostało właśnie przerwane. Tuż przed świętem Jana rozeszła się po wsi wieść, że w Białymstoku coś się dzieje, jakoby Niemcy, w ramach wojskowych ćwiczeń, pomylili się i zbombardowali okolice dworca. Znowu się zwiększył ruch na szosie Białystok – Zabłudów, a przemieszczający się ludzie podawali różne wersje tego wydarzenia. Według jednych były to manewry, bo władze sowieckie to potwierdziły, inni utrzymywali, iż szykuje się nowa wojna. We wsi zrobiło się nerwowo, przypomniano słowa sowieckiego politruka o farbowanym niemieckim lisie i uważano, że Sowietci robią podchody pod wypowiedzenie wojny Niemcom. Byli i tacy, co nieśmiało podejrzewali, że polskie wojsko czyni próby odbicia Białegostoku. Tylko skąd się ono wzięło, przecież nie sfrunęło z nieba.

Sprawa szybko się wyjaśniła. Naloty powtórzyły się, Białystok zaroił się od sowieckiego wojska wycofującego się w popłochu z zachodnich krańców „Zachodniej Białorusi”, czyli z zachodniej białostoczczyzny. Niemcy byli w natarciu, a nad Białymstokiem znowu rozpostarły się łuny pożarów i głucho pomruki wybuchów. Miasto plądrowały grupy sowieckiego żołdactwa, rabowano i mordowano miejscową ludność. Takie sowieckie komando spaliło kościółek przy obecnej ul. K. Ciołkowskiego, zamordowało tamtejszego księdza; mówiono, że i organistę. Zamordowano też, mieszkającą w pobliżu świątyni, całą rodzinę Galeckich. Fakt ten przeżywała wieś, gdyż dokonano mordu na rodzinie, która miała krewnych w Protasach. Z sześciuosobowej rodziny nie uratował się nikt, nie oszczędzono nawet kilku- czy kilkunastoletniej dziewczynki, miała połamane kończyny. Ponoć była to zemsta za dwudziesty rok. Dwudziestego piątego a może dwudziestego szóstego był duży nalot niemieckich samolotów na zatłoczoną uciekającym sowieckim wojskiem i cywilami, szosę Baranowicką. Z Protas słyszano i widziano nad horyzontem, w kierunku na Białystok, samoloty i wybuchy. Dąbrowscy denerwowali się, gdyż nalot ten wyraźnie lokalizowali w okolicy zamieszkania swojej córki Jadwigi.

Następnego dnia z końca wioski rozniósł się wrzask: – „Wojsko od „Szerokich”! Wojsko od „Szerokich”!” Nikt nie sprawdzał, czy to prawda i czyje wojsko, wszyscy nurkowali w chałupach i budynkach gospodarczych, alarmując przy tym sąsiadów. Wieś robiła wrażenie bezludnej, tylko drob, niczego nie spodziewając się, szwendał się beztrzesko po ulicy. Regina uciekinierów nie widziała, bo zgodnie z nakazem ojca siedziała wraz z mamą i Julkiem w głębi pomieszczenia. Paniczne wycofywanie się Armii Czerwonej mogła jedynie słyszeć. Dudnienie, zgrzyt, warkot – jednym słowem: kakofonia dźwięków. Towarzyszyła temu różnorodność uczuć, przede wszystkim strach, ale i radość – okupacja sowiecka kończy się. I był też wszechobecny niepokój: co dalej?...

Zmechanizowana jednostka Czerwonych szybko opuściła wieś, a ludzie powoli zaczęli wynurzać się z kryjówek, kierując się na ulicę, aby spotkać się z sąsiadami i podzielić wrażeniami. Skromna, wąska ulica wiejska była rozjeżdżona, słabe płoty połamane, mocniejsze wywrócone. Wojskowa kolumna nie mieściła się w świetle wiejskiej drogi, każdy chciał być bliżej przodu i jak najszybciej znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Ci, co mieli chałupy blisko ulicy, obawiali się, że strach sowieckiej armii przewróci je. Ucierpiały też drzewa, lufy dział i wysokie gabaryty pojazdów /mówiono, że były czołgi/ łamały im konary. Po rozdeptanych kurach nie było nawet śladu, tylko fruujące gdzieś pióra, świadczyły o nagłym końcu kurzego żywota. Nastąpiła dziwna cisza, nic nie działo się, nikt uciekających nie gonił... Czyżby wystraszyli się przyjaźni „farbowanego lisa”? Strach ma wielkie oczy i skoro zaczęło się uciekać, to trudno stanąć, a jeszcze trudniej podjąć walkę. Sowietów zatrzymał Ural i role się odwróciły. Nim to się stało, Polskę, już całą, we władanie objął Hitler.

Po kilku dniach od wspomnianego zdarzenia w Protasach pojawili się Niemcy, a było to czwartkowe popołudnie. Nakazano przygotowanie domów do dezynfekcji czy dezynsekcji, która miała odbyć się następnego dnia. Przygotowanie polegało na wyniesieniu z domów wszelkiej odzieży, produktów żywnościowych i uszczelnieniu okien. Ponieważ wiedziano, że nowy okupant wysoko ceni dyscyplinę, o sprzeciwie nie było mowy. Ludzie wynosili manatki z chałup i główkowali, kogo jutro będą truć: choroby, paskudne robactwo, które po wizycie sowieckich żołdatów nie dawało się wytępić, czy mieszkańców wioski. Niektórzy byli skłonni, na ten czas opuścić wieś.

W piątek rano przybyła spec-ekipa, odwiedzała po kolei gospodarstwa, w każdej izbie – po uprzednim sprawdzeniu uszczelnień – rozkładała na podłodze kupkę piasku, na nim jakiś proszek czy kostki /chyba sia-

rki/, podpałała i pośpiesznie opuszczała dom, nakazując uszczelnienie drzwi wejściowych. Smród był okrutny. Tę letnią noc każdy spędził poza domem. W sobotę rano nieśmiało otwierano okna i drzwi; cały dzień trwało wietrzenie, a wieczorem pracownicy znoszono swoje skarby do chałup. W niedzielę mieszkańcy Protas licznie stawili się w zabłudowskiej świątyni, pewnie by podziękować Bogu za szczęśliwe przeżycie niemieckiego trucia. Rodzice Reginy odzież złożyli w komórcie na stos, a porządkowanie miało odbyć się w poniedziałek, w dzień roboczy. Przebudzenie rodziny w poniedziałkowy poranek miłym nie było. Zostali w tym, co wieczorem poprzedniego dnia z siebie zdjęli, bo cała reszta dostała nóg i w ciągu nocy wybyła w tajemniczy sposób dzięki uczynności złodzieja.

Drugi okupant, przykładem pierwszego, przysłał swoich żołnierzy na nocleg, a gościna trwała około tygodnia. Do domu Dąbrowskich trafił, ku zdziwieniu a potem radości obu stron, szeregowy Hans Dąbrowski. Hans w cywilu był nauczycielem, znał nieco polski język – więcej rozumiał, gorzej mu szło z mówieniem a z czytaniem słabutko – zaś Jan łapał trochę mowę niemiecką; namiętnie oddawali się dyskusji, przy tym ćwiczyli ciało, bo mowę wspierali gestykulacją i mimiką twarzy, a czasem rysunkami skrobanymi patykiem po ubitej ziemi albo ołówkiem po papierze. Jan był rolnikiem a Hans synem bogatszego rolnika gdzieś we Wschodnich Prusach. W wolnym czasie od dyskusji, żołnierz przypominał sobie o profesji nauczyciela i zabierał się za nauczanie Reginy języka niemieckiego. Padł rozkaz wymarszu. Rozkaz to rozkaz, nie zwykło się go dwa razy powtarzać i Hans, chociaż niezbyt ochoczo, poszedł. Wojsko opuściło wieś.

Zaraz potem zjawiła się administracja niemiecka. Procedura powtórzyła się, na zebraniu zapytano o wiejską władzę, a gospodarze zgodnym chórem odpowiedzieli, że takowej nie ma. Przystąpiono do wyboru sołtysa i został nim Jan Dąbrowski – sąsiad i kuzyn Jana Dąbrowskiego, czyli ojca Reginy. U sołtysa bywał amstkomisarz, jako urzędnik i człowiek nie budził u ludzi specjalnej grozy, czuł się gospodarzem, chociaż jakby nie patrzeć, to przedstawiciel okupanta. Zdarzyło mu się załatwić dla wsi ziarno jako materiał siewny i wyglądało na to, że na sprawach rolniczych znał się. Regina wspominała go dobrze, kiedy bywał u sołtysa i widział ją na podwórku, machał ręką i mówił: – „Guten morgen /guten tag/ Reginka!” Gołym okiem było widać różnicę w sprawowaniu władzy okupacyjnej przez Sowietów i Niemców.

Wraz z upływem miesiący poznawano ciężką rękę nowego okupanta, który z wielkim upodobaniem pokazywał wyższość swojej rasy nad ludnością polską, a pierwsi odczuli to Żydzi. Już na przełomie lipca i czerwca

1941 roku mówiono we wsi o spaleniu, wypełnionej Żydami, synagogi w Białymstoku. Nie dowierzano temu, wydawało się niemożliwym spędzenie kilku setek ludzi z zamiarem spalenia ich żywcem, a jednak... Mnożyły się łapanki, aresztowania, wypełniały się ponownie cele więzienia i aresztów, tłoczno robiło się w obozach przejściowych dla żołnierzy sowieckich i dla ludności cywilnej wywożonej na roboty do III Rzeszy, do obozów pracy przymusowej; Białystok obrastał w groby masowych egzekucji. Życie można było stracić na ulicy, pod domem, na polu. W środku lata 1941 roku funkcjonowało już w Białymstoku getto – wydzielona część miasta przeznaczona wyłącznie dla ludności żydowskiej miasta i okolic, która musiała tam mieszkać, pracować i umierać. W pierwszym roku okupacji hitlerowcy zajęli się głównie ludnością żydowską, a kiedy mieli zorganizowane getto, zaczęli coraz więcej uwagi poświęcać pozostałym mieszkańcom miasta i jego okolic, uprzykrzać im życie, aż do jego pozbawienia.

W mieście przybywało Niemców, zarówno wojskowych, różnej policji, jak i cywilów. W pierwszych miesiącach mieszkańcy Protas musieli uczestniczyć w pracach przy budowie obiektu dla Wehrmachtu. Plac budowy i jednocześnie miejsce przymusowej pracy okolicznej ludności znajdujące się mniej więcej naprzeciwko katolickiego cmentarza w Dojlidach, było porośnięte małymi sosenkami /dziś jest tu las i osiedle domków jednorodzinnych/. Mówiło się, że będą tu zlokalizowane koszary dla młodego żołnierza niemieckiego, zaraz po wojnie nazywano tę okolicę „junakami”. Regina była takim przymusowym robotnikiem, a w jej pamięć wrył się trzeci, tym samym ostatni, dzień pracy. Miała osiemnaście lat, drobną budowę ciała, niepokazny wzrost, co pozwalało sądzić, że jest znacznie młodszą. Tego dnia miała nosić wodę do stanowiska betoniarzkiego, a nadzorujący pracę młody Niemiec kazał nosić wodę dwoma wiadrami, chociaż nie było akurat takiej potrzeby. Kiedy zapas wody zajął wszystkie wiadra, wzięła ostatnie puste i wracała z napełnionym, gdy dopadł ją nadzorujący, uderzył w twarz, zaczął wrzeszczeć, i wymachiwać bronią. Wystraszyła się niesamowicie, broń mogła wystrzelić przypadkiem, ale z istniejącej sytuacji wynikało, że może ją zabić i bez tego przypadku. Na szczęście nawinął się drugi, odsunął kolegę od niej, uspakajał go i coś nerwowo tłumaczył. Ponieważ powtarzało się słowo „kinder” i rzucano wzrokiem na nią, wywnioskowała, iż ten rozsierdzony jest pouczaony, że dziecko dwoma wiadrami nosić nie może. Kiedy już wszystko sobie wyjaśnili, pouczający zwrócił się do niej i coś mówił, ale wystraszona stała jak owca przed wilkiem, aż ten przemówił do niej na migi. Wskazał ręką miejsce pobierania, miejsce dostarczania wody, wiadro i jeden palec, a na

koniec machnął dłonią w geście – idź sobie. Zrozumiała, otrzymała zezwolenie na noszenie jednym wiaderkiem!

W lipcu, a może już w sierpniu, któregoś dnia pod wieczór wpadł sąsiad mocno zaafierowany i powiedział, że trzeba opatrzyć ranę ruskiemu żołdatowi. Wzięła ze sobą bandaż z pociętego na paski prześcieradła, gazę opatrunkową, przegotowaną wodę i buteleczkę z przysłowiowym naparstkiem wódki. Skurzonego rannego zastała w stodółce Szydłowskich. Rana nie była świeża, nie wyglądała też na taką, którą zadano kilka tygodni temu. Kula weszła powyżej łokcia, a wyszła poniżej. Staw łokciowy był rozharatany, skrzepy krwi, przedramię bezwładne, wystawały uszkodzone kości, był potrzebny chirurg. Co mogła i umiała, to zrobiła. Nie mogła później zapomnieć oczu tego człowieka: były pełne strachu, cierpienia i wdzięczności. W nocy przeprowadzono go do opuszczonego budynku – szopy stojącej dalej od ulicy. Zamierzano jakoś temu człowiekowi pomóc, ale nie wyszło. Następnego dnia do wsi wpadli Niemcy, zakręcili się samochodem tam i z powrotem i podjechali pod szopę. Wyciągnęli rannego, przewieźli go powoli przez wieś na stopniach samochodu. Potem mówiono, że był to Żyd, że rozstrzelano go za wsią. Niektórzy po cichu zastanawiali się, jak to stało się; Niemcy przez przypadek go znaleźli, czy też ktoś im pomógł, a jeśli pomógł, to kto? Reginie, wtedy i po wojnie, sprawa rannego Sowietą nie dawała spokoju. Co stało się z nim, był sowieckim żołnierzem, który uciekł z obozu jenieckiego, czy Żydem, któremu udało się zbiec z getta albo też unikał getta, może był zbiegiem z jakiegoś transportu? No i te oczy...

Za Niemca handel był zabroniony, a jak zabroniony to karalny, włącznie z karą śmierci. Jak uchowałeś wieprzka, zabiłeś go, bo po to chowałeś, a potem szyneczkę sprzedałeś sąsiadowi albo w mieście, żeby kupić za uzyskane pieniądze: cukier, sól, naftę – mogłeś sam zapłacić głową, czyli stracić życie. Jeszcze trudniejsze było zdobycie żywności w getcie. Getto miało pieniądze, ale przymierało z głodu. Na Serwitutach w pobliżu domu Jadwigi i jej sąsiadów, były jamy po wybranym piasku i któregoś dnia, jeszcze chyba jesienią 1941 roku, przyjechali konną platformą Żydzi z getta z pilnującym ich mundurowym Niemcem. Żydzi, a było ich chyba trzech, poszli do okolicznych domów, zaś mundurowy został na warcie. Prosimi o żywność. Ludzie co mieli i mogli, to dali. Jak pojawili się następnym razem, prosili, by za pieniądze, które zostawia, kupić im produkty żywnościowe, po które zgłoszą się za kilka dni. Zapewnili, iż mundurowy, stojący na zewnątrz, nie jest groźny. Zarówno Jadwiga jak i sąsiadki zgodziły się.

Rozpoczęło się żmudne szukanie i kupowanie jedzenia. Antoni – mąż Jadwigi – był kominiarzem, jego mundur dawał mu trochę swobody w poruszaniu się po mieście i okolicy, co pozwalało bez podejrzeń coś kupić i przewieźć. Żydzi przyjeżdżali co kilka lub kilkanaście dni. Mieli ze sobą płaskie pojemniki na produkty płynne lub mokrę, wypełniali je tym, co udało się zakupić i chowali w skrytkach blatu platformy, którą przyjeżdżali. Platformę stawiali w jednym z dołów, mundurowy stawał w pobliżu na kupie piasku, żeby mieć większe pole widzenia i w razie niepożądanych osób ostrzec pakujących produkty Żydów. Czasem towaru było za mało, a innym razem nie mieścił się w skrytce i trzeba było go przechować do następnej wizyty odbiorców. Trzymanie w domu żywności w ilościach większych niż potrzeby rodziny też bezpiecznym nie było.

Regina pomagała siostrze w nabywaniu żywności. W domu, w Protasach, kilka razy gotowano marmoladę z dyni, ale ta szybko skończyła się. We wsi u Wacka był mały sklepik, a w nim marmolada z buraków cukrowych albo z dyni, więc mogła dokonać większego zakupu bez budzenia niepotrzebnych podejrzeń. Marmoladę trzeba było jakoś dostarczyć do Jadwigi, czasem wiaderko niosła pieszo polnymi drogami, czasem furmanką. Najtrudniej było wjechać do miasta i nie załapać się na skuteczną rewizję. Raz, kiedy wiozła z mamą trefny towar do miasta, miały eskortę dwóch niemieckich żołnierzy. Wybrały się do Jadwigi furmanką w odwiedziny, gdy były w Dojlidach przy cmentarzu katolickim, znienacka zatrzymali je dwaj młodzi żołnierze i wsiedli, nakazując dalszą jazdę. Po drodze zagadywali Reginę. Kobiety wystraszyły się, ale podczas jazdy zorientowały się, że Niemcy chcą jedynie zaoszczędzić swoje zelówki i uznały to za szczęśliwy traf – mijana po drodze policja nie zatrzymywała ich.

Z getta przyjeżdżali zwykle ci sami ludzie, pośpiesznie pakowali artykuły spożywcze, a przy tym mówili o nieszczęściach, jakie dzieją się za drutami. Latem 1942 roku zaznaczyli któregoś dnia, że jest większy terror w getcie, są wywózki i może zdarzyć się, że następnego przyjazdu nie będzie. Tego dnia zabrali leki, które udało się załatwić i więcej nie pojawili się. Po jakimś czasie mówiono, że w getcie grasuje Gestapo, a to nie oznacza niczego dobrego. W Protasach coraz częściej ludzie powtarzali: – „Dziś trzebią Żydów, jutro zabiorą się za nas”. Trwała likwidacja getta.

Przed wojną stałym elementem wiejskiego bytowania byli żebracy. Ich wizyty było dwojakiego rodzaju: jedni przychodzili rano, zaglądali do każdego domostwa prosząc o grosik, czego zazwyczaj nie dostawali, inni o cokolwiek; otrzymywali chleb, kaszę, jajko, albo coś z odzieży i opuszczali wieś – drudzy przychodzili na nocleg. Kiedy żebrak miał we wsi

obchód, lepiej było swoje domostwo mieć na oku albo liczyć na życzliwe oko sąsiada. Wśród żebrzących byli ludzie, których los nędzą upokorzył, ci z wdzięcznością przyjmowali każdy datek, bo nie tylko dla siebie potrzebowali, ale i czasem dla kogoś bliskiego, często chorego czy upośledzonego; bywało, że i sami byli kalekami. Za uproszonym chodzili też włóczędzy, osobnicy brzydzący się pracą ręce skalać, bezdomni na życzenie, którym łatwiej głowę do snu pod cudzym dachem złożyć, niż o swój zadbać. Potrzebujący noclegu zgłaszał się do sołtysa, a ten wskazywał gospodarza, który zapewniał kolację, nocleg i śniadanie. Mama Reginy miała dla tego typu gości specjalny siennik i poduszkę z floków oraz starą koldrę. Kiedyś, w Wielki Piątek, dom Dąbrowskich zaszczycił swoją obecnością potrzebujący noclegu i od progu, stanowczo i głosem nie znoszącym sprzeciwu, zażyczył na kolację jajek na słoninie. Z natury spokojna, nie podnosząca głosu Dąbrowska tym razem ostro go ofuknęła. Wykrzyczała, że jest ścisły post, domownicy poszczą i smrodu słoniną w chłupie robić nie będzie. Wywiązała się kłótnia, przybysz nie ustępował, do porządku musiał go przywołać ojciec Reginy.

Podczas sowieckiej okupacji w sprawie jałmużników nie zaszły istotne zmiany, poza tymi, że dającym jałmużnę, jak i biorącym, żyło się biedniej. Sowietci biednych nie tępilli, może dlatego, że w nich mieli słuchaczy bolszewickich bajek o świetlanej przyszłości. Inaczej na bezdomnych patrzyli Niemcy, z miejsca zapewniali im pobyt w aresztach, więzieniach, różnego typu obozach, a nawet pozbawiali życia. Każdy musiał pracować, najlepiej ciężko i dużo, mało jeść i sprzeciwu nie wnosić. Tak jak wtórny rynek albo, jak kto woli, czarny rynek, tak i bezdomność zeszała do podziemia.

Jednak mimo represji – lub w wyniku hitlerowskich represji – w każdej wsi, w różnych okresach okupacji bytowali bezdomni tylko w innym tego słowa znaczeniu; istniał też czarny rynek. Jedno i drugie pozwalało przetrwać okupacyjny horror. Ścigani przez hitlerowców ludzie opuszczali swoje domy, czasem wygodne i jak na wojenny czas dostatnie, szukali schronienia u znajomych, zaufanych i u zupełnie obcych. Rodzina, która dała schronienie, często na długie tygodnie i miesiące, przedstawiała ukrywającego się jako kuzyna gospodarza lub gospodyni, lub krewnego synowej czy zięcia, z możliwie najdalszej miejscowości. Zdarzało się, iżby zatrzeć za sobą ślady, ukrywający się nie legitymował się swoim nazwiskiem. Sąsiedzi starali się nie wnikać w pokrewieństwo, chociaż swoje w domyśle zapewne mieli. Wszystko dobrze kończyło się, jeśli nie zamieszał przypadek albo konfident. Rodzina Reginy miała to nieszczęście zetknięcia się z takim konfidentem.

Mimo różnego typu zagrożeń, ruch konspiracyjny na polskiej ziemi okupowanej przez Hitlera rozwijał się i kształtował opór w różnych dostępnym formach, w Protasach również. Znalazła tu posłuch i wsparcie Armia Krajowa. Regina domyślała się, że brat Julek do czegoś należy i coś robi, ale na początku wszystko było w sferze domysłów, zapewne tylko ojciec wiedział coś więcej. Jednak szybko uległo to zmianie: została zaprzysiężona i otrzymała funkcję łączniczki wraz z pseudonimem „Irma”. Blisko z bratem współpracował Buda - nauczyciel ze Zwierek. Do AK należało kilka osób z Protas, byli też tacy co się domyślali istnienia organizacji i sympatyzowali.

Jeszcze niedawno Regina bała się sama wyjść w nocy za własną potrzebą, teraz musiała często chodzić wieczorem albo o zmierzchu, bo pełną drogą przez zarośla było bezpieczniej, niż ruchliwą szosą w biały dzień. Czasem miała przekazać coś ustnie, czasem niosła list lub paczuszkę. Była wysyłana w obce miejsca i do obcych ludzi, a jedynym potwierdzeniem prawidłowego trafienia był właściwy odzew na hasło. Zdarzyło się być w urzędzie niemieckim w Białymstoku przy ulicy Warszawskiej, gdyż tam pracował zaufany człowiek, którego zadaniem było załatwianie potrzebnych pieczętek na dokumentach albo druków dokumentów lub odbieranie ich w umówionym miejscu na ulicy. Każde wykonane polecenie dawało satysfakcję i nie zawsze zdawała sobie sprawę z tego, co jej i rodzinie grozi.

Rodzice wiedzieli co robią ich dzieci, bo nie sposób nie wiedzieć, gdy w domu i obejściu są skrytki, jest broń, są tajemnicze wyjścia, wizyty młodych ludzi i jakieś dyskrekcje, są wykonywane fotografie do ausweisów i innych dokumentów... Czasem miała zadanie do wykonania razem z Hanią Świątkowską, było to nawet miłe, bo przyjaźniły się, a wspólna robota wyzwalała spora dawkę adrenaliny. Rozumiały się bez słów, wystarczyło spojrzenie, gest dłonią, mrugnięcie oka...

We wrześniu 1943 roku, w niespełna trzy lata po śmierci syna, Dąbrowscy opłakiwali odejście wnuczki Ireny. Miała piętnaście lat, była ładną, wdzięczną dziewczyną, jedyną córką ich najstarszego syna. Choroba trwała krótko, objawiła się wysoką temperaturą. Pogrzeb był duży i bardzo smutny, mnóstwo młodzieży ze szkoły, sąsiedztwa oraz członków procesji z parafialnego kościoła Wniebowzięcia NMP /fary/ w Białymstoku.

Wraz z upływem miesięcy okupacyjnego terroru, a z drugiej strony, konspiracyjnego oporu, który szykował się w 1944 roku do wyzwolenia, zbliżał się nieuchronnie czas golgoty rodziny Dąbrowskich. Nie chciała wracać do tych dni, jeszcze świeżych nie zagojonych ran.

W niespełna półtora roku po tragicznej śmierci rodziców i brata, dla odzyskania równowagi psychicznej, starała się uspić pamięć, jednak co raz powracał koszmar tamtych dni. Jej życie powojenne też jakoś zacięło się, chociaż mimo upadku uparcie podnosiła się i rozpaczliwie podejmowała różne działania, ale nic nie układało się pomyślnie. Traciła nadzieję i siły. Postanowiła ratować się. Latem czterdziestego piątego, po licznych rozważaniach pomysłu na dalsze życie, uporczywie wracał jeden – zostać z sobą Protasy, dom rodzinny i iść przed siebie, do obcych, i w nieznanie. Zamierzała przenieść się do Białegostoku, na początku pomieszkać u siostry, potem coś wynajmując, podjąć pracę w szpitalu, najlepiej jako pielęgniarka, oczywiście zaczynając od najprostszych prac. Musi udać się, wszak nie od razu Rzym zbudowano. W bardzo śmiałych wyobrażeniach, po latach, widziała siebie w roli lekarki. Marzenia mają to do siebie, iż bardzo rzadko spełniają się, ale to nie spełnienia, a właśnie marzenia podtrzymują na duchu. Można je ubierać w nowe pomysły, można w nich się ukryć przed ponurością i beznadzieją złych dni.

Przystąpiła do realizacji planu. Któregoś pięknego dnia, późnego lata 1945 roku wybrała się do siostry Jadwigi, by zakomunikować jej swoją decyzję co do własnej przyszłości. Siostra entuzjazmem nie tryskała, odprowadzała od pomysłu. – „Czas wyleczy, wszystko ułoży się, to tylko chwilowy splot niepowodzeń, poczekaj. Na ile będziemy mogli, pomożemy” – mówiła. Czy słoneczny dzień tak ją nastroił, czy podzielenie się z siostrą ciężarem, który gnębił, w każdym bądź razie, wracała do domu cała w skowronkach. Zbliżała się do wsi, skręciła nie w wiejską ulicę, ale wcześniej, na dróżkę, która wiodła poza stodołami.

Kiedy była na wysokości działki Szydłowskich, spostrzegła człowieka wykonującego słomianą strzechę dachu ich stodółki. Ani ze sposobu układania wiązek słomy, ani sylwetką, nie przypominał nikogo ze wsi. Mama ją uczyła, że pracującego trzeba pozdrowić, a Boga pochwalić, więc krzyknęła: – „Boże dopomóż! Dzień dobry!” – i skierowała się na swoje podwórko. Nie zdawała sobie sprawy, że zmaciła spokój pracującego na dachu i, że właśnie w tej chwili, nastąpił przełom w jej życiu. Przełomy mają to do siebie, iż najlepiej są widoczne z daleka, z perspektywy czasu.

Kiedy pracującego na dachu zawołano na posiłek, począł rozpytywać o dziewczynę, którą widział z wysokości dachu, a opisał ją tak: „Drobna, w kolorkach i uśmiechnięta.” Rodzina Szydłowskich zlustrowała dziewczynę ze wsi i wyszło, iż do tego opisu pasuje Dąbrowszczanka, ale gdzie jej do śmiechu, i tu padł opis nieszczęścia jakie dotknęło tę rodzinę. Mówiono o tym, co było we wsi ogólnie znane. Człowiek ów uznał, że rze-

czywiście, nie mogła to być Dąbrowszczanka. Postanowił jednak tajemniczą dziewczynę znaleźć. W swoich rozważaniach doszedł do wniosku, iż jest to dziewczyna z Protas albo niedalekiej okolicy, a jeśli tak, to wcześniej czy później ją spotka. Minęło kilka dni. Któregoś ranka wygrzebał się z legowiska na sianie i przeciągał się leniwie do słońca, jak kot na przyzbie, gdy raptem jego wzrok zatrzymał się na dziewczynie krzątającej się na niedalekim podwórku. Serce mocniej zabiło... To ta! Gospodarze objaśnili mu, iż mieszka tam Reginka – „Jasieńkowa” córka, ta ze smutną okupacyjną historią i na pewno nie jest tą, widzianą z dachu. On, jednak wiedział swoje. Jeszcze tego dnia, razem ze swoim kolegą Józefem – synem gospodarzy – poszedł na to podwórko i potwierdziło się, była to: „Drobna, w kolorkach i uśmiechnięta.” A kim był ów obcy?

Białystok, 19.05.2008 r.

c.d.n.

Od redakcji: *całość opublikujemy niebawem.*



1918-1920 r.
Mieszkancki Kurian – Maria Żukowska (Czech Gilejko)
i Leokadia Brańska.



1960 r. Przekazanie do użytku remizo-świetlicy w Kurianach. Zastępca Przew. P.R.N. – Aleksin wręcza dyplomy uznania przedstawicielom Komitetu Budowy: tytułem Gienek Gilejko, w prawym rogu Franciszek Grzegorzczyk – kier. Szkoły Podstawowej.



1934 r. Szkoła Podstawowa w Białymstoku przy ul Gdańskiej.
Wśród uczennic – Regina Dąbrowska z Protas.



1939 r. Mieszkanki Protas w Białymstoku. Od lewej: Kamilka Strzałkowska, Regina Dąbrowska, Apolonia Iwanowicz.



1934 r. Mieszkanki Protas w Białymstoku: Jadwiga Dąbrowska (Sawicka) i Jadwiga Horodeńska (Szałaj)



1952 r. Szkoła Podstawowa. 6 – klasowa , pokolenie okupacyjno – powojenne Kurian. Widoczni: Szałaj Konstanty, Gilejko Eugeniusz, Józef Jaworowski, Pietraszewski Konstanty, Kryńska Halina, Pieśniak Krystyna, Brańska Janina, Popławska Czesława, Chańko Janina, Śliżewska Walentyna i inni.



1938 r. Białystok. I Komunia Św. Ireny – wnuczki Antoniny Dąbrowskiej z Protas.



1944r. Kaźmierowo (tuż przed wyzwoleniem) Siedzą od lewej: Regina Dąbrowska i Regina Gąsowska, Stefa Świątkowska, Gienia Tekień, Bronka Gorbaczewska.



1915 r. Stanisław Żukowski z Kurian – brat Antoniny Dąbrowskiej z Protas i dziadek Gienka Gilejko z Kurian (fragment z dowodu osobistego wydawanego Polakom przez Niemców).



1943 r. Jadwiga Sawicka i Regina Dąbrowska – siostry.



1938 r. Mieszkańcy Protas: siedzi Regina Dąbrowska, od lewej: Weronika Okurowska, Józefa Lejko, Hanka Michalczuk, Bronisław Michałowski z Łubnik, Wacek Lejko, Wicek Kulikowski

MIECZYŚLAW SZYŁKIEWICZ

*„Daleka droga do naszego domu
I do Ojczyzny też droga daleka,
Ale nam Boże przecież nie odmówisz
Szczęśliwej chwili powrotu doczekać”*

(Ryszard Kiersnowski)

Mój kochany Zabłudów

Zabłudów jest miastem położonym na nizinie białostockiej. Prawa miejskie uzyskał przed 1553 r., gdy stanowił własność Chodkiewiczów, później przeszedł w ręce Radziwiłłów. Henryk Sienkiewicz wspomina je kilkakrotnie w „Trylogii”, szczególnie w „Potopie”.

Na wieczne czasy Zabłudów został upamiętniony na olbrzymich dwóch arrasach eksponowanych jeszcze przed wojną w Muzeum Czartoryskich w Krakowie:

- „Parada Wojsk Chodkiewicza pod Zabłudowem”
- „Parada Wojsk Radziwiłła przed Augustem II Mocnym, pod Zabłudowem” /z opisem w języku łacińskim/.

Oba wykonane w manufakturze w Nieświeżu. Oba po wojnie znajdowały się w Muzeum Czartoryskich w Krakowie.

Po długotrwałym remoncie Muzeum w latach siedemdziesiątych „Parada Wojsk Chodkiewicza pod Zabłudowem” nie jest eksponowana do dnia dzisiejszego.

Mieszkali tu Polacy, Białorusini i Żydzi. Dlatego też mieliśmy trzy świątynie: kościół, cerkiew i synagogę, która jako najstarsza w kraju należała do zerowej klasy zabytków.

Zbudowana była z drewna modrzewiowego. Spłonęła w czerwcu 1941 r. w czasie wojny niemiecko-bolszewickiej.

Urodziłem się w tym historycznym i literackim mieście Podlasia 8. IX. 1919 r., z ojca Józefa i matki Wiktorii z Murawskich.

Miałem szczęście przyjść na świat w licznej i kochającej się rodzinie. Było nas sześcioro rodzeństwa. Jedna z siostr zmarła w wieku niemowlęcym. Zostało nas pięcioro – cztery siostry i ja. Dzieciństwo cała nasza

piątka spędziła w Zabłudowie, gdzie uczęszczaliśmy do szkoły powszechnej. Gimnazja i licea pokończyliśmy w Białymstoku. Tam też nasi rodzice przed wojną kupili dom, dzięki czemu mogliśmy uczęszczać do dobrych, lokalnych szkół średnich.

W roku 1939 mówiło się o wojnie. Zdawaliśmy sobie sprawę, że po aneksji Austrii i Czechosłowacji wkrótce musi nastąpić „Drang nach Osten” na Polskę.

Rankiem pierwszego września 1939 r. Niemcy bez wypowiedzenia wojny napadli na Polskę.

Nikt nie przypuszczał, że wojna trwać może aż pięć lat, że będzie tak okrutna i że zginie w niej około sześciu milionów Polaków.

17 września od wschodu, sowieci zadali nam cios w plecy wkraczając na nasze tereny i zajmując całe Kresy Wschodnie i Ziemię Łomżyńską.

Byliśmy wszyscy przygnębieni i przerażeni okupacją naszych ziem przez sowiecką dzicz. Przyszli rzekomo nas oswobodzić i uwolnić spod „gniotów polskich panów”.

W przeciwnieństwie do Polaków, swoją radość z powodu ich wkroczenia do Zabłudowa manifestowali Białorusini i Żydzi. Uradowani witali ich i wołali „naszyje idut” z miejsca ukonstytuowały się władze miejskie zgodnie z zaleceniami NKWD tj. z udziałem jedynie Żydów i Białorusinów.

W październiku miał miejsce plebiscyt. Sfałszowano go i na jego podstawie włączono nasze ziemie przez nich zajęte tj. całe Kresy do ZSSR. Wiało grozą.

W tym czasie prawie cała nasza rodzina przebywała w Zabłudowie i w Białymstoku, z wyjątkiem jednej siostry, która była zamężna i mieszkała w Pruszkowie pod Warszawą.

Ze względu na zawód mego ojca, jego wieloletnią pracę społeczną, oraz wyższe wykształcenie, a także fakt że jedna z sióstr już przed wojną kończyła wyższe studia, a druga jeszcze studiowała, uznano naszą rodzinę za niebezpieczną, tzw. „socjalno-apastnyj element”.

Zaczęły się szykany i aresztowania przez NKWD, z którym szczególnie współpracowali Żydzi. Na ramieniu z upoważnienia NKWD nosili czerwone opaski. To oni w zasadzie decydowali o losach mieszkańców Zabłudowa. Sporządzali listy osób „kwalifikujących się” do więzienia, lub wywiezienia na tereny ZSSR.

12 października 1939 r. aresztowano najstarszą moją siostrę przez krasnoarmiejca, któremu towarzyszył ku naszemu zaskoczeniu znajomy Żyd, mający na ramieniu czerwoną opaskę. Była pierwszą więźniarką więzienia w Białymstoku.

Wkrótce cała nasza rodzina, tj. dwie siostry, rodzice i ja, znaleźliśmy się w więzieniach w Łomży, Białymstoku, Grodnie, oraz w Brześciu nad Bugiem.

W związku z narastającymi represjami i szykanami, oraz przymusowym wcielaniem mojego rocznika do Armii Czerwonej, postanowiłem uniknąć poboru do wojska sowieckiego i przedrzeć się na zachód do tworzącego się we Francji Wojska Polskiego.

Po drodze zaplanowałem zatrzymać się u starszej siostry w Pruszkowie, koło Warszawy. Stolica jawiła się w mej wyobraźni jako miasto tętniące życiem. W oczach mam kopię widoku na Zamek Królewski autorstwa Antoniego Uniechowskiego.



30 kwietnia 1940 r. wyruszyłem w drogę. Towarzyszyło mi dwóch znajomych – pan Tazbir – pracownik Naczelnej Biblioteki w Białymstoku i kolega z gimnazjum, którego nazwiska nie pamiętam. Szczęście nam nie dopisało i w okolicach Zaręb Kościelnych w pobliżu przejścia granicy sowiecko-niemieckiej zostaliśmy schwytni przez NKWD. Umieszczono nas w pomieszczeniach gospodarskich dla zwierząt, a następnego dnia doprowadzono do klasztoru w Zarębach Kościelnych, gdzie mieścił się areszt.

Cele klasztorne wypełnione były schwytanymi uciekinierami takimi jak my. Między nami dużo było Żydów wracających z powrotem z sowieckiego rajdu, do którego uciekli przed Niemcami.

Karmiono nas w areszcie gotowaną soczewicą, na śniadanie, obiad i kolację.

Po tygodniowym pobycie w Zarębach Kościelnych popędzono nas pod eskortą do dworca kolejowego i załadowano do wagonów bydłych. Ruszyliśmy na wschód w kierunku Białegostoku. Podczas postoju w Białymstoku udało mi się napisać i wyrzucić z wagonu kartkę zaadresowaną do moich bliskich, powiadamiającą o moim aresztowaniu.

Dojechaliśmy do Grodna. W centrum miasta tuż przy kościele farnym znajdowało się więzienie, w którym umieszczono mnie w celi nr. 39.



Zdjęcie z więzienia w Grodnie. Otrzymałem je po latach od władz Białorusi 30-kwietnia 2000 roku

Podczas nabożeństw dochodziły nas śpiewy wiernych. Dodawało to nam otuchy i wiary w lepsze jutro. Cela nasza była przepełniona, znajdowało się tutaj na powierzchni około 16 m. kw. 20 osób.

Była już połowa maja 1940 roku. Wiadomości ze świata docierały do nas pokątnie w przeróżny sposób. Wiedzieliśmy, że trwa nadal wojna, że Hitler prze na zachód, że Francja już padła, ale wierzyliśmy, że prędzej czy później nastąpi ze strony Niemiec „Drang nach Osten”, atak na Rosję po naftę, złoto i inne bogactwa naturalne. Podnosiło to nas na duchu.

Warunki w celi były okropne. Cztery gołe ściany, podłoga betonowa, żadnej pryczy, siennika, krzesła czy stołu. Jedno przyćmione okno, a przy drzwiach „kibel”.

Raz dziennie wyprowadzano nas do ubikacji, w której otwory kloaczne były bardzo szerokie i dzięki temu można było porozumiewać się z więźniami innych cel i pięter.

Współwięźniów stale przybywało, a z nimi nowe wiadomości ze świata.

W październiku bez żadnych przesłuchań, ani prowadzonego ze mną śledztwa, zaocznie otrzymałem najwyższy wyrok za chęć przekroczenia granicy – 5 lat „łagiernych robót”.

Po wyroku do swojej celi już nie wróciłem. Znalazłem się w innej nr. 54, która była przygotowaniem do transportu. Nastrój współwięźniów stał się zupełnie inny. Zdaliśmy sobie sprawę, że wkraczamy na szlak naszych praojców, zesłańców na Sybir. Byliśmy przygnębieni.

Z więzienia na dworzec kolejowy przewieziono nas ciężarówkami, załadowano do długiego zestawu wagonów. Były one zabezpieczone kratami i odpowiednio przygotowane do przewożenia więźniów.

Po jednej i drugiej stronie były prycze, w środku stał piecyk żelazny, zwany „kozą”. Obok była dziura w podłodze, do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Wagon mieścił około 100 osób. Co drugi wagon miał na zewnątrz pomieszczenie dla strażnika „bojca”, uzbrojonego w karabin z bagnetem, oraz w młotek z długim trzonkiem. Młotek służył do opukiwania wagonów w czasie postoju. Sprawdzano w ten sposób, czy ściany wagonu nie są uszkodzone i przygotowane do ewentualnej ucieczki więźniów w czasie biegu pociągu.

Na „niehumanitarnej ziemi”



System łągrowski (wg. Kalendarz kombatanta)

Ruszyliśmy w dalszą drogę!

Którejś nocy w lekko zadzwionym polu pociąg zaczął raptownie hamować. Byliśmy pewni, że ktoś uciekł z wagonu, ponieważ rozległy się strzały. W myśli życzyliśmy powodzenia uciekinierowi. Po tym incydencie, na każdym postoju przeprowadzano bardzo dokładne opukiwanie wagonu.

Granicę przekroczyliśmy w Stołpcach. Na pożegnanie z Ojczyzną zaśpiewaliśmy „Jeszcze Polska nie zginęła”. Byliśmy wszyscy wzruszeni i zadumani. Z lękiem myśleliśmy, co nam przyniesie przyszłość. Śpiewaliśmy piosenki wojskowe i patriotyczne dodając sobie w ten sposób otuchy i nadziei.

Po tygodniowej podróży, dojechalśmy do Moskwy.

Wygłodniali, podczas postoju domagaliśmy się posiłku, skandując czasami skutecznie „chleba, wody”, „chleba, wody”.

Następny postój był w Orszy. Pociąg dokładnie obstawili enkawudziści.

Była późna jesień. Ziemia przyprószone śniegiem. Rozpoczynały się mrozy. Polecono nam opuścić wagony. Byliśmy prawie w negliżu. Wygoniono nas wszystkich na śnieg. W wagonach przeprowadzono szczegółową rewizję. Zobaczyliśmy, że w tym transporcie jadą również kobiety

Polki, o czym wcześniej nie wiedzieliśmy. Nakarmiono nas słonymi śledziami i ruszyliśmy w dalszą drogę. Pragnienie po tych śledziach było olbrzymie. Podczas jednego postoju domagaliśmy się picia, wołając: „wody, wody, wody”.

Niebawem otworzyły się drzwi wagonu. Wszedł rozwścieczony strażnik wrzeszcząc „katoryj riał” (który się darł).

Patrząc na niego, nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, za co bez pardonu uderzył mnie w twarz, chwycił za kołnierz koszuli i ze wściekłym okrzykiem „ty pan iz Polszy Piłsudskowo”, wypchnął mnie z wagonu na śnieg, skuł kajdankami ręce do tyłu i zaprowadził do ostatniego wagonu, który służył za karcer. Pasażerów było tam czterech. Ja byłem piąty. Jechaliśmy na północ – mróz stawał się coraz większy. Skutych rąk prawie nie czułem. Towarzysze niedoli w miarę możliwości rozcierali mi zmarznięte ręce. Tak przejechaliśmy około 100 kilometrów. Na jednym z krótkich postojów rozwarły się drzwi. Wszedł bojec, rozkuł mnie i zaprowadził do mojego wagonu. Przez towarzyszy podróży byłem radośnie przywitany i zasypywany pytaniami, gdzie byłem i co się ze mną działo.

Po dwutygodniowej podróży dojechaliśmy do Kotłasu, gdzie się mieścił olbrzymi obóz rozdzielczy dla łagiemników. Stąd kierowano do obozów pracy rozmieszczonych w północno wschodniej części Rosji Europejskiej, od Archangielska po Workutę. Do łagrów w tym obszarze kierowano kryminalistów o różnorodnym charakterze: bandytów, złodziei, chuliganów, politycznych i „wrogów narodu”, podobnych do mnie, a także Finów – jeńców wojennych.

Był już listopad. Nastąpiły siarczyste mrozy. Ulokowano nas w dużym, zbiorowym, piętrowym baraku. Skład narodowościowy był tu bardzo różny. Wśród nas byli Rosjanie, Ukraińcy, Rusini, Polacy, Żydzi, Kozacy, Tatarzy i Finowie – jeńcy wojenni z wojny sowiecko fińskiej z 1939 roku. Większość stanowili Polacy. Był wśród nas ksiądz Polak. Wieczorami odbywały się wspólne modlitwy w naszym języku.

Najwyższa prycza pod sufitem była zajęta przez młodych rosyjskich chuliganów i przestępców różnego pokroju. Sceny i stosunki międzyludzkie były przeróżne: od bójek, kłótni, modlitw, okradania się wzajemnego, do wprost rozweselających sytuacji, jak na przykład w biały dzień spod sufitu schodzili po drabinie zupełnie nadzy chłopcy, którzy za swoją potrzebą fizjologiczną wychodzili z baraku w trzaskający mróz. Byli to ruscy chłopcy, którzy wszystko co posiadali, łącznie ze swoją garderobą przegrzywali w karty. Byli niezwykle zahartowani i odporni na wszelkie niewygody, głód, mróz i wszystko co najgorsze.

Mróz tych nagich chuliganów nie odstraszał, a ja marłem i zastanawiałem się, co począć, żeby ocieplić swoją wiosenną garderobę. Postanowiłem rozstać się ze swoją kamizelką, zamieniając ją na kufajkę u rosyjskiego fryzjera obozowego.

Pewnego dnia powiadomiono nas o nadejściu naszych depozytów z więzienia w Grodnie, gdzie wszystkie nasze osobiste rzeczy zarekwirowano, łącznie ze sznurowadłami do obuwia. Mnie odebrano piękną skórzaną teczkę z przyborami osobistymi, między innymi pastę do zębów, szczoteczkę do zębów i golarkę z lusterkiem. Przy odbiorze tych rzeczy bałagan był niesamowity. Wszystko odbywało się na zasadzie, kto mocniejszy i silniejszy ten lepszy.

Nie było żadnej organizacji, co sprzyjało masowej kradzieży. Wielu z nas nie otrzymało swojego depozytu. Ja też nic nie odzyskałem z moich cennych przedmiotów osobistego użytku.

Z więzienia i obozu, co jakiś czas mieliśmy możliwość wysyłania listów do najbliższych i rodziny. Spodziewając się, że moja najbliższa rodzina mogła podzielić los mój i najstarszej siostry wysyłałem listy w kilka miejsc, dzięki czemu mieli mój adres obozowy.

Pewnego dnia poczta obozowa powiadomiła mnie, że mam się stawić po odbiór przesyłki. Obowiązywało przy tym podanie nazwiska wysyłającego i nazwę miejscowości, skąd pochodziła paczka.

Niestety nie mogłem odgadnąć ani nazwiska, ani miejscowości nadania. Indagowanie mnie przez poczciarzy trwało około godziny. Nie mogąc usłyszeć ode mnie konkretnej odpowiedzi, zaczęli sami naprowadzać. Podali imię nadawcy. Brzmiało ono Helena. Wymieniłem wszystkie kuzynki o tym imieniu, ale żadna nie zgadzała się z nazwiskiem nadawczyni. Wytłumaczyłem swoją niewiedzę tym, że najprawdopodobniej któraś z wymienionych Helen wyszła za mąż i zmieniła nazwisko. Ten argument przekonał ich i wręczono mi paczkę. Niestety ani nazwisko nadawcy, ani miejscowość nadania nic mi nie mówiły.

Dopiero po siedmiu latach, po powrocie do kraju dowiedziałem się, że tajemniczą nadawczynią była pani Helena Bogdanowicz, gospodyni księdza Edwarda Godlewskiego, dalekiego kuzyna mojego ojca. W czasie okupacji został on przeniesiony z Białegostoku do Dryświat w powiecie Braclawskim, leżącym na granicy łotewsko-polskiej.

Przesyłka była bardzo cenna. Zawierała bowiem około czterech kilogramów suchej, solonej, grubej słoniny. Stanowiła wspaniałą dodatek do moich i najbliższego otoczenia racji żywnościowych. W Kołtasie nie pracowaliśmy, w związku z czym racje żywnościowe były głodujące. Znajac panujące tam stosunki dotarłem do władz obozowych z poważnym kęsem

słoniny. Efekt był znakomity. Otrzymałem zatrudnienie w roli „kipitilszczyka”, a racja żywnościowa wzrosła z 600 gramów chleba do 800.

Zadaniem moim było gotowanie wody na otwartym powietrzu w wojskowych kotłach, które musiałem napełnić wodą, porąbać drewno i rozniecić ogień w palenisku. Łapówka moja niestety nie przydała się na długo. Po dwóch tygodniach zrezygnowałem z pracy na skutek odmrożenia palców rąk i nóg.

Wkrótce zostaliśmy przeniesieni do baraku przeznaczonego dla oczekujących na transport do docelowego łagru, to jest miejsca pracy. Każdy z nas na ten moment z niecierpliwością oczekiwał, ponieważ mróz i głód poważnie nam dokuczały.

W tym baraku spędziłem pierwsze święta Bożego Narodzenia w miejscu oddalonym od rodzinnego domu o tysiące kilometrów, nie wiedząc nic o losie najbliższych. Mimo koszmarnych warunków obozowych, wieczór wigilijny był dość uroczysty. Rozpoczęliśmy modlitwą błagalną do Pana Boga, by miał nasze rodziny w opiece i dał nam siły do przetrwania gehenny obozowej.

Zamiast opłatkiem dzieliliśmy się kruszynami chleba, życząc sobie szybkiego powrotu do Ojczyzny i najbliższych. Śpiewaliśmy również kolędy. Za aktywny udział w tych uroczystościach wraz z kilkoma kolegami dwa dni świąt spędziłem w karcerze, o chłodzie, mrozie i 300 gramach chleba.

W sylwestra załadowano nas do bydłych wagonów i pojechaliśmy dalej, w kierunku na północ, już do docelowego obozu pracy, do Uchty w Autonomicznej Republice Komi, ASSR.

Uchta znana jest ze specyficznego wydobywania ropy naftowej. Po przyjeździe do obozu zorientowaliśmy się, na czym polega kopalnia tego surowca. W tym zakątku Europy, w czasach carskiej Rosji ziemia ta była prawie nieznaną. Dopiero władza bolszewicka zaczęła dokładnie te obszary penetrować. Rejon ten nazwano Komi ASSR. Mieszkańcami byli tu bardzo prymitywni ludzie, skrzyżowanie Eskimosów z Mongołami, lub innymi ludami północy, tak zwani „Komiccy”. Niskiego wzrostu o sopranowych głosach byli samojadami, panował tu kanibalizm. Był to naród dziki i wynędzniały.

Odkryte tu bogate złoża węgla i ropy naftowej eksploatowane były rękami niewolników-ześłańców. Okolice bogata w drzewostan, o którym pięknie napisał w jednym ze swoich wierszy więziony tutaj Władysław Broniewski:

*Tam na Uchcie, tam na Soświe
Rośnie sosna przy sośnie,
Drzewa piękne, masztowe wyrosły.
Myśmy ostrym toporem
Rozprawiali się z borem
Nie dla Polski: dla Rosji...dla Rosji...
Dobychaliśmy węgiel
Pod polarnym aż kręgiem,
Lub splawialiśmy las na Peczorze
I pędziła nas dola
Na bezdroża, na pola,
W tundrę, tajgę, za góry, za morza...
Bieda była, oj bieda!
Trzeba było się nie dać,
Trzeba być twardym, upartym
Poprzez łagry i tiurmy
Jak na froncie do szturmu
Iść z żołnierskim honorem i hartem.*

Najwięcej zesańców umierało przy wyrębie lasów (lesopowale) z mrozu i wycieńczenia.

Linia kolejowa Uchta – Workuta, to również dzieło polskich rąk.

Po przyjeździe do obozu w Uchcie, stanęliśmy przed specjalną komisją lekarsko – zawodową. Każdy z nas w trakcie badania starał się wyolbrzymić swoje dolegliwości zdrowotne, które by dyskwalifikowały do pracy pod ziemią.

Mnie uznano za nadającego się i zdrowego. Następnie indagowano o zawód.

Podajem, że jestem elektromonterem. Ta specjalność w kopalni, nie była potrzebna. Wobec tego przydzielono mnie do robót prostych, to jest do rozprzestrzeniania kopalni na jednym poziomie. Kopalnia ta, jeśli chodzi o technikę wydobywania ropy, była ewenementem na skalę światową.

Normalne wiercenia sięgają tysiąca i więcej metrów w głąb, a tu zaledwie około 300 metrów. Ropa z powodu niskiego ciśnienia w pokładach nie była w stanie wytrysnąć na powierzchnię. Dlatego wkopano się do 200 metrów pod powierzchnię ziemi i na tym poziomie rozprzestrzeniano kopalnię, drążąc korytarze, a w nich wnęki-nisze, w których dokonywano wierceń pionowych w głąb na 40 metrów.

Na takiej głębokości ropa tryskała spontanicznie do rynsztoków i doprowadzana była do jednego olbrzymiego zbiornika, skąd bezpośrednio do

cystern kolejowych na powierzchni ziemi tłoczyła ją tylko jedna, jedyna pompa mechaniczna DUPLEX produkcji amerykańskiej.

Władzom sowieckim zależało na szybkiej eksploatacji ropy. Trzeba było powiększać powierzchnię kopalni na jednym poziomie przez wydłużanie korytarzy. Wiercono świdrami w glebie popielano zielone otwory długości około 1,5 metra, po czym otwory te wypełniano materiałem wybuchowym. Przez podpalenie lontu następowała eksplozja. Skruszone bryły ziemi ładowano do podstawionych wagoników.

Zadaniem moim i mojego towarzysza (pracowało się po dwóch), było załadowanie 10 wagoników w ciągu 8 godzin pracy. Jeden wagonik ważył około 1000 kg. Wypełnienie tej normy zapewniało pajkę chleba 1100 gramów.

Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej porcję tę pomniejszono do 900 gramów. Normy nigdy nie byliśmy w stanie wykonać. Wagonik należało wypchnąć do głównego korytarza, gdzie niejednokrotnie wykolejał się z powodu niedbałego ułożenia szyn. Ustawienie go na powrót na szyny było dla nas prawie niemożliwe. Tworzyły się zatory nadjeżdżających wagonów. W tej sytuacji musiał nam pomagać „prorab”, czyli nadzorujący naszą pracę.

Rozwścieczony na nas, po dwóch tygodniach wyzwał nas od „wreditieli i sabotażników” i kazał nam zameldować się w biurze kopalni.

W kantorze naczelnik zmienił charakter pracy na łżejszy w dziale eksploatacji ropy. Praca ta polegała na oczyszczaniu korytarzy z tryskającej ropy z szybów, zgarniać ropę do rynsztoków i posypywać piaskiem śliskie miejsca, żeby uniknąć poślizgów i upadków przechodzących pracowników.

Zmiana charakteru pracy spowodowała także zmianę mojego miejsca zamieszkania. Przeniesiono mnie do innego baraku, gdzie zetknąłem się z innymi łagiernikami, pracownikami przy eksploatacji ropy. Wśród nich był inż. Aleksander Mateusiak, z którym nawiązałem bardzo przyjazny kontakt.

Aleksander Mateusiak ukończył studia górnicze w Baku. Pracował w swoim zawodzie na terenie Kaukazu. Dzięki znajomości języków obcych był delegowany do Niemiec celem pogłębienia wiedzy zawodowej. Po powrocie na Kaukaz i wprowadzeniu zdobytych doświadczeń w Niemczech, został ponownie delegowany w tym samym celu, tym razem do USA.

Po powrocie opowiadał o swoich wrażeniach z pobytu w krajach kapitalistycznych i o poziomie w nich życia. Opowiadał to wszystko zdawałoby się osobom zaufanym. Na skutki nie czekał długo. Niebawem został

aresztowany. Jako wróg narodu otrzymał wyrok śmierci. Po ułaskawieniu przez Stalina ponownie został aresztowany i skazany na 25 lat łagiernych robót. Był to początek lat trzydziestych. W tym czasie odkryto złoża ropy naftowej w Uchcie, gdzie jako specjalista nafiarcz został skierowany do katorżniczej pracy. Często rozmawiał ze mną. Nie bał się mnie. Przypominałem mu jego syna.

Do pracy pod ziemią zjeżdżało się w specjalnej odzieży roboczej, po dokonanej osobistej rewizji, podczas której zwracano głównie uwagę na zapałki, mogące łatwo spowodować pożar w kopalni. Ich właściciela uznano by wówczas za sabotażystę.

Odzież specjalną stanowiły spodnie, kurtka i kapelusz. Lampy elektryczne wydawał nam Polak Andrzej Górecki. Był on inżynierem elektrykiem po politechnice warszawskiej.

Po 33 latach spotkałem pana Góreckiego w Warszawie, po zakończeniu akademii z okazji rocznicy Bitwy o Monte Cassino. Akademia miała miejsce w głównej siedzibie NOT (Naczelna Organizacja Techniczna), przy ulicy Czackiego. Wszyscy uczestnicy akademii, bacznie przyglądali się sobie.

Przed NOT-em stał pan z panią. Z miejsca rozpoznałem Andrzeja Góreckiego, do którego podszedłem pytając, czy przypomina mnie sobie. Pomimo, że witałem go po imieniu i nazwisku, on mnie nie pamiętał. Zadałem mu więc pytanie po rosyjsku: „rabotał ty lampadilsczykom w Uchcie?”. Wówczas rozjaśniła mu się twarz i przypomniał mnie sobie. Utrzymywaliśmy kontakt ze sobą aż do jego śmierci, do 1981 roku.

Po ośmiu godzinach pracy w kopalni pod ziemią, dalsze szesnaście godzin pobytu na ziemi starano się nam jakoś zapełnić. Organizowano różne kursy związane z pracą w kopalni. Zgłosiłem się na kurs zagospodarowywania nieczynnych szybów. Szkolenie polegało na nauce techniki przywracania ich eksploatacji. Poza tym zapoznawaliśmy się ze składem chemicznym ropy, procesem jej rafinacji, oraz z różnymi rodzajami pomp tłoczących, ssąco tłoczących itp.

Po zakończeniu kursu awansowałem na „operatora remontu skważyn”. Od czasu do czasu ropa przestawała tryskać i wówczas do moich czynności należało uruchomienie szybu. Różne były tego sposoby – mechaniczne przepychanie, włączanie sprężonego powietrza, lub wody pod wysokim ciśnieniem.

Praca nasza była trudna do naliczenia normy dziennej czy tygodniowej, narzucono nam miesięczny plan wydobycia ropy. W ciągu pół roku mojej pracy, zdarzył się zaledwie jeden miesiąc w którym przekroczyliśmy plan.

Uhonorowani zostaliśmy za to obiadem w restauracji w Uchcie (dla wolnych obywateli).

W obozie karmiono nas trzy razy dziennie. Jedzenie było bardzo monotonne. Ciągłe to samo. Trzy razy dziennie kasza z ziarna skrzyżowane-go owsa z pszenicą, kipyatok (wrzątek) i pajka chleba objętościowo niewielka, ale ciężka z powodu dużej zawartości wody.

Początkowo wydawało nam się, że wikt jest całkiem możliwy. Po pewnym czasie okazało się, że ekskrementy nasze były prawie takie same jak pokarm. Przewód pokarmowy nie trawił. Od czasu do czasu racje nasze żywnościowe wzmacniane były koniną, pochodzącą z koni dobitych lub padniętych. Były one zatrudnione jako siła robocza, pociągowa do transportu wagoników wypełnionych ziemią pochodzącą z wykopów w kopalni. Musiały przetransportować głównym korytarzem kopalni wózki do windy i podczas tego zdarzały się wypadki łamania kończyn. Wtedy je zabijano.

Niezależnie od koniny, co pewien czas wydawano nam napój – wywar zwany „kwasok”, zrobiony z igieł sosny lub świerku zawierający witaminę C, chroniącą nas w pewnym stopniu przed skorbutem zwanym „cyngą”.

Brak witaminy A w pokarmie powodował z kolei kurzą ślepotę. Choroba ta polegała na tym, że o zmroku nic się prawie nie widziało. Mnie dotknęły obie te przypadłości.

Praca nocą nie była ciężka, ponieważ nie mieliśmy „opieki prarobów”, czyli naczalstwa. Można było się zdrzemnąć, natomiast ja wsparty o łopatę wyspiewywałem wszystkie polskie szlagiery. Chętnie mnie słuchano i podziwiano mój bogaty repertuar. Przejście z obozu do kopalni stanowiła jakby aleja otoczona z obu stron drutem kolczastym, długości około 1 km. Spacer ten był męczący, ponieważ w dniu pogodnym promienie słońca powodowały nadmierne łzawienie, i czuło się ukłucia zamrożniętych łez. Błogosławieństwem było to, że w okolicy Uchty przy tak dużym mrozie, nie było wiatrów, a ja dzięki temu, że pracowałem pod ziemią, nie zaznałem mrozów sięgających – 60 st.C.

Droga do Wojska Polskiego

Nadszedł sierpień 1941 roku. W pierwszych dniach miesiąca dowiedzieliśmy się z głośników radiowych o podpisaniu układu Sikorski-Majski i tworzeniu się w ZSSR Wojska Polskiego. Na podstawie tego układu mieliśmy być uwolnieni i w naszym obozie też tak się stało.

Nasz olbrzymi obóz podzielono na dwie części. W jednej z nich zgromadzono wszystkich obywateli polskich. Zapanowała wśród nas ogromna, wprost nie do uwierzenia i nie do opisania radość, tym większa, że ruscy łagiemnicy przepowiadali nam dozgonny tutaj pobyt. NKWD namawiało nas do pozostania w pracy na swoich stanowiskach, oferując wysokie wynagrodzenie.

Chętnych nie było. Już jako wolni, pracowaliśmy nadal w kopalni. Poza wynagrodzeniem otrzymaliśmy zaświadczenia, że jesteśmy Polakami i amnestionowani możemy opuścić łagier. Nie podano nam miejsca tworenia się Armii Polskiej. Należało nam się bezpłatny bilet do miejsca przeznaczenia. Byliśmy na bezdrożu. Niektórzy nic nie wiedzieli o swoich bliskich wywiezionych do ZSSR, niektórzy natomiast znali adresy swoich rodzin wywiezionych z Polski i do nich podążali. Wszyscy jechaliśmy na południe. Uciekaliśmy od podbiegunowych mrozów z dzikiej północy.

Ja należałem do grupy, która miała korespondencyjny kontakt ze swoimi rodzinami zesłanymi do obwodu (obłasti) Pawłodarskiego w Kazachstanie. Jechaliśmy w trójkę. Mój profesor z gimnazjum Michał Goławski, naczelnik Wydziału Kultury i Oświaty w Urzędzie Miasta w Białymstoku, Kazik Malewski rodzony brat jak się potem okazało mojego późniejszego szwagra i ja.

Jechaliśmy przez Kirów, Ufę, przekroczyliśmy Ural i podążaliśmy w kierunku Nowosybirsk, przed którym na stacji kolejowej Tatarskaja przesiedliśmy się do pociągu skręcającego na południe do Pawłodaru położonego nad rzeką Irtysz w środkowym Kazachstanie. Na każdym przystanku kolejowym staraliśmy się zdobyć coś do jedzenia. W pogoni za tym pogubiliśmy się i każdy z nas indywidualnie dotarł do Pawłodaru.

Był już październik. W Pawłodarze i okolicy nie odnalazłem nikogo z rodziny, natomiast spotkałem bardzo dużo znajomych i kolegów z Białegostoku, którzy pomogli mi w zakwaterowaniu się na terenie miasta. Zatrzymałem się w dwuizbowym domku – lepiance, zbudowanej z namiastki cegły, wysuszonej gliny z dodatkiem kału bydłowego. Mieszkała w nim żona policjanta z Łucka, wywieziona z trójką nieletnich dzieci, podczas drugiej masowej wywózki w kwietniu 1940 roku.

O pracę w Pawłodarze nie było trudno. Był wyraźny brak mężczyzn w skutek mobilizacji do wojska na front. Zostałem zatrudniony w MTS (Maszyno Traktornaja Stancja), coś w rodzaju naszego POM z okresu PRL. Była to olbrzymia, stara cerkiew, przebudowana na warsztat mechaniczny.

Początkowo z dostarczonego nam surowca wykonywałem śruby i nakrętki. Wszelkie zarobione pieniądze wydawałem na jedzenie. Dostępny

był tylko chleb i arbuzy. Po wikcie obozowym byliśmy zadowoleni, gdyż arbuzy uzupełniały w naszych organizmach brak witaminy C.

W Pawłodarze spotkałem się z trzecim rodzajem pasożytów. Z wsza-
mi po raz pierwszy zetknąłem się w klasztorze w Zarebach Kościelnych,
drugi raz w więzieniu w Grodnie. W obozie w Uchcie wszy nie było, po-
nieważ zmuszeni byliśmy poddać się gorącej łaźni. Zmywaliśmy mydłem
i naftą ropę, którą byliśmy złani podczas pracy od stóp do głów. Świeciły
się nam tylko białe zęby i białka oczu. Mydła było pod dostatkiem. Dzięki
temu uwolniliśmy się od wszy. Natomiast pluskwy nie dawały spać. Było
ich mnóstwo, a od zmroku dosłownie kapały z sufitu. Dość szybko przy-
zwyczajaliśmy się do tej plagi. W Pawłodarze natomiast sen z oczu spędza-
ły nam pchły. *Pulex irritans*, to ich łacińska nazwa. Nocny wypoczynek
zakłócało nam częste wstawanie z powodu moczopędnego działania arbu-
zów.

Po tygodniu pracy w MTS, przeszedłem do pracy w kuźni, w której
było pięć stanowisk kowalskich. Obsadzone były tylko trzy. Majstrami
byli Tadeusz Czupryński, Zbyszek Zawadzki i Gotlib-żyd, syn białostoc-
kiego fabrykanta. Pracowałem jako pomocnik kowala, tzw.
„mołotobojec”, przy Tadku Czupryńskim.

Praca trwała 10 godzin i polegała na wykonywaniu metalowych obrę-
czy do drewnianych kół wojskowych wozów. „Wsio dla fronta”.

Od czasu do czasu Polacy już po pracy, gromadzili się przed urzędem
NKWD. Domagaliśmy się egzekwowania uchwał zawartych w układzie
Sikorski-Majski, to jest przede wszystkim organizacji pomocy społecznej,
zwolnienia Polaków z zakazu opuszczania miejsc zesłania, no i powołania
do Polskiej Armii.

Podczas jednego ze spotkań pod gmachem NKWD, nawiązałem kon-
takt z koleżanką, Ireną Szatunówną i jej mamą. Wywiezione były w kwiet-
niu 1940 roku. W Białymstoku mieszkaliśmy w sąsiedztwie, ale znaleźmy
się tylko z widzenia.

To spotkanie było okazją do zbliżenia się, a nawet do zaprzyjaźnienia.
Od tego czasu byłem w ich pawłodarskim domu częstym gościem. Miesz-
kały nie w lepiance, tylko w drewnianym domku u ukraińki przesiedlonej
tutaj w latach trzydziestych.

Tata Ireny był urzędnikiem Izby Skarbowej w Białymstoku. Miał
piękny głos, bas – baryton, a jako solista w kościele farnym znany na całe
miasto. Zmobilizowany do wojska we wrześniu 1939 roku. Ślad po nim
zaginał. Był synem białogwardzisty, a po zakończeniu I Wojny Światowej
pozostał w Polsce.

W kwietniu 1940 roku, w czasie piętnastominutowego „saborajsa z wieszczami”, obie panie wzięły ze sobą patefon z płytami, nagraniami Kiepury, Popławskiego i innych śpiewaków operowych. Obydwie kochały muzykę. Po kilkunastu latach oglądałem w mieszkaniu Ireny w Rembertowie ten sam patefon, jako wielką pamiątkę z tamtych czasów. Od czasu do czasu pomagałem im w pracach domowych, np. rąbaniu kłoców drewna, z trudem zdobytego na opał.

W początkach października 1941 roku, z polecenia NKWD Polacy w wieku poborowym mieli obowiązek rejestrowania się w Wojenkomacie (odpowiednik naszego RKU). Było to istotne dla nas, bo uwierzyliśmy, że domaganie się naszych praw dało w NKWD jakieś efekty i że możemy oczekiwać korzystnych zmian w naszym zesłańczym losie.

W kuźni nadal wykonywaliśmy same obręcze do kół wojskowych wozów. W Czerwonej Armii trakcja konna, mimo wielkiego postępu cywilizacji, była ciągle aktualna. Dopływ paliwa do linii frontu był bardzo utrudniony z powodu nieustannych bombardowań dróg przez Niemców.

W pierwszej połowie października 1941 roku spotkała nas wielka radość. Około 40 Polaków z Pawłodaru i okolic otrzymało zawiadomienia kierujące nas do Polskiego Wojska w Tatiszczewie.

Wielkim przeżyciem było pożegnanie na dworcu kolejowym w Pawłodarze, gdzie matki, żony i siostry żegnały udających się do wojska.

Prawie 50% wyjeżdżających z Pawłodaru, byli to moi koledzy z Białegostoku, lub znajomi. Mnie odprowadzały Irena i jej mama.

Na pożegnanie Irenka wręczyła mi tomik wybranych dzieł Mickiewicza z krótką dedykacją: „Na drogę do Polski – Pawłodar 14.X.1941 r.”

Książkę tę po dzień dzisiejszy starannie przechowuję. Tubylcy, którzy byli świadkami naszego pożegnania na dworcu kolejowym podziwiali, z jakim spokojem i w dostojnym nastroju Polacy rozstawali się z najbliższymi idącymi do wojska. Dla nich bowiem takie rozstanie z idącymi na front mężczyznami było prawdziwą orgią. Lament, spazmy, płacz, okrzyki! Dla nich to była tragedia, a dla nas wyrwanie się z niewolniczych miejsc zesłania, z nadzieją powrotu do Ojczyzny.

Ruszyliśmy pociągiem z Pawłodaru do stacji Tatarskaja, leżącej na trasie Nowosybirsk – Moskwa. W pociągu natknęliśmy się na młodzież studencką z Moskwy, ewakuowaną wraz z uczelnią do Nowosybirska. Wobec bałaganu, jaki zastali w Nowosybirsku wracali do swoich rodzin w Moskwie, zagrożonej wówczas przez atakujące dywizje Wehrmachtu. Śpiewali swoje patriotyczne pieśni. Między innymi „pomniat psy atamany, pomniat polskie pany kamarmiejskie klingi (popamiętaj psy-atamany, popamiętaj polscy panowie nasze szable komunistycznej armii).

Skierowania mieliśmy do Tatiszczewa, w którym formowała się 5 Dywizja Wojska Polskiego. Sztab Wojska znajdował się w Buzułuku. Mieścił się w ocalałym po rewolucji pałacu z carskich czasów, w którym uprzednio rezydował generał Swoboda, dowódca Legionu Czeskiego. Legion ten po aneksji Czech przez Hitlera w 1938 roku, ewakuował się i rezydował w Polsce.

Do Tatiszczewa nie dotarliśmy. Zatrzymano nas w Kujbyszewie. Tutaj mieściły się ambasady ewakuowane z oblężonej Moskwy, w tym również polska. Ambasadorem był wówczas przybyły z ramienia rządu polskiego, rezydujący w Londynie prof. Stanisław Kot.

Grupa nasza dokooptowała do zgromadzonej tam rzeszy Polaków, którzy przybyli w celu dostania się do Wojska Polskiego.

Następnego dnia przemówił do nas sam ambasador. Po długim wywodzie o niekorzystnej sytuacji na froncie i oblężeniu Moskwy oznajmił nam, że na tym terenie nie możemy wstąpić do wojska. Smutek powiał wśród nas i rozczarowanie. Ambasador skierował nas na południe do azjatyckiej części ZSSR, nie podając konkretnego miejsca mobilizacji.

Był koniec października 1941 roku. Olbrzymi skład wagonów kolejowych wypełnionych Polakami ruszył na południe do Taszkientu, przez Orenburg, Aralsk, Kizyl-Ordę. Mieliśmy pokonać parę tysięcy kilometrów.

W połowie drogi skończyły mi się pieniądze i skromny zapas chleba. Byłem zdesperowany. Pocieszałem się, że ZSSR musi paść i musi mi starczyć sił, aby to wszystko przetrwać. Byłem głodny i jak wielu towarzyszy podróży oczekiwałem na postoje, żeby na stacjach kolejowych głód zaspokoić czymkolwiek. Prawie na każdej stacji leżały sterty wyłoczyn słonecznikowych, lub innych. Choć był to pokarm dla zwierząt, myśmy go jedli. Przy niektórych dworcach znajdowały się targowiska. Sprzedawano tam „uruk” czyli suszone morele i „kiszmisz” – suszone winogrona. Chodząc od straganu do straganu, niby próbując czy dobre są te suszki, zaspakajalem w ten sposób głód, który bardziej mi doskwierał niż w obozie. W takich warunkach jechaliśmy prawie dwa tygodnie, zanim dotarliśmy do Taszkientu, gdzie spodziewaliśmy się przyjęcia do wojska.

Całą naszą tułaczkę pięknie opisał F. Konarski w wierszu „Szli”. Przeżywaliśmy to wszystko w drodze.

Szli...

Z twarzami szarymi jak popiół,

Z oczami zapatrzonymi w przyszłość.

Każdy z nich bólem się opił,

*Każdy cierpieniem nakarmił.
Do Armii!
W zawoszonych łachmanach,
Z nogami owiniętymi w szmaty.
Pod niejednym ugięty się kolana,
Niejednemu zdrętwiały gnaty
I zęby szczękały z mrozu.
Szli...
Z odległych kolchozów,
Z obozów, ponurych miast
Nie widząc słońca i gwiazd,
Nie słysząc wichru złośliwego wycia,
Głodni zziębnięci bez życia.
Ale uparci, ale wierzący
W prawość tej, której imię Polska
Szli...
Do wojska!*

Na dworcu w Taszkencie ruska orkiestra przywitała nas polskimi melodiami, co bardzo nas wzruszyło, szczególnie kiedy zagrali „gdybyś drugi się raz narodzić miał, to tylko we Lwowie”.

Czekała na nas suto przygotowana kolacja.

Przypadkowo spotkałem Tadek Czerkawskiego, kolegę z gimnazjum białostockiego. Wspominaliśmy swoje ciężkie chwile. Tadek miał sympatię w Białymstoku, swoją koleżankę. Nie wiedział nic co się z nią stało. Nazywała się Stradyniówna. Spotkałem ją w Pawłodarze i przekazałem jej adres Tadekowi.

Skontaktowali się ze sobą, a spotkali dopiero po zakończeniu wojny w Bejrucie. Ona była ciężko chora. Na łożu śmierci Tadek wziął z nią ślub.

Taszkent, to ogromna stacja kolejowa, przez którą przewijało się z północy na południe tysiące Polaków i ze wschodu na zachód tysiące bieżenców, to jest ewakuowanych Rosjan. Nad wielotysięczną rzeszą wojujących Polaków, sprawowała tutaj opiekę i niosła pomoc Hanka Ordówna. Tadek Czerkawski był jednym z jej pomocników.

W Taszkencie całą naszą grupę pawłodarską, to jest około 40 osób z Białegostoku i Tarnopola, NKWD skierowano do kolchozu w okolicę między Samarkandą a Bucharą. Specjalnością kolchozu była uprawa bawełny, po uzbecku „chłapak”. Przy jej zbiorze stanowiliśmy doskonałą grupę roboczą. Zakwaterowani byliśmy w dużym baraku z dwupoziomo-

wymi pryzcami. W centrum tego pomieszczenia stały żarna do mielenia ziarna zbóż. Zapłatą za naszą pracę była „dżigura”, to znaczy sorgo – zboże uprawiane w południowych krajach. Poza tym dostawaliśmy prawdziwe krowie mleko. Gotowaliśmy je ze zmielonym sorgo, otrzymując zupełną mleczną tzw. „bałandę”. Była bardzo smaczna w porównaniu z lurowatą zupą z liści kapusty, tzw. szczy. Bałanda upamiętniona została w piosence pod tyt. „wszystko przeszło nam w mig, od bałandy do fig”.

Praca nasza polegała na zbieraniu przez dziesięć godzin dojrzałej bawełny z pól, po których chodziliśmy przepasani płachtami. Lewą ręką trzymaliśmy dwa końce płachty, a prawą wrzucaliśmy zebrane kiście owocu bawełny.

Po wypełnieniu tego fartucha, zsypywało się bawełnę na sterty. Stosy jej w stanie surowej waty ubijało się i ładowało na army – wozy dwukołowe o średnicy kół ponad metr. Dowożono je potem do najbliższego dworca kolejowego.

Władze kołchozowe były do nas na ogół życzliwie nastawione i zadowolone z pracy. My natomiast byliśmy zawiedzeni, ponieważ nie spodziewaliśmy się takiego epilogu naszej wyprawy do wojska.

Przebywaliśmy tutaj w „dobrych” warunkach krótko, tylko dwa tygodnie.

Pewnego dnia jak zmora pojawiło się NKWD. Polecono nam pakować manatki. Załadowano nas na army i przewieziono do dworca kolejowego. Wydawało się, że to już ostatni etap naszej drogi do wojska. Tymczasem po kilku dniach podróży, dotarliśmy do Tadżykistanu znowu do kołchozu. Leżał on u podnóża pasma górskiego, którego szczyty pokryte były śniegiem. Prawdopodobnie były to góry Pamiru.

Do kołchozu dojechaliśmy późnym wieczorem bardzo głodni. Nikt nie dał nam jeść. W tej sytuacji postanowiliśmy ubić dwa psy szwendające się po kołchozie. Obecny w naszej grupie Arent, syn białostockiego rzeźnika opraczył je. Od tubylców pożyczyciśmy kociołek i przyrządziliśmy mięsna, psia bałandę.

Po przespanej nocy zdumienie nasze było ogromne, ponieważ nikt z władz kołchozowych do nas nie przyszedł, nikt się nami nie interesował, ani nie wezwał do pracy. Okazało się, że mieszkańcami kołchozu byli wyznawcy koranu. Tubylcy domyślili się, że skoro psy przestały szczeleć, to znaczy że zostały przez nas zjedzone. W ten sposób kociołek został stracony i to był koniec naszego tam pobytu.

Następnego dnia, wczesnym rankiem głód i chłód spędzały nam sen z powiek. Rozpoczęły się rozmowy, narady, a nawet lamenty i płacz, szczególnie tych chłopców z Pawłodaru, którzy zostawili swoje rodziny. Do

głodu i chłodu przyłączyły się utrapione wszy. Decyzja powrotu do Pawłodaru poza mną była jednogłośna. W Pawłodarze nie miałem nikogo, a poza mną były już przeżycia – w kryminale, w łagrze, karcerach i makabryczne podróże. Przyłączyłem się jednak do tej decyzji. Jednakże nasza 40 osobowa grupa rozpadła się. Nie mieliśmy pieniędzy i musieliśmy jechać na gapę w rozproszeniu, w pojedynkę, lub w grupkach dwu i trzy osobowych. Moim towarzyszem był Władek Zawadzki, kolega z gimnazjum. Usiłowaliśmy jechać na wschód, w kierunku Ałma-Aty – stolicy Kazachstanu.

W pociągach sowieckich każdy wagon miał konduktora. Przeważnie były to kobiety. Gapowiczów rozpoznawano szybko i wyganiano. W takiej sytuacji trzeba było przesiadać się, lub czekać na następny pociąg. Po którymś razie jazdy na gapę, znalazłem się z Władkiem w ostatnim wagonie. Tym razem konduktorem był mężczyzna, który wyrzucił nas i zamknął drzwi. Pociąg ruszył, a my wskoczyliśmy na schodki i jechaliśmy dalej do następnego przystanku. Tym razem konduktor nie dał za wygraną. Chwyć Władka za prawe ramię, a mnie za lewe i trzymał aż do ruszenia pociągu. Liczył na to, że pozbył się natrętnych pasażerów na gapę. Wtedy puścił nas i biegł za pociągiem. My jednak byliśmy szybsi. Zanim wskoczył na schodki, my już siedzieliśmy na buforach.

W ten sposób jechaliśmy dalej, nieraz z dużymi przerwami, bo nie zawsze taki fortel się udawał.

Noce spędzaliśmy przeważnie na węzłowych stacjach, takich jak np. Frunze, Czambu, Fergana i inne.

Trasę tę w późniejszym okresie, już jako żołnierz przemierzałem jeszcze dwa razy.

Na przełomie listopada i grudnia 1941 roku, powstał drugi front. Wehrmacht parł na Kaukaz do źródeł naftowych.

Na dworcach kolejowych przewalały się tłumy ewakuowanych z Kaukazu z portu Baku, przez morze Kaspijskie do Krasnowodska. Były to rodziny uprzywilejowanych krasnoarmiejców wojskowych wcielonych do armii. Jechali do miejscowości, gdzie były lepsze warunki, szukając schronienia przed Niemcami. Jechali tu jak do eldorado, natomiast liczne rzesze Polaków z okolic Buchary i Taszkentu ładowano na barki i wieziono w nieznanym kierunku. Tym kierunkiem okazała się Amudaria – rzeka śmierci. Tak NKWD opiekowało się Polakami. Byliśmy wrogim elementem przeznaczonym do wyniszczenia. W latach 1939-1941 wywieziono z Polski około 2 miliony Polaków, z których co trzeci pozostał na nieludzkiej ziemi z powodu chorób, głodu i mrozu.

Główne stacje kolejowe miały nieciekawy wygląd. Całe składy pociągów stały na bocznych torach. Dworcowe toalety pękały w szwach. Torowiska usiane były ekskrementami ludzkimi, a przy każdej kupie leżał banknot jedno, lub trzy rublowy. Był to dowód poszanowania pieniądza i kultury Kraju Rad.

Niektóre pociągi stojące na bocznicach wypełnione były ewakuowanymi rodzinami, które dostatnio zaopatrzone były w żywność pochodzącą ze specjalnych sklepów dla wybrańców. Siatki z tą żywnością umieszczone były na zewnątrz przy lekko uchylonych oknach, by chronić prowiant przed zepsuciem. Stawały się one czasem naszym łupem. Zdobywaliśmy je gdy pociąg ruszał i wówczas już w biegu, specjalnie przygotowanymi drutami rozrywaliśmy zwisające z okien siatki, z których wypadały przeważnie wędliny, przetwory mięsne, jajka. Pociąg nabierał szybkości i na nic się zdały krzyki kobiet z otwartych okien, a my skrętnie zbieraliśmy rozsypany prowiant.

I tak udało się nam dojechać do ostatniej stacji przed Ałma-Atą, od której dzieliło nas jeszcze tylko kilkanaście kilometrów. Postanowiliśmy przebyć ten dystans piechotą.

Po kilku kilometrach dotarliśmy do mostu przerzuconego nad niewielką rzeką. Był on strzeżony przez uzbrojonego bojca. Musieliśmy więc zboczyć z naszej ścieżki przytorowej do drogi prowadzącej do brodu. Zastanawialiśmy się jak głęboki może być ten bród. Na szczęście nadjechał konno kozak i jego poprosiliśmy o pomoc. Zaproponował nam przejazd na jego koniu za niewielką opłatą. Wysupełaliśmy nasze kopiejki i wsiedliśmy razem na konia, który w pewnym momencie się zbuntował i nie chciał wejść do wody. Kozak zwrócił nam pieniążki i sam przejechał przez rzekę. Dzięki temu zorientowaliśmy się jak głęboka była tu woda. Rozebraliśmy się do pasa, tobołki zarzuciliśmy na plecy i wpływ przebyliśmy rzekę.

Po drugiej stronie stała kurna chata, która okazała się pusta. Tam znaleźliśmy schronienie, ziębnięci. Po ogrzaniu się i przebraniu ruszyliśmy w dalszą drogę. W miarę zbliżania się do miasta, dołączyli do nas inni uciekinierzy i już dalej wędrowaliśmy w dziesiątkę.

Noc spędziliśmy w Ałma-Acie w parku na ławkach, pod otwartym niebem. Było ciepło. Na drzewach wisiały już dojrzałe strączki świętojańskiego chleba. Na biwaku dowiedzieliśmy się, że rezyduje tu polski oficer, przedstawiciel polskich władz w ZSSR.

Spotkaliśmy go i przedstawiliśmy mu dokładnie naszą sytuację, oraz warunki podróży, to jest nieudaną wyprawę do Polskiego Wojska w Tatiszczewie, rozpoczętą 14 października w Pawłodarze. Oficer wysłuchał nas, zrozumiał sytuację i zalecił powrót do Pawłodaru, gdzie również był

delegat naszego rządu. Udzielił nam też pomocy, zaopatrując w talony na chleb i zapewnił bezpłatny przejazd.

Już następnego dnia siedzieliśmy w wagonach bydłych w połowie zajętych przez ewakuowane z Kaukazu kobiety z dziećmi. Drugą połowę zajęła nasza wykruszona pawłodarska grupa.

Ruszyliśmy do Nowosybirsk przez Siemipałatyńsk i przez Tatarskoje i dalej do Pawłodaru. Oprócz zapewnionego chleba na każdej stacji zaopatrywaliśmy się w wodę i buraki cukrowe, które były składowane na rampach kolejowych w olbrzymich stertach. Piekliśmy je w kozie, która stała w środku wagonu. Bardzo smakowały. Oczywiście dzieliliśmy się z towarzyszkami podróży, które i nam rewanżowały się czym mogły.

Tak zakończyła się kilkumiesięczna i kilkutysięczna kilometrowo nasza podróż do wojska z Pawłodaru do Pawłodaru, do którego przybyliśmy w połowie grudnia. Niestety nie mieliśmy dobrego samopoczucia. Czuliśmy się nieswojo, niemal jak dezertery. Wierzyliśmy jednak, że pomimo ciężkich przeżyć jakie podarował nam los, cel nasz jak nie dziś to jutro wreszcie osiągniemy.

Tym razem zamieszkałem w domu Władka Zawadzkiego wywiezionego wraz z matką, siostrą i bratem z Białegostoku.

Po powrocie okazało się, że miejsca naszej pracy były nadal wolne. Władek nadal był kowalem, ja natomiast zostałem jego mołotobojcem. Matka Władka przygotowywała nam skromne posiłki. Przywiezione przez nas buraki cukrowe bardzo się przydały, gdyż zastępowały nieosiągalny w tamtych warunkach cukier.

Pewnego dnia przypadek zdarzył, że gdy wracaliśmy z pracy, samochód na naszych oczach potracił kure, która padła tuż przed nami. Następnego dnia z tej kury był rosół i mięsne danie. Od tego dnia na wałęsające się kury zrobiliśmy z drutu odpowiednie haczyki.

Po naszym powrocie w Pawłodarze zaszły zmiany. Rezydował tu już delegat Polskiego Rządu na Obczyźnie rotmistrz Kazimierz Święcicki. Czynne było również schronisko polskie, którego „spirytus movens” była Irena Szatunówna.

Doczekaliśmy pierwszych Świąt Bożego Narodzenia na wolności. Wieczór Wigilijny spędziliśmy w polskim schronisku. Nastrój był bardzo podniosły i uroczysty. Mieliśmy prawdziwy opłatek, składaliśmy sobie życzenia. Rodzinom wygnanym życzyliśmy szybkiego powrotu do Ojczyzny, a nam dostania się do wojska. Śpiewaliśmy polskie kolędy, między innymi „Lulaj ze Jezuniu”, ze słowami na obczyźnie powstałymi – „Lulaj ze Jezuniu na obcej ziemi, choć głodno i chłodno, lecz między swymi”. Świąteczne ciasto zastąpiły nam, pieczone buraczki.

Po dziesięciu godzinach pracy w kuźni, prawie codziennie odwiedzałem pana rotmistrza Świącickiego, prosząc go o skierowanie do Armii Polskiej. Uzasadniałem, że w Pawłodarze znalazłem się przypadkowo po zwolnieniu z łagru w Uchcie, w nadziei spotkania kogokolwiek z rodziny. Niestety nikogo nie odnalazłem. Opowiedziałem o naszej koszarnej wyprawie do wojska z Pawłodaru do Tatiszczewa, trwającej ponad dwa miesiące.

Tutaj przywitaliśmy Nowy Rok 1942. Zaproszony byłem do Zbyszka Wallaga. Oprócz jego rodzeństwa, byli jego koledzy z Tarnopola i kilku białostoczan. Szampan zastąpił nam musujący kwas chlebowy. Życzyliśmy sobie tego samego, co przy opłatku. Potem bawiliśmy się w różne gry towarzyskie oraz śpiewaliśmy piosenki wojskowe i patriotyczne. Nowością dla mnie były polskie słowa marszowej piosenki rosyjskiej "Katusza", które przytaczam poniżej:

*Rozkwitały jabłonie i grusze,
Nad polami unosił się kurz.
Wychodziła do lasu Kasienka
Rwać rozkwitłe pęki białych róż.
Wychodziła i piosenkę śpiewała,
O tym orle, co w niewoli znów
I o Jasiu, którego kochała,
Który poszedł na śmiertelny bój.
Kasiu droga, Kasiu Kasiuleńko,
Nie zapomnij do kościoła iść,
Nie zapomnij nigdy o wolności,
O wolności, która musi być.
O wolności, która dziś w kajdanach
Która zwiędła jak opadły liść,
O młodzieży naszej tej kochanej,
Która musi na wojenkę iść.*

Zima tego roku była dość ostra. Zdarzały się burany – okropne śnieżne zawieje. Od zimna chroniła mnie w dużym stopniu skórzana kamizelka, подарowana przez mamę Ireny Szatunówny.

Warunki pracy w kuźni bardzo się poprawiły, dzięki temu, że udało się oszukać brygadiera, pokazując mu po raz drugi okute koła z poprzedniego dnia. W ten sposób otrzymaliśmy jako wynagrodzenie w tym tygodniu tyle rubli, co przed wyprawą do wojska, czyli za dwa tygodnie.

Moje nieustanne odwiedzanie rotmistrza Świącickiego spowodowało, że wezwał mnie do siebie i oznajmił, że kieruje do wojska, tym razem do Buzułuku. Delegował wraz ze mną kolegę z gimnazjum Leonarda Mirona oraz młodego chłopaka, zesańca z Tarnopola, którego nazwiska nie pamiętam. Zaopatrzył nas w talony na chleb i bilety kolejowe.

Szcześliwi, pożegnaliśmy się z przyjaciółmi i towarzyszami z pierwszej wyprawy. Żegnałem wszystkich znajomych, a szczególnie serdeczne było pożegnanie z panią Zawadzką i jej rodziną, u której mieszkałem, oraz Ireną Szatunówną i jej mamą.



Doszła nas wiadomość o wizycie Wodza Naczelnego wśród tworzonej armii. Ten fakt podziałał na nas jak magnes. Postanowiliśmy niezwłocznie wyruszyć.

Ruszyliśmy w trójkę tą samą trasą przez Ural. Do Buzułuku dotarliśmy w połowie stycznia, ale sztabu wojska już tam nie było. Generał Anders, wraz z całym sztabem został ewakuowany do Jangi-Julu w Uzbekistanie, niedaleko Taszkontu. W opustoszałym pałacu, w którym niedawno mieścił się sztab, otrzymaliśmy informację, że biuro Polskiej Opieki Społecznej znajduje się przy dworcu kolejowym. Udaliśmy się tam niezwłocznie.

Po krótkim oczekiwaniu przyjął nas pan pułkownik w podeszłym wieku. Pokazaliśmy nasze skierowania do wojska z października ubiegłego roku i przedstawiliśmy naszą dramatyczną sytuację. Pan pułkownik wysłuchał nas, okazał współczucie, po czym oznajmił, że kieruje nas do przytuliska dla Polaków przy dworcu kolejowym. Mieliśmy tam oczekiwać na transport na południe ZSSR, gdzie mieliśmy zostać przyjęci do wojska. W obawie przed ponownym fiaskiem, prosiłem w dalszym ciągu pana pułkownika o przyjęcie nas do wojska tutaj na miejscu w Buzułuku. Pan pułkownik przeszedł na tryb rozkazujący, a ja zdenerwowany jego nieustępliwą decyzją powiedziałem, że drugi raz nie dam się nabić w bułkę.

Odpowiedź była raptowna i krótka: smarkaczu won i palcem wskazał mi drzwi wyjściowe. Jak zbite psy opuściliśmy jego biuro. W tej sytuacji udaliśmy się na dworzec kolejowy, gdzie spędziliśmy noc, naradzając się, co dalej ze sobą robić.

Postanowiłem przeprosić pana pułkownika. Następnego dnia udaliśmy się do niego. Pan pułkownik przyjął nas. Skruszony przeproszałem go za nietaktowną moją wypowiedź, prosząc o łaskawe skierowanie do schroniska dla Polaków. Udobruchał się, a nawet rozczulił, obdarował każdego ciepłym wełnianym swetrem i kilku funtową konserwą wołową. Wypisał nam skierowanie do przytuliska, do którego udaliśmy się chętnie po nieprzespanej nocy. Była to wielka hala magazynowa, wypełniona cywilami polskimi, legitymującymi się zaświadczeniami wydanymi przez NKWD z miejsca zesłania w łagrze i przepustką od pana pułkownika.

Wszyscy oczekiwali na transport na południe, do miejsca koncentracji Polaków i ewentualnego przyjęcia do wojska. Nad całością czuwał dyżurny oficer przy stoliku, na którym tliła się mała lampka naftowa. Ułożeni byliśmy w szachownicę, tak, żeby można było przechodzić między czworobokami.

Był już wieczór. Ulokowaliśmy się w wolnych miejscach. Po nieprzespanej nocy na dworcu kolejowym, byliśmy bardzo zmęczeni. Przez dłuższy czas nie mogłem usnąć. Przeszkadzał mi ból odmrożonych, spuchniętych uszu, rozważania nad naszym losem i lęk przed powtórzeniem gehen-

ny z poprzedniej wyprawy. Moją bezsenność zauważył dyżurny porucznik. Podszedł do mnie i zapytał, czy mam coś do czytania w języku polskim. Chętnie wyciągnąłem książkę z mojej torby, zrobionej z majtek kąpielowych (zszyte nogawki), która służyła mi również za poduszkę.

Były to poezje „Pisma Adama Mickiewicza” tom IV, подарowane mi w Pawłodarze przez Irenę Szatunówną, datowaną 14.X.1941 r., to jest w dniu wyprawy do wojska. Napisała krótką dedykację: „Na drogę do Polski”. Książkę tę przechowuję do dziś z wielkim pietyzmem.

Mieczysław Szylkiewicz, strzelec z cenzusem

O świcie pan porucznik zaprosił mnie do swojego stolika. Byłem przekonany, że idę tylko po odbiór książki. Tymczasem oznajmił mi, że dziś wszyscy mieszkańcy opuszczają przytulisko i podstawionymi wagonami odjadą na południe. Polecił mi pozostać przy nim, nie wchodzić do wagonu i zachować to w tajemnicy przed ogółem wyjeżdżających. Odpowiedziałem mu, że jestem w towarzystwie dwóch kolegów, których nie mogę opuścić. Opowiedziałem o nich to co wiedziałem. Do młodszego kolegi nie miał zastrzeżeń, natomiast zastanawiał się nad nazwiskiem Lonka, które brzmiało Miron. Oświadczyłem, że jest moim kolegą z gimnazjum, do którego na lekcję przychodzili trzej duchowni, ksiądz, rabin i pop. Lonek pozostawał na lekcji z księdzem. To przekonało porucznika. Cała nasza trójka pozostała na miejscu.



Tego dnia 22 stycznia 1942 roku zostaliśmy żołnierzami w batel dresach. Młodszy nasz towarzysz został przy poruczniku i nie wiem nic o jego losach. Mnie i Lonka skierował do

jedynego oddziału wojskowego w Buzułuku, do szczątkowej już kompanii wartowniczej Polskich Sił Zbrojnych.

Zameldowaliśmy się u szefa kompanii, który z miejsca skierował nas do łaźni, po czym w neglizhu zameldowaliśmy się u sierżanta mundurowego pana Wilhelma, którego imienia nie pamiętam.

Oznajmił mi, że nazwisko moje nie jest mu obce, ponieważ jego żona pochodzi z Zabłudowa. Okazało się, że jest koleżanką mojej siostry stry-

jecznej. Mąż mojej siostry i pan Wilhelm służyli razem w K.O.P na pograniczu z Prusami. Rozmowa nasza i wspomnienia miały wpływ na umundurowanie, które dostałem wyjątkowo dostatnie i eleganckie.

Wiadomości zdobyte podczas ćwiczeń z przysposobienia wojskowego w gimnazjum, wystarczyły w zupełności do pełnienia służby wartowniczej.

Kompania zakwaterowana była w centrum miasta. Mieszkaliśmy w baraku piętrowym z pryzcami wysłanymi siennikami. To był dla nas luksus.

Pozostawiona w Buzułuku reszta kompanii wartowniczej miała za zadanie ochronę magazynów rozmieszczonych pod gołym niebem w pobliżu dworca. Składowano tam dla nas leki, żywność, odzież, przesłane drogą morską z Anglii do Archangielska lub Murmańska i przewiezione drogą kolejową do Buzułuku.

Był koniec stycznia. Mróz trzaskający dochodził do -40° C. Posterunki strzegące rozmieszczone były co 50 – 80 m. Uzbrojeni byliśmy w karabiny, w każdej chwili gotowi do strzału. Nad całością niezależnie od naszych posterunków czuwały ruchome patrole żandarmerii. Obca osoba nie mogła zbliżyć się do naszych składów.

W pierwszych dniach marca podstawiono wagony kolejowe, do których załadowaliśmy zawartość składów. Transportem tym jechała z nami drukarnia polowa i jej obsługa. Była ona we wrześniu zrabowana przez Sowieców będących w Polsce, a po amnestii подарowana generałowi Andersowi. Dzięki tej drukarni możliwe było wydawanie pisma naszego wojska „Orzeł Biały”. Drukarnia przeszła z nami cały szlak Polskich Sił Zbrojnych w ZSSR, przez Środkowy Wschód, Egipt, Włochy do Anglii.

W czasie postojów naszego transportu ludność miejscowa nie wiadomo skąd i w jaki sposób dowiedziała się, że jechały z nami również beczki z tranem. Podchodzili do nas i prosili o trochę tranu w związku z występującą u nich kurzą ślepotą. Prośbom tym nie byliśmy w stanie odmówić.

Na jednej z węzłowych stacji Kizyl-Orda spotkałem sąsiadkę z Zabłudowa panią Teofilę Sanejko, wywiezioną w 1941 roku wraz z córką Bronisławą i synem Józefem, tuż przed wybuchem wojny niemiecko-bolszewickiej. Od niej dowiedziałem się cokolwiek o mojej rodzinie i co się z nią działo po moim aresztowaniu. Okazało się, że ojciec, mama i dwie siostry również zostały aresztowane.

Po około dwu tygodniowej podróży, dotarliśmy do Jangi-Julu. Mój pluton i nasze magazyny z prowiantem rozmieszczone zostały tuż przy dworcu pod gołym niebem, a my spaliśmy w namiotach. Powtórzyła się monotonna służba wartownicza. Strzeżliśmy tych samych składów. Każdy

z nas miał powierzony pewien odcinek do strzeżenia w czasie pełnienia warty.

Pewnej nocy nastąpiło wielkie poruszenie. Okazało się, że jeden z naszych wartowników Marian Buczek w czasie pełnienia służby wyniósł skrzynię konserw mięsnych i wręczył ją oczekującemu na nią tubylcowi. Nadchodzący patrol żandarmerii zauważył ten moment. Nieuczciwy wartownik został natychmiast aresztowany, również dwaj sąsiedni wartownicy, podejrzani o współudział w kradzieży. Jednym z nich był Janek Znajdek, z którym pracowałem w kopalni w Uchcie, prawdziwy warszawski szmirus z Targówka. Miał do tego wadę wzroku. Był zezowaty.

Minęły dwa tygodnie. Pewnej nocy ogłoszono alarm. Cały pluton stanął z bronią w dwuszeregu. W czasie zbiórki szef kompanii wymieniając moje i Lonka nazwisko wydał rozkaz wystąpić i prosić iść spać. Domyśliśmy się, że coś się wydarzyło. Nie mogliśmy zasnąć. Po około dwóch godzinach pluton wrócił. Okazało się, że był on wykonawcą egzekucji kary śmierci na Marianie Buczku, wydanym przez Sąd Polowy. Dwaj sąsiedni wartownicy, otrzymali długoterminowe wyroki po 25 lat więzienia. Do chwili naszego wyjazdu na Środkowy Wschód, przebywali w wojskowym areszcie w Jangi-Julu.

Przed naszą ewakuacją do Persji, żołnierze ci zostali przekazani do więzienia NKWD w Taszkencie.

O losie Janka Znajdka dowiedziałem się bezpośrednio od niego. Spotkałem go przypadkowo w 1952 roku w Koszalinie na ulicy. Spotkanie było szokujące i wzruszające. Padliśmy sobie w objęcia. Przy kolacji ze łzami wspominaliśmy naszą niedolę w Uchcie, Buzułuku, Jangi Julu. Nasze rozstanie nastąpiło wiosną 1942 roku, kiedy Janek poszedł do więzienia w Taszkencie. Przesiedział tam parę miesięcy i wyszedł na wolność po amnestii. Został wcielony do Dywizji Kościuszkowskiej w Sielcach nad Oką. Przeszedł szlak bojowy od Lenino do Berlina. Po zakończeniu wojny osiadł w Koszalinie.

W połowie marca 1942 roku pluton nasz przeniesiony został do kompanii przy sztabie Polskich Sił Zbrojnych. Tu służba była trochę ciekawsza. Prawie co drugi dzień widywaliśmy i witaliśmy generała Andersa wchodzącego do sztabu, gdzie przy wejściu ulokowany był namiot wartowniczy. Powitanie odbywało się na rozkaz dowódcy: warta pod broń, w dwuszeregu zbiórka, baczność, na ramię broń, prezentuj broń, na prawo patrz! Generał nadchodził, zatrzymywał się i pozdrowiał „Czołem, żołnierze!”, a my odpowiadaliśmy „Czołem, Panie Generale!”.



Widywaliśmy Generała dość często podczas jego konnych przejażdżek. Dwa konie podarował mu Stalin, znający wyczyny hippiczne Andersa sprzed wojny, a kawalerskie z września 1939 roku.

Od czasu do czasu, w upalne dni widywaliśmy Generała kąpiącego się w rzece przepływającej obok naszych namiotów.

Dzięki temu, że byliśmy blisko sztabu, zorientowaliśmy się, że wkrótce nastąpi ewakuacja z ZSSR, na Środkowy Wschód.

Pierwsza nastąpiła w marcu 1942 roku.

W maju generał Anders udał się z wizytą do generała Sikorskiego do Londynu. Po jego powrocie mówiło się o dalszej ewakuacji na Środkowy Wschód.

Miedzy władzami polskimi, a sowieckimi, była rozbieżność zdań co do użycia naszego wojska na froncie. Stalin domagał się użycia 5 Dywizji Wojska Polskiego już w październiku 1941 roku i skierowania jej na front. Groziłoby to całkowitym jej wyniszczeniem, ponieważ kondycja, w jakiej byli żołnierze tej dywizji nie stwarzała możliwości użycia jej do walk na froncie. Żołnierze byli wyniszczeni po przejściach w łagrach, niedożywieni, niekompletnie uzbrojeni.

Racje żywnościowe były coraz bardziej ograniczane, a my swoimi porcjami musieliśmy się dzielić z polskimi rodzinami i sierotami, koczującymi przy postoju wojska. Stalin, poza tym chciał się nas pozbyć, bo byliśmy ropiejącym wrzodem na ciele ZSSR.

W miejscach naszego postoju odbywały się uroczystości religijne, na które masowo przychodzili Rosjanie, współuczestniczyli w naszych nabożeństwach oraz gremialnie przystępowali do Sakramentu Chrztu Świętego. Bardzo to się władzom sowieckim nie podobało, było sprzeczne z ideologią komunistyczną.

W tym czasie pola naftowe Środkowego Wschodu zagrożone były przez napierających Niemców w północnej Afryce. W tej sytuacji należało przed następną ewakuacją naszych wojsk wzmocnić obronność Środkowego Wschodu. W związku z tym mieliśmy pewność, że i my opuścimy nieludzką ziemię.

Przy wojsku w Rosji powstawały grupy artystyczne, które umilały nam czas. W Jangi-Julu w zespole występowała piosenkarka o pięknym sopranie Weronika Ignatowicz, później posługująca się pseudonimem We-

ronika Bell. Była koleżanką szkolną mojej starszej siostry w gimnazjum w Białymstoku. Spotkanie jej było dla mnie szczególnie miłe, ponieważ w Białymstoku śpiewała w chórze międzyszkolnym pod batutą prof. Sobierajskiego, w którym ja również uczestniczyłem.

Przy 6 Dywizji Wojska Polskiego w Tockoje była czołówka artystyczna Feliksa Konarskiego – Ref-Rena. Wywodziła się z zespołu utworzonego we Lwowie na przełomie lat 1939/1940, za zgodą władz sowieckich.

Poza Ref-Renem do tej grupy należeli Renata Bogdańska, Zbigniew Kurtycz i wielu innych artystów znanych w przedwojennej Polsce. Grupa ta w pierwszej połowie 1940 roku wyruszyła na gościnne występy ze Lwowa do ZSSR. Tam zastała ich wojna niemiecko-sowiecka, w związku z czym nie mogli powrócić już do kraju.

6 Dywizja powstała i została zorganizowana w Tockoje również na podstawie porozumienia Sikorski-Majski zawartego 31 lipca 1941 roku, wynikiem którego były amnestia i organizacja Wojska Polskiego w Związku Sowieckim.

Przy sztabie generała Andersa był również oddział specjalny, t. zw. szwadron przyboczny, który z czasem rozrósł się jako batalion spadochronowy, a następnie 15 Pułk Ułanów Poznańskich, którego dowódcą został rotmistrz Zbigniew Kiedacz.

W połowie czerwca Lonek i ja otrzymaliśmy rozkaz wyjazdu do Dżałałabadu w Kirgizji, gdzie stacjonowała 5 Dywizja Piechoty, która była wyekwipowana w uzbrojenie sowieckie. Tu zakończył się pierwszy turnus Szkoły Podchorążych Piechoty. My mający już cenzus skierowani zostaliśmy od razu na drugi.

Jechaliśmy w luksusowych warunkach w zagrabionych przez bolszewików w Polsce wagonach pulmanowskich. W Dżałałabadzie chwilowo zakwaterowani byliśmy w namiocie-hotelu, w którym oczekiwaliśmy na rozpoczęcie szkoły. Już następnego dnia przechadzając się po ulicach miasta, niespodziewanie spotkałem mojego kuzyna Wiktora Hermanowskiego, byłego halerczyka z pierwszej wojny światowej. Padliśmy sobie w objęcia i ze wzruszeniem dopytywaliśmy się o losy nasze i rodzin. On pracował w Dżałałabadzie na poczcie polowej 5 Dywizji Piechoty. Przed



wojną był redaktorem jednego z pism filatelistycznych w Polsce o nazwie „Ikaros”. Od niego dowiedziałem się o losach mojej najstarszej siostry – Broni, aresztowanej w 1939 roku, która obecnie była pracownikiem Ambasady Polskiej w Kujbyszewie. Utrzymywał z nią od kilku miesięcy kontakt listowny. Listy można było przysyłać jedynie pocztą polową. Za jego pośrednictwem niezwłocznie nawiązałem z nią korespondencję.

Nie doczekaliśmy się rozpoczęcia drugiego turnusu szkoły podchorążych, bowiem oddelegowano nas z Działabada do Błagowieszczenki, do 13 Pułku Piechoty. Dowódcą pułku był pułkownik Powichrowski, dowódcą mojego batalionu kapitan Leon Gnatowski, a dowódcą kompanii kapitan Dragan. Ci dwaj ostatni byli wykładowcami pierwszego turnusu szkoły podchorążych.

Tu dopiero poznaliśmy, co to jest służba wojskowa. Codzienne ćwiczenia trwały 8 do 10 godzin, a co trzecią noc ogłaszano alarm. Nigdy nie byliśmy tak niewyspani i przemęczeni.

Po zakończeniu turnusu, przybyli do nas świeżo upieczeni dwaj podchorążowie, Czyż i Teodor Baum, którego ojciec był lekarzem pułkowym.



Mój stryj, pierwszy z lewej

Kapitan Leon Gnatowski, jako młody chłopiec brał udział w obronie Lwowa w 1919 roku i został odznaczony krzyżem *Virtuti Militari*. Nie rozstawał się z wojskiem, był skierowany do szkoły podchorążych dla podoficerów w Bydgoszczy, w której mój stryj (Wiktor Szytkiewicz) był kapłanem i wykładowcą. Nazwisko moje nie było więc obce kapitanowi Gnatowskiemu.

W 1920 roku, w czasie zmagania z bolszewikami stryj również był kapłanem. Jeszcze w czasie kampanii wrześniowej, po „krwawej niedzieli” w Bydgoszczy, został przez Niemców rozstrzelany. Upamiętniająca go tablica znajduje się w kościele garnizonowym w Byd-

goszczy, oraz w Katedrze Polowej Wojska Polskiego w Warszawie, przy ulicy Długiej.

W latach trzydziestych pan Gnатовski był komendantem hufców przysposobienia wojskowego w szkołach średnich w Prużanie (obecnie Białoruś), blisko Białowieży. Jednym z elewów, którzy przechodzili przeszkolenie pod jego dowództwem był późniejszy peerelowski premier Piotr Jaroszewicz. Po wielu latach, podczas spotkania Prużan w Wiśle, Jaroszewicz wyparł się tej znajomości.

Nadszedł lipiec 1942 roku. Nie spodzianką dla mnie było otrzymanie paczki od mojej siostry z Kujbyszewa, którą przywiózł mi do Błagowieszczenki podchorąży saperów Kazimierz Fulmyk. Wrócił z Kujbyszewa po spotkaniu ze swoją matką, po dwóch latach niewidzenia się. Kontakt z nią i ze swoim młodszym rodzeństwem nawiązał przez Wydział Opieki Społecznej Ambasady R.P. w Kujbyszewie, gdzie właśnie pracowała moja siostra.

W paczce był pierwszy list od niej, wraz z fotografią, butelką wina i smakotyki. Była to dla mnie wielka radość.

W lipcu do Błagowieszczenki przybył Kapelan Polowy Wojska Polskiego na obczyźnie, ksiądz biskup Gawlina. W jego obecności odbyła się uroczystość złożenia przysięgi, oczywiście wraz ze mną.

W sąsiedztwie naszego pułku stacjonował również 14 Pułk Piechoty, w którym spotkałem dwóch kolegów z gimnazjum, Tadka Szonerta i Ralka Zdanowicza. Obaj mieli już stopnie wojskowe podchorążych. Okazało się, że Tadek faktycznie miał ten stopień, natomiast Ralek uzurpował sobie ten zaszczyt, gdyż przed wojną nie był w szkole podchorążych. Kłamstwo zostało ujawnione przez wywiad wojskowy, który weryfikował wyższe stopnie od szeregowego. Ralek został zdegradowany i wyrzucony z pułku. O dalszych jego losach nic nie wiem. Tadek dostał tydzień aresztu, za nie ujawnienie prawdy o koledze.

Tam też w pułku był mój fryzjer – Żyd, Abramicki z Zabłudowa. Tak dziwnie się złożyło, że był „nadwornym fryzjerem” w moim wędrownym życiu. Strzygł mnie przed wojną, potem w Iraku i w Palestynie, w której zdezerterował z wojska.



Któregoś dnia wstrząsnęła nami przerażająca wiadomość. Wydano rozkaz zdawania wszelkiej broni, bez podania jakiegokolwiek przyczyny. Domniemania nasze były różne. Obawialiśmy się, że po rozbrojeniu nastąpi likwidacja dywizji i wrócimy spowrotem do łagrów, lub do tak zwanych „strojbatalionów”. Dopiero po kilku dniach okazało się, że nadszedł czas naszego wyjazdu z nieludzkiej ziemi, na Środkowy Wschód. Radość była niesamowita. Wkrótce znaleźliśmy się na stacji kolejowej, gdzie załadowano nas do bydłych wagonów i po ponad tygodniowej podróży dojechaliliśmy do portu w Krasnowodzku, nad Morzem Kaspijskim.

Niektóre odcinki tej trasy, już wcześniej w pogoni za wojskiem kilkakrotnie przemierzałem.

Połówę mojego batalionu pozostawiono w Krasnowodzku, jako siłę roboczą potrzebną do sprawnej ewakuacji wojska i osób cywilnych do Persji.

Dowódcą Bazy Ewakuacyjnej był pułkownik Zygmunt Berling.

KOMENDA BAZY
POL. SIK ZBR. w Z.S.R.R.
KRASNOWODZK

Krasnowodzk, dnia *14/11* 1942

Z A S W I A D C Z E N I E .

Niniejszym zaświadczałem, że *oficer Sypkiewicz*
Włodzisław *Joseph* przydzielony

do Komendy Bazy Pol. SIK Zbrojnych w Z.S.R.R. Krasnowodzk.

W związku z tym wymieniony zamieszkuje w Krasnowodzku i ma prawo przebywać w mieście bez ograniczenia czasu.



Komendant Bazy
Charkow
Dowódca
major

Przepustka wystawiona dla autora przez Komendanta Bazy Krasnowodzku.

Ja zostałem w tej bazie pełnić różne zadania, z których najważniejszą była funkcja rachmistrza. Wszyscy wyjeżdżający musieli zdawać posiadane ruble, więc musiałem przeliczać pieniądze, segregować, banderolować każdą setkę. Rozdawałem również wodę do picia spragnionym żołnierzom.

Przy tych czynnościach zdarzały się spotkania ze znajomymi i kolegami nie tylko z Białegostoku, ale i z Zabłudowa. Na pamiątkę tej pracy zostały mi banknoty – jeden czerwonec o nominale trzech rubli i trzy czerwonce o nominale dziesięciu rubli.

W Krasnowodzku byłem świadkiem koszmarnych scen. Napatrzyłem się na wychudzone szkielety ludzkie pokryte przezroczystą skórą. Codziennie były zgony z chorób i wycieńczenia. Odbywały się dantejskie sceny i walki, aby tylko dostać się na statek. Matki pozostawiały konające niemowlęta.

Pozostał po nas duży cmentarz, cmentarz kolejnej fali polskich zesłańców.

Ostatnią moją powinnością w Bazie była służba gońca polskiej placówki przy dworcu kolejowym. Miałem obowiązek powiadamiać zastępcę dowódcy Bazy pana majora Downarowicza o przychodzących transportach Polaków.

Z tego okresu pozostała mi na pamiątkę przepustka podpisana przez niego, zezwalająca na przebywanie w mieście całą dobę.

Pod koniec mojego pobytu w Krasnowodzku zachorowałem na „panos”, czyli silną biegunkę, która dziesiątkowała ludzi. Któregoś dnia wybrałem się na plażę i z przerażeniem zobaczyłem całe bardzo opuchnięte nogi. Świadczyło to o mojej poważnej chorobie. Lało się ze mnie bezwiednie. Musiałem spać na podłodze, tylko na gazetach. Do wyjazdu pozostało zaledwie parę dni. O pomocy lekarskiej nie było mowy, zdany byłem na własne siły odpornościowe.

Z ziemi perskiej do Polski

1 września 1942 roku, ślaniając się wszedłem na pokład ostatniego statku, który odpłynął do Persji. Zwaliłem się na pokład jak kłoda. Odbicie od nadbrzeża pamiętam jak we mgle. Żegnał nas sam Berling ze świtą polskich i radzieckich żołnierzy. Orkiestra grała Hymn Polski i Międzynarodówkę.

Podróż przez Morze Kaspijskie była dla mnie „przerwą w życiorysie”. Nie pamiętam jak długo trwała i co się wokół mnie działo. Byłem nieprzytomny.

Z opowiadań dowódcy kompanii, porucznika Straszyńskiego dowiedziałem się dopiero w Iraku, że z powodu mojego agonalnego stanu, chciano mnie wyrzucić za burtę do morza podobnie, jak innych zmarłych w czasie podróży. Uniknąłem tego jedynie dzięki niemu, gdyż pochylając



się nade mną, poczuł mój słaby oddech i zdecydował się zatrzymać mnie na pokładzie.

W porcie Pahlevi w Persji, rozlokowano nas na plaży. Były tam przygotowane specjalne miejsca pokryte trzcina chroniącą od słońca, wyścielone matami, ciągnące się kilkadziesiąt metrów. Pomocy udzielali nam sanitariusze podając leki przeciw bieguncce. Po plaży krążyli również miejscowi Persowie. Sprzedawali nam jaja ugotowane na twardo. Do dziś wspominam ich wołania – „Jaja waronie, jaja waronie!”.

Otrzymaliśmy pierwszy żołd w walucie perskiej, to jest grany, tumany i rialsy. Za pierwszy żołd kupowałem i zjadałem w wielkich ilościach jajka, po pół kopy i więcej w ciągu dnia. Dzięki temu powoli wracałem do zdrowia. Po tygodniu mogłem już pójść do kuchni polowej na posiłek.

Po rozlokowaniu się na plaży otrzymaliśmy rozkaz kąpeli w łaźni. W tym czasie nasza odzież została spalona na stosie. Dostaliśmy letnie ubrania, szorty, koszule, bieliznę osobistą i hełmy tro-

pikalne. Poczuliśmy się jak nowo narodzeni. (Obok moje zdjęcie w pierwszym mundurze.)

Po dwóch tygodniach załadowano nas na wozy ciężarowe, kierowane przez szoferów Persów. Znali oni doskonale szlaki krętych, górskich dróg. Jeździli brawurowo. Droga przebiegała przez większe miasta perskie, Kermenszach i Hamadan do Kanaquinu, leżącego już w północnym Iraku. Były to miasta starożytne, pamiętające czasy babilońskie.

W czasie podróży zatrzymywaliśmy się na krótkie odpoczynki i posiłki. Na jednym z takich postojów dowiedzieliśmy się, że nasi chłopcy poprzednicy spotkali małego Persa, który prosił o jałmużnę – bakszysz. Trzymał coś poruszającego się w zawiniątku. Okazało się, że był to mały, osierocony niedźwiadek. Za niewielką opłatą odstąpił go wojsku. I tak miś stał się własnością żołnierzy i przewędrował cały nasz szlak wojenny, aż

do Anglii, gdzie przekazano go po zakończeniu wojny do ogrodu zoologicznego w Edynburgu.

Niedźwiadek był bardzo przywiązany do swoich opiekunów. Na początku odżywiali go z butelki ze smoczką i było z nim wiele uciechy, gdyż chętnie pił piwo. Stawał się wówczas wesoły, salutował, zdejmował żołnierzom czapki i wyprawiał różne harce.

W czasie drogi, miejscem naszego postoju była miejscowość Khanakin, położona w pobliżu rafinerii ropy. Rozmieszczono tam 5 Dywizję Piechoty.

Dowódcą naszej jednostki był generał Szyszko Bohusz.

Nasze namioty zostały tak ustawione, żeby sprawiały wrażenie wioski, poprzecinanej uliczkami, po których mogły swobodnie poruszać się samochody.

Obóz znajdował się na południowym brzegu rzeki. Po przeciwnej stronie rzeki znajdował się obóz A, w którym stacjonowały oddziały kobiet. Z obozu tego kursowały regularnie wojskowe samochody, łączące Khanakin z Teheranem.

W obozie w Khanaquinie zmieniono nam organizację oddziałów wojskowych, przechodząc z sowieckiej na angielską, to znaczy z pułków utworzono bataliony. W ten sposób stałem się żołnierzem Pierwszej Kompanii 13 Batalionu. Dowódcą jej był porucznik Zenobiusz Straszyński, natomiast dowódcą batalionu został kapitan Leon Gnatowski.

Po głodowaniu i chorobach w Rosji dochodziliśmy do pełni sił. Ćwiczenia były łagodniejsze niż w Błagowieszcence. Przerwa obiadowa była obowiązkową z uwagi na wielkie upały. Mieszkaliśmy w tropikalnych namiotach, które miały podwójne ściany i dach. W obrębie naszego obozu mieliśmy sklepik żołnierski z artykułami spożywczymi. Codziennie nabywałem i zjadałem kostkę 0,25 kg. masła. Tak wielkie miałem zapotrzebowanie na witaminę A, po przebytej kurzej ślepoty.

W połowie października zaczynała się tutaj jesień. Z siostrą Bronisławą utrzymywałem cały czas kontakt listowny. Pragnieniem naszym było jak najszybsze spotkanie. W tym celu starałem się o urlop do Teheranu. Pomógł mi w tym pułkownik Nowina Sawicki, do którego zwróciła się z prośbą Bronka. Urlop otrzymałem w połowie listopada.

Podróż do Teheranu zaczęła się makabrycznie. Miałem wyznaczoną datę i godzinę odjazdu z obozu A, do którego najbliższa droga prowadziła przez rzekę. Przejście jej w zasadzie nie sprawiało większych trudności. Tej nocy jak na złość spadł ulewny deszcz. Nie wziąłem tego pod uwagę i najkrótszą drogą udałem się do obozu A, na oznaczoną godzinę. Ubrałem się elegancko i z małą walizką w rękę usiłowałem przejść na drugi



brzeg. Okazało się to niemożliwe. Woda w rzece tak wezbrała, że wartki prąd zwał z nóg. Czas naglił. Godzina odjazdu się zbliżała. W tej sytuacji na dojście do obozu A przez most w Khanaquinie, oddalonym o kilka kilometrów, było już za późno. Postanowiłem przejść przez ogrodzenie rafinerii, na terenie której była kładka łącząca oba brzegi, strzeżona stale przez uzbrojonego strażnika. Było to bardzo ryzykowne, ponieważ wartownik mógł mnie nie przepuścić, a nawet użyć broni. Ku mojemu zdziwieniu, kiedy zbliżałem się do kładki, strażnik ulotnił się jak kamfora. Domyśliłem się, że widząc moje problemy z żywołem, ukrył się, aby dać mi drogę na drugi brzeg. Musiał to być przyzwoity człowiek. Dzięki niemu szczęśliwie zdażyłem na samochód.

Podróż do Teheranu trwała kilka dni. Nocowaliśmy w bacznie strzeżonych bazach tranzytowych, bowiem w tym czasie Kurdowie buszowali w tych rejonach i rabowali broń.

Po trzech latach niewidzenia się z siostrą, spotkanie nasze było bardzo wzruszające. Wracaliśmy do wspomnień z 1939 roku, w którym rozpoczęła się gehenna całej rodziny.

Moja siostra, Bronisława, była pierwszą kobietą aresztowaną w Zabłudowie i pierwszą więźniarką w Białymstoku. Pamiętam ten wieczór, kiedy przyszedł do domu krasnoarmiejec. Towarzyszył mu żyd z czerwona opaską na ramieniu. Był on grajkim dętej orkiestry Straży Pożarnej w

Zabłudowie. Orkiestra ta w każde imieniny naszego ojca przychodziła pod okna domu i grała mu „Sto lat!”.

W dniu napaści Sowieców na Polskę i wejścia tych oddziałów do Zabłudowa, żydzi witali najeźdźców bardzo entuzjastycznie, obsypując pojazdy kwiatami.

Natychmiast większość z nich przystępowała do kolaboracji z NKWD. Wskazywali kogo należy aresztować i przygotowywali listy do wywózki na Sybir.

Byliśmy wszyscy zaszokowani brakiem lojalności wobec Polaków, często najbliższych sąsiadów i wobec Polski, na terenie której mieszkali od wielu pokoleń. Wielu z nich żyło im się dostatnio, a nawet bardzo dobrze. Zjawisko antysemityzmu nie było nam wcale znane.

Aresztowaniem Bronki byliśmy zaskoczeni i przerażeni. Powodu aresztowania nie podano. Kazano jej zabrać najpotrzebniejsze rzeczy osobiste i zaprowadzono do samochodu ciężarowego, w którym znajdowali się już inni, aresztowani mieszkańcy miasta i gminy Zabłudów.

Wówczas, wśród nich dojrzałem barona Manteufla i pana Żurakowskiego, osadnika z 1920 roku. Wszyscy oni byli ofiarami denuncjacji zabłudowskich żydów.

Siostra osądzona była jako „apastnyj element”, z art. 58 sowieckiego kodeksu karnego. Siedziała w Białymstoku, a następnie w więzieniu w Gorki w ZSSR. Po układzie Sikorski-Majski i amnestii dla Polaków, w pogoni za dostaniem się do tworzącego się polskiego wojska, znalazła się w Kujbyszewie, gdzie funkcjonowała Ambasada Polska. Była bardzo schorowana z głodu i wycieńczenia. Miała spuchniętą twarz i nogi. Zatrzymano ją w Ambasadzie, gdzie przez pewien czas leżała na korytarzu. Po wyzdrowieniu, ambasador Kot zatrzymał ją jako pracownika do spraw socjalnych, ponieważ przed wojną ukończyła Wydział Opieki Społecznej w Warszawie.

Zarówno Bronka, jak i ja nieustannie poszukiwaliśmy siebie nawzajem. Pech chciał, że podczas mojego pobytu w Kujbyszewie jej jeszcze tam nie było.

Dotarła dopiero w trzy tygodnie po mnie. Była ewakuowana koleją, wraz z personelem ambasady przez Aszchabad do Teheranu, gdzie pracowała w Poselstwie Polskim.

Czas mojego urlopu w Teheranie szybko mijał. Odwiedziłem obóz cywilny Polaków, gdzie spotkałem wielu znajomych. Zwiedziłem miasto, które zwłaszcza po pobycie w ZSSR zachwycało mnie. Kolorowa fontanna, sklepy doskonale zaopatrzone, budownictwo nowoczesne, gdzie nigdzie zabytkowe, pamiętające jeszcze czasy starożytne. Nabyłem tam mój

pierwszy zegarek i piękną, ręcznej roboty papierośnicę, grawerowaną w perskie wzory. Posiadam ją do dziś.

Był to okres przemian politycznych, które przeżywała Persja. Wówczas szach Iranu Pahlewi zmuszony został do przekazania władzy swojemu synowi za uleganie wpływom niemieckim. Młody szach diametralnie zmienił politykę perską na pro-aliancką.

Moja siostra mieszkała wraz z swoją koleżanką z poselstwa, Filą Jelińską w posesji u bogatego Persa. Tam też i ja zamieszkałem w czasie urlopu.

Bronka dzięki pracy w dziale poszukiwania rodzin, nawiązywała kontakty ze znajomymi z Białegostoku i Zabłudowa. Spotkała pana Kurnatowskiego, inżyniera, będącego przed wojną naszym lokatorem w Białymstoku. Zaprosił nas na wspólną perską kolację.

Siostra moja pracując w dziale poszukiwań rodzin w Ambasadzie Polskiej w Kujbyszewie, odnalazła naszego stryjecznego brata Wiktora Szyłkiewicza wywiezionego wraz z rodziną 21 czerwca 1941 roku, do kraju Ałtajskiego. Rodzina liczyła jedenaście osób, w tym Barbara, trzymiesięczne dziecko i dziewięć kobiet.

Bronka wspomagała ich finansowo. Wszyscy przeżyli. Wiktor i jego najmłodsza siostra Stanisława dostali się do armii Berlinga i przeszli cały szlak bojowy od Lenino do Berlina. Reszta jego rodziny powróciła do Ojczyzny dopiero w 1946 roku.

Ostatniego dnia pobytu w Poselstwie, zwróciłem uwagę na przystojnego, bardzo wysokiego mężczyznę. Był to wyreklamowany żołnierz z organizującego się w Iraku 2 Korpusu Polskiego, w skład którego wchodzili „Prawosławni” – żołnierze z ZSSR, „Lordowie” przybyli z Anglii i „Ramzesi” z Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich generała Kopańskiego.

Ten wysoki pan Jerzy Lenczowski, doktor prawa międzynarodowego, był właśnie wyreklamowany z wojska, ponieważ posiadał wyższe wykształcenie i znał kilka obcych języków.

Urlop mój skończył się w pierwszej połowie grudnia 1942 roku. Z Bronką nadal korespondowałem. W jednym z listów powiadomiła mnie, że ten przystojny pan, na którego zwróciłem uwagę w Poselstwie został jej mężem.

Ślub kościelny odbył się w Teheranie 19 marca 1943 roku. Wśród zaproszonych byli bliscy znajomi z Zabłudowa i Białegostoku.

Mąż Bronki ukończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim w wieku 21 lat, a następnie doktoryzował się we Francji w zakresie prawa międzynarodowego i ekonomii politycznej. Jeszcze przed wojną pracował w

Ministerstwie Spraw Zagranicznych oraz na placówkach dyplomatycznych we Francji i w Palestynie. Tu w Teheranie został attache prasowym w Poselstwie R.P. Z racji swego stanowiska oraz perfekcyjnej znajomości języka francuskiego i angielskiego miał szerokie kontakty z personelem dyplomatycznym aliantów w Teheranie, oraz z samym szachem Iranu Rezą Pahlewi. Porozumiewał się z nim w języku francuskim i farski. Przyjaźń ta trwała aż do dnia obalenia Rezy przez ajatollaha Chomeiniego.

Po latach szwagier z siostrą, uczestniczyli w uroczystościach z okazji dwa tysiące pięćsetlecia istnienia Cesarstwa Perskiego.

Była to uroczystość wielkiej wagi. Brały w niej udział wszystkie głowy koronowane i nie-koronowane państw całego świata. Szach po detronizacji przebywał na banicji w USA. Na żądanie Chomeiniego opuścił Stany Zjednoczone i zmarł na wygnaniu w Kairze.

W połowie grudnia, po trzytygodniowym urlopie, powróciłem do mojego oddziału. Zbliżały się już trzecie święta Bożego Narodzenia na obczyźnie.

Pierwsze były w Kotłasiu, drugie już na wolności w Pawłodarze, trzecie na pustyni Iraku.

(...)

Od redakcji:

Całość ukaże się niebawem. Dziękujemy za udostępnienie fragmentu wspomnień.

WIERSZE ZABŁUDOWSKIE

Wiersze Ireny z Godlewskich Sidz – Cebuli, autorki książek literackich, malarki, a przede wszystkim pełnej uroku zabłudowianki, którą los przeniósł za Ocean publikujemy w „Roczniku Zabłudowskim” aby w ten sposób udokumentować przywiązanie do swoich korzeni. Ziemia Dzieciństwa powraca w wielu rozmowach, wspomnieniach, marzeniach, snach a przede wszystkim w twórczości artystycznej.

Część z publikowanych wierszy dedykowana jest więzom przyjacielskim jakie połączyły zabłudowianki na amerykańskiej ziemi. O Pani Bronisławie z Sanejków Kwaśnickiej pisaliśmy przed laty na łamach „Z Zabłudowskiej Ziemi”, wspominaliśmy i Jej Matkę, Panią Teofilę, która zmarła w sędziwym wieku.

Irena z Godlewskich Sidz-Cebula ur. w Zabłudowie. Przed ogłoszeniem stanu wojennego wyjechała do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Zadebiutowała tomem wierszy „Magnolie”. Publikowała w prasie polonijnej i antologii polskiej poezji w Nowym Jorku. Jej pasją jest malarstwo, głównie pejzażowe, wielokrotnie prezentowane w galeriach Stanów Zjednoczonych. Wiersze publikowane pochodzą z przygotowywanego do druku nowego tomu wierszy

IRENA SIDZ-CEBULA

Drajwerka

*Był wagon bydłęcy, zakratowane okienka,
Zesłanie na Sybir daleki, głód, poniewierka.
A potem w odwrocie z domu niewoli,
Poprzez wiele krajów w mundurze zielonym,*

*Swoje lat szesnaście, do ojczyzny niosłaś wytrwale.
Czasem skorpion w bucie, w rękawie tarantula.
Noc Święta - pierwsza wolna,
Zastała Cię na pustyni w namiocie.
Zamiast śnieżnej zamieci, burza piaskowa.
W zamian jodelki z polskiego lasu,
Suchy krzak gałgankami przybrany.
Prześcieradło na stole wigilijnym,
W miejsce serwety lnianej.
Dziewczyny - drajwerki rodzinę zastąpiły,
Z generałem Andersem opłatek dzieliły.
I fatamorgana...
Gwiazdka weszła nad dachem rodzinnym.
Potrawy wigilijne podaje matka,
Dzwon kościelny na pasterkę wzywa.
Śnieg księżycem posrebrzany,
W takt kołędy skrzypi pod butami.
"Bóg się rodzi" wiatr niesie miasteczka ulicami.
A dzisiaj zamiast gwiazdy na niebie w ojczystej stronie,
W nagrodę za trud poniesiony,
Trzy gwiazdki rozbłyły na twoich szlifach.
Czołem Broniu - Poruczniku!*

Pani Bronisławie Kwaśnickiej-Sanejko,
Autorce książki „Zapomniane dziewczęta”
Rodaczce z mojego miasteczka. W dowód przyjaźni.
Grudzień. 2000.

Dymy nad Zabłudowem

*Cisza płynie polami.
Stodoły pełne zboża.
Ścierniska skrzą się w słońcu,
Dzikie gęsi w przestworzach.
W nieba jesienny lazuryt,
Swastyki skrzydła się wdarły.
Zagrały czarcie preludium,
Golgotę zgotowały.*

Po bombie lej straszy otchłanią,
Pochodnią płoną domy.
Deszcz iskier z wiatrem w zawodzie,
Wypelzły z otchłani potwory.

Czarne kłębiaste sadze,
Nieba błękit pokryły.
Owoce w sadach zatruty,
Oblicze słońca zgasiły.

Matka z maleństwem na rękę,
Oknem wyskoczyła.
Chustą kraciastą,
Goliznę dziecka przykryła.

Cizba ludzka pod murem,
Do Boga śle błaganie.
Pociski gwizdem wtórują.
Gdzie Jesteś Panie?

Języki ognia jak węże,
Pełzna po ziemi spękanej.
Stopy już liżą ludziom.
Wkrótce i mur ogarną.

Zdjęci bólem i trwogą,
Pędzana przelaj polami.
Rzyska nogi kaleczą,
Krwawa luna goni.

W okopach cuchnących, błotnistych,
Strudzeni schronienia szukają.
W zaroślach leśnych, iglastych,
Głowy chowają.

Gdy dymy wiatrem targane,
Opadły szarym popiołem.
Ze schronów nędzarze wyszli.
Wrócili na zgłiszczą gołe.
W srebrzystej poświacie księżycy.

Gwiazdy płaczą nad krajem.
Osmalone kikuty kominów,
Do nieba o pomstę wołają.

Teofila

Soczysta trawa jaskrami przetkana,
Sitowie nad brzegiem Rudni.
Spowity porannej mgły mlecznym oparem,
Stał dom cichy, przytulny.
Wtem grozą powiało,
Gdy gwiazdy czerwone,
W ojczyście okna się wdarły.
Butne żołdacy z NKWD.
Łomot za drzwiami...
Wyrok przynieśli na lat dwadzieścia—
W Sybir pajdiosz chaziajka-
I dwoje dzieci, nieletnich jeszcze,
Bez winy w łagier pognano.
Praca ponad siły, głód, poniewierka.
Bolesne rozstanie z synem.
Tęsknota za domem, którego już nie ma.
Nie pytaj, jaka przyczyna...
Radosna wieść niesie ulaskawienie,
Chcesz wracać, dokąd więc pójdziesz?
Tułacza dola w życiorys wpisana.
Cierniami droga usłana.
Przez Morze Kaspijskie, Irak, Palestynę.
Do ziemi włoskiej przez wroga zdeptanej,
Szłaś w czepku pielęgniarki.
Żołnierzom rannym pod Monte Cassino,
Niesiesz ręce ciepłe jak świeży chleb,
I czułe serce matki.
Z ufnością błagasz Stwórcę,
By twój jedyny syn,
Pośród maków czerwonych,
Nie zginął.
Poprzez kontynenty,
Przez morskie odmęty,

*Do wolnej Polski choćby na kolanach.
Obowiązek święty...
Złudzeniem żyjesz...
Jeszcze nie wiesz,
Że historia ścieżki pogmatwała.
Ojczyzna sprzedana.
Ameryka Cię przygarnęła,
Docelowy port...
Za uśmiech serdeczny,
Co mroczne szpitale rozjaśniał.
Za wielkie serce,
Za spracowane ręce,
W Konsulacie dyplom otrzymasz.
Wcześniej, dostałaś Krzyż Monte Cassino.
Spójrz,
Twojego życia wiek minął.
Duchem wciąż młoda.
Sybir Cię hartował,
Wojna nie zmogła.
W oku iskra płonie,
Twarz twoja bliska,
Pogodna, beztroska.
Taka polska,
Taka zabłudowska.*

W setną rocznicę urodzin, rodaczce,
Pani Teofili Sanejko.
NowyYork. Grudzień 2000.



Noty o autorach

Agnieszka Romanowska – historyk, pracownik Urzędu Miejskiego w Zabłudowie.

Przemysław Andrzej Murawski – historyk, w 2008 roku obronił pracę magisterską pod kierunkiem Prof. dr hab. Józefa Maroszka.

Anna Znamierowska – ur. w Protasach, absolwentka Technikum Budowlanego CZSP w Białymstoku.

Mieczysław Szyłkiewicz – urodzony w Zabłudowie, dr nauk weterynaryjnych, mieszka w Pruszkowie.

Irena z Godlewskich Sidz-Cebula – urodzona w Zabłudowie, mieszka w Nowym Jorku (Stany Zjednoczone).

16,50

Rocznik
Zabłudowski T.2
EO



163530